Właś. Bogumiły Kamperówny. Kl. Małachowski. 12.

TRIUMF PRZYJAŹNI



X. STANISŁAW PASŁAWSKI

TRIUMF PRZYJAŹNI

„Cum sancto sanctus eris et cum innocente innocens eris, et cum electo electus eris, et cum perverso perverteris“,
(ps. 16, 26 — 27).

WARSZAWA 1936 R.
KAT. TOWARZYSTWO WYDAWNICZE KRONIKA RODZINNA

TEGOŻ AUTORA:

I) Z cyklu: „Potęga przyjaźni":

1. Zwycięstwo Ninki
2. Ofiara Krzysi
3. Z pamiętnika Ninki i Danusi
4. Talizman Danusi
5. Pokrzyżowane plany
6. Triumf przyjaźni.

II) Różne:

1. Irusia
2. Dziecię Puszczy
3. Uwięziona księżniczka
4. Z toni (w przygotowaniu).

Drukarnia Adama Białobrzeskiego, Tarczyńska 4. Tel. 680-20.

I

NIESPODZIEWANA WIZYTA.

Danusia Skielska tak jest zajęta odrabianiem zadania z matematyki, że nie słyszy pukania do drzwi. Zadanie mimo wysiłków jakoś nie chce „wychodzić"!

Pukanie powtarza się.

Ach, zapomniałam podzielić — szepce do siebie, tknięta nową myślą i zaraz wykonywa potrzebne działanie.

Teraz uwaga trochę słabnie, bo już zadanie na dobrej drodze, może więc posłyszeć lekkie kołatanie, które się powtarza po raz trzeci.

— Kto to może być? — zapytuje siebie zdziwiona nieco, i mówi głośno:

— Proszę wejść!

Drzwi się powoli uchylają i staje w nich dziewczynka w wieku Danusi.

Włosy jej osłaniał berecik ze znaczkiem pensji, do której uczęszczała Danusia i nawet wprawne oko nie łatwo dostrzegłoby, że one są zręcznie farbowane...

Skielska na widok przybyłej cofnęła się lekko — na twarzy zaś odbiło się niezmierne zdziwienie, a z ust wyrwał się okrzyk:

— Róża Sterlerówna?! — ty tutaj?

— Przepraszam! — odpowiedziała jej przybyła uprzejmie, lecz z naciskiem — koleżanka pozwoli, że się jej przedstawię: Róża Meltzówna — Sterlerówną nie nazywałam się nigdy.

Danusia otwiera szeroko oczy.

Chce wmówić w siebie, że istotnie się myli — ale niepodobna: ta sama postać, sposób mówienia, głos, rysy twarzy... tylko włosy innego koloru... ale pozatem nawet można przysiąc, że to ta sama osoba!

Zaczyna więc pełna niedowierzania:

— Ależ Różo...

— Uspokój się Danusiu! — ta Róża, którą znałaś i nazywałaś... Sterlerówną, już nie istnieje! — zerwałam z dawnemi pojęciami — z całą przeszłością — zerwałam sama z sobą! — nietylko noszę inne nazwisko, lecz jestem zupełnie inna i chcę być inna! —

— Nie rozumiem...

— O, zrozumiesz, kiedy się dowiesz, że chcę się uczyć! — pragnę tego nadewszystko — tymczasem pozbawiono mię prawa kształcenia się we wszystkich zakładach naukowych w Polsce...

— Wiem o tem...

— Ale zapewne nie wiesz, jak strasznie płakałam i rozpaczałam — jaki to był dla mnie straszliwy cios... Poczciwa matka obawiała się, że dostanę pomięszania zmysłów...

— Czyż może być?... szepce Danusia.

— Tak było.. więc się poczciwe matczysko zdobyło na czyn, który może potępisz, ale czego matka nie zrobi dla dziecka, pogrążonego w morzu boleści?... Na jej prośby daleka krewna ze Lwowa wystarała się o fałszywe papiery.. o świadectwo z klasy szóstej...

i teraz jestem jej córką... noszę inne nazwisko... i oto zgłosiłam się parę dni temu na pensję, gdzie ty jesteś, nie wiedząc wcale o tem... tymczasem wczoraj zauważyłam cię... i struchlałam...

— Dlaczego?

— Bo ty mię możesz wydać,... a wówczas wniwecz obróciłyby się te starania... Ale błagam cię na wszystko: nie zdradź;... udawaj, że mnie nie znasz...

Tu Róża zakryła twarz rękami i opuściła nisko głowę...

Obraz niedalekiej przeszłości staje jak żywy przed oczami Danusi...

Oto ta sama Róża oskarżyła ją przed przełożoną pensji, do której dawniej uczęszczała, iż należy do tajnego stowarzyszenia pod nazwą: „Klub Bohaterek"... jakkolwiek już się była nie tylko wycofała, lecz nawet inne koleżanki potrafiła zeń usunąć...

W rezultacie pozbawiono Danusię praw do nauki we wszystkich zakładach średnich w Polsce — gdyż Klub się wiązał z organizacją, pracującą przeciw Ojczyźnie, o czem Danusia wcale nie wiedziała — ta sama kara spotkała i Różę, która była we wszystko wtajemniczona i ciągnęła nieświadome dziewczęta do zguby...

Sprawa oparła się o Ministerstwo Oświaty i Danusię zwolniono od hańbiącego zarzutu, jak nato zasługiwała, — Róża zaś sprawiedliwie została ukarana.

Wobec tego dziewczę, widząc przed sobą byłą koleżankę, co rzuciła fałszywe oskarżenie, nie prosi jej wcale siadać — odpowiada półsłówkami i ledwie znosi jej obecność w mieszkaniu...

Och, bo tyle ucierpiała, tyle przeniosła moralnych katuszy, nim została oczyszczona od piętna zdrady Ojczyzny, że tego do śmierci nie zapomni...

A to przez nią.. przez Różę!

I gdyby nie ukochana przyjaciółka Ninka, nie wiadomo, jaki obrót ta sprawa by wzięła... jej łzy i błagania pobudziły i matkę, p. Lubożedzką, i inne osoby do usilnych starań — które wyświetliły całą sprawę w Ministerstwie... *)

Odpowiada więc jej teraz wymijająco:

— Właściwie po tem wszystkiem, coś uczyniła względem mnie, nie powinnam cię znać...

— Daruj.. błagam! — tyle przeniosłam strasznych katuszy, gdy mię wyrzucono z gimnazjum, że wątpię, abyś odczuła, co się ze mną działo... tyś tyle nie ucierpiała: jako jedyna córka zamożnych ziemian wyjechałaś na wieś... do majątku... mogłaś się uczyć prywatnie... Zresztą, czy ci potrzebne jest wyższe wykształcenie?

— Mylisz się.. wyjechałam, bo ojciec kazał — ale w hańbie... w osamotnieniu, musiałam czas spędzać,... przenosząc męczarnie wstydu... i upokorzeń!...

— W takim razie mnie zrozumiesz! ja się bowiem znajduję w gorszem położeniu: mój ojciec nie posiada takiego majątku, aby mi zabezpieczyć przyszłość..

— Nie jest jednak biedny...

— Och, nie znasz stanu interesów mego ojca — nie życzę, aby kiedy twój ojciec w podobnym się znajdował:... czego wam brakuje? majątek prawie bez długu, ojciec jest znanym lekarzem...

— Chociażby nawet...

— Więc zrozumiesz mię... i nie tak ostro potępisz, że pod cudzem nazwiskiem chcę się uczyć, tembardziej, że wyrzekam się wszelkiej agitacji — nie myślę organizować żadnych tajnych stowarzyszeń... pragnę tylko się uczyć i zabezpieczyć sobie przyszłość...

---

*) Patrz: „Talizman Danusi" str. 368.

Danusia nic jej narazie nie odpowiedziała.

Miotały jej duszą różne uczucia.

Litość radziła przebaczyć Róży:

— Ona także cierpiała;... męczyła się podobnie jak i ja... a przytem nie mogła mieć nadziei na darowanie winy przez Ministerstwo... powinnam jej przebaczyć...

— To lis! — ostrzegał rozum — nie zawaha się, gdy jej będzie potrzeba, przed kłamstwem, oszczerstwem... fałszowaniem dokumentów... takie nie powinny się kształcić, — bo potem będą niebezpieczne dla kraju!

Tymczasem Róża, po chwilowej przerwie, znów zaczęła:

— Więc już od wczoraj, kiedy cię spostrzegłam i poznałam, żyję w rozpaczy: dalsze bowiem przebywanie na tej pensji stało się prawie niemożliwe... dość tylko jednego słowa z twoich ust, a wszelkie moje marzenia o nauce obrócą się wniwecz... rzucam więc wszystko na kartę: jeżeli ty mi nie przebaczysz, muszę zaraz po tej rozmowie zniknąć... z Warszawy...

— Dlaczego?...

— Za fałszerstwo dokumentów czeka mnie nie tylko wyrzucenie z zakładu, ale nawet więzienie,... na które narażę również i swoich rodziców... Błagam cię więc: daruj... zamilcz o tem, że mię znasz... nie tylko przed władzami lecz i koleżankami,... bo to dla mnie śmierć!

Przy ostatnich słowach padła na kolana i zaczęła jęczeć:

— Daruj... daruj... nic nie mów!...

Danusia cofnęła się:

— Co robisz? — wstań! — to nie wypada...

— Nogi twoje całować będę,... proch zmiatać,... bylebyś zapomniała o tem, co było...

Sercem Danusi targa litość...

Wszelka zawziętość ustępuje na widok takiego upokorzenia...

— I odpuść nam nasze winy... — szepce cicho — tak nas nauczyłeś, Panie...

— Wstań — powtarza — nie zdradzę ciebie., ale musisz mi przyrzec, że nie będziesz pracowała przeciw Ojczyźnie!

— Dziękuję! — zawołała Róża — i daję najuroczystsze słowo, że tego robić już nigdy nie będę! — straszne przejście wyrzucenia mnie z pensji, nauczyło mię trzeźwo patrzeć na życie...

Przy tych słowach wstała.

— Proszę cię, usiądź — ozwała się Danusia.

— Wdzięczna ci jestem niewymownie — ciągnęła Róża — wracasz mi życie!... Wiedziałam, że masz szlachetny charakter i dlatego udałam się do ciebie wprost.. Jakkolwiek mogłaś mię kazać za drzwi wyrzucić... po tem, co się stało... ufałam jednak, że to nie nastąpi...

— Przybyłaś więc wczoraj na pensję? — wszak niedługo już koniec roku? — jakże cię przyjęto?

— Tak... były szalone trudności, które wreszcie udało się matce pokonać; przy sposobności będę ci mogła opowiedzieć... Już byłam pewna, że mi wypadnie rok szkolny stracić — rozpocząć starania o przyjęcie do klasy szóstej z początkiem roku przyszłego.... tembardziej więc zrozumiesz moją tragedję: zaledwie mię przyjęto... poznałam ciebie wśród koleżanek...

— Jestem tu od Wielkanocy...

— Nic o tem nie wiedziałam! — gdyby tak było, zwróciłabym się do innego zakładu naukowego... obawiałabym się... a i tak znosić będziesz moje towarzystwo tylko do wakacji... przeniosę się gdzieindziej — ustąpię ci z oczu...

— Możesz nie robić tej grzeczności — ja również przenoszę się z tego zakładu z końcem roku szkolnego na inną pensję tu w Warszawie, na której obecnie niema miejsca wolnego w klasie piątej.

— Chociażby nawet... ucieknę stąd na głuchą prowincję... w czasie wakacji będę miała dość czasu, aby znaleźć jaki odpowiedni zakład naukowy..

Przy tych słowach wstała.

— Żegnam teraz. — Róża Meltzówna, jak się teraz nazywam, nigdy nie była twoją koleżanką,... więc mnie nie znasz... nie witasz się — nie rozróżniasz w tłumie pensjonarek.

— Może to i lepiej..

— Tak być musi! — poco ludzie mają się domyślać, skąd się znamy... Inna rzecz, gdybyśmy się musiały gdzie spotkać, — wówczas poznajomiłybyśmy się, jak obce dotychczas koleżanki...

— Możliwe — odparła Danusia, a w duchu dodała:

— Wolałabym jednak, aby to nie nastąpiło...

— Dowidzenia! —

— Dowidzenia — powtarza Danusia.

Nie podała jednak ręki, a tylko ukłoniła się grzecznie.

Róża drgnęła. W jej oczach zapaliły się iskry oburzenia— ale natychmiast się opanowała.

Obruciła się szybko i wybiegła z pokoju.

— Fałszerzom i oszustom nie podaje się ręki — pomyślała tymczasem Danusia: domyć jej potem nie byłoby można!

Dokończyć zadania matematycznego było dziełem jednej chwili — ale teraz robota jej nie idzie.

Po wizycie Róży pozostał dziwny niesmak.

— Ani ojczulkowi, ani mamie nawet do głowy nie przyszedł taki pomysł, aby fałszować dokumenty i w ten sposób dać mi możność nauki...

Przypomina sobie słowa swej matki:

— Przykro to niezmiernie, że nasze nazwisko zostało zbrukane... a tembardziej przykro, że oskarżono cię niesłusznie... lecz masz przed sobą życie długie: dowiedziesz w niem, że jesteś prawdziwa Polka — patrjotka! — że jesteś wnuczką powstańca, co za wolność Ojczyzny nie wahał się krwi wylać! — możesz swe nazwisko opromienić nowem poświęceniem się dla Polski!

A Róża, chociażby teraz chciała — nie potrafi — nie może:.... występuje pod cudzem nazwiskiem; jeżeliby co uczyniła — to sława spaść może na jakichś Meltzów, nigdy zaś nie na Sterlerów...

— A przytem ona teraz nie może się nawet przyznać do swych rodziców:... musi kryć się i obawiać ciągle, aby jej nie poznano...

Bo gdyby to nastąpiło, — wówczas naraziłaby się na kary i straciłaby wszystkie uzyskane stopnie naukowe.

— Nie rozumiem jej — szepce do siebie — nie pojmuje nawet tej okoliczności, że wstąpiła na pensje tu, w Warszawie... Dlaczego nie we Lwowie, lub na głuchej prowincji, gdzie nie tak łatwo się spotkać z byłemi koleżankami.. albo z nauczycielkami dawnego zakładu naukowego?

Bierze się znów do pracy i ledwie może przepisać, gdyż myśli jej ciągle wracają do Sterlerówny.

— Ona to spowodowała, że mię rodzice oddali do Warszawy, abym uniknęła wpływu dawniejszych koleżanek... przez co dostałam się na stancje do p. Toskiej, gdzie mi jest tak niedobrze, a wszelkie usiłowania, aby ją zjednać sobie, dotychczas się nie udały: ciągle podejrzewa, że będę rozwijała jaką przeciwpańswową robotę, którą się przecież nigdy nie zajmowałam,—a wskutek tych podejrzeń nie pozwala mi na stosunki z koleżankami.

Nagle blednie z przestrachu.

— Och, gdyby się ona dowiedziała, że była tu u mnie Róża, o której już tyle razy wspominałam, mówiłam o jej „robocie". — Byłoby ze mną źle! — muszę sprawdzić, czy czego nie zapomniała w przedpokoju, lub u mnie...

Zrywa się i wybiega, ogląda starannie wieszak, konsolkę, nawet podłogę całą — na szczęście nie widać żadnych śladów..

Potem robi rewizję u siebie.

Na stoliczku, przy którym siedziała jej dawna koleżanka, leży srebrna malutka papierośnica...

Z bijącem sercem dzieweczka chwyta ją do ręki — ładny monogram z literami R. S. zdradza właścicielkę...

— Jaka ona nieostrożna! — widziałam, że się bawiła tem cackiem w końcu naszej rozmowy — zapewne chciała zapalić papierosa, gdyż należy do namiętnych palaczek... ale umyślnie nie zaproponowałam jej tego — i nawet nie pozwoliłabym, gdyż dym z papierosa zdradziłby jej wizytę u mnie... Ale co mam z tym drobiazgiem zrobić? — oddać jutro? — niemożliwe... nie chcę się do niej przyznawać w gimnazjum! — zatrzymać u siebie? — niepodobna! — co byłoby, gdyby tak moja wychowawczyni klasowa p. Toska u mnie ją znalazła?... odesłać pocztą? — nie mam jej adresu, zresztą, na pocztę sama nie pójdę... służącej nie poślę...

Zakłopotana otwiera bezmyślnie papierośnicę.

Oprócz kilku papierosów znajduje się tam karteczka zapisana w obcym języku, a w dole zamiast podpisu litery: M. S.

— Tak... imię jej matki i nazwisko... przypomina sobie Danusia... mnie się zdaję, że Róża jutro upomni się o papierośnicę... muszę ją wziąć ze sobą...

Umieszcza więc papierośnicę w teczce, poczem

znów zasiada przy stole z zamiarem powtórzenia słówek łacińskich. —

Lecz i ta praca jej nie idzie... a czas leci.

Wreszcie we drzwiach ukazuje się służąca i powtarza drugi raz znacznie głośniej:

— Kolacja na stole!

W jadalni dzieweczka spostrzega, że jej nauczycielka i wychowawczyni siedzi już i zajada kolację, przeglądając szybko dziennik.

Danusia wie, że za spóźnienie zwykle otrzymuje burę. Cicho więc jak kotka, przemyka się do stołu i zajmuje swe miejsce.

P. Toska rzuca tylko spojrzenie zpod brwi zmarszczonych. Narazie wystarcza to za uwagę.

— Przepraszam... szepce dziewczę.

Strach ją przytem ogarnia.

Nauczycielka bowiem, odchodząc około czwartej, oświadczyła służącej, że idzie na posiedzenie i wróci nie wcześniej, niż o dziewiątej...

— Może widziała Różę — myśli z poważnym niepokojem. —

— Była u ciebie jedna z koleżanek... mówi p. Toska suchym, niemiłym głosem, który tak przykre zwykle robi wrażenie na dzieweczce.

— Tak — szepce cicho w odpowiedzi.

— Czy z nią uprzednio porozumiałaś się, że ma dziś ciebie odwiedzić?

— Nie! — zaprzecza stanowczo Danusia.

Nauczycielka dzwoni.

W progu zjawia się Kasia.

— Dlaczego wpuściłaś dziś jedną pensjonarkę do mieszkania? —

— Bo zapewniała, że pani jej kazała przyjść do siebie o godzinie piątej... i tłumaczyła się, że trochę się spóźniła... kłamie dziewczyna jak z nut.

— Czy już zapomniałaś o rozkazie, że, kiedy mnie niema w domu, nie wolno ci wpuszczać nikogo do mieszkania pod żadnym pozorem?

— Ależ ona przysięgała, że przyszła do pani!

— Dlaczego jej nie uprzedziłaś, że mnie niema?

— Mówiłam, powtarzałam — ale ona upewniała, że pani zaraz przyjdzie i kazała poczekać.. w mieszkaniu!

— A dlaczego potem ją wypuściłaś, kiedy ona miała poczekać na mnie?

— Bo mi rzekła, że zapomniała pewnego zeszytu zabrać ze sobą. Miała zaraz z nim wrócić!

— Czy może Danusia cię prosiła, abyś drzwi otwarła?

— Tak... nie! — to jest.. nie..

— Nie mogę ci wierzyć. Danusiu: jak to było?

— Ani jej nie prosiłam, ani spodziewałam się dziś kogokolwiek!

— Może tak i było... mruknęła p. Toska.

Poczem zwróciła się do służącej i rzekła ostro:

— Za nieposłuszeństwo zwalniam cię od obowiązków od pierwszego.

— Co ja jestem winna, że mnie oszukano... broniła się Kasia — ja w najlepszej wierze...

Przy tych słowach zakryła twarz rękami i wypadła z pokoju.

— Jestem pewna, że była to Zula Łowiska, która mię napastowała, abym jej pozwoliła dziś ciebie odwiedzić — gderała nauczycielka — jutro dostanie zato jak się należy!

— Nie — zaprzecza Danusia — to nie ona była...

P. Toska spojrzała bystro na dzieweczkę.

— Tak? — rzekła — to może mi więc zakomunikujesz jej nazwisko?

— Nie byłabym koleżeńską...

— Tak! — solidarność przedewszystkiem! — wobec tego uważam cię za współwinną! — a ponieważ twej koleżance kary wymierzyć nie mogę, bo jej nie poznałam, wyznaczam ją tobie. przez trzy dni nie pójdziesz zrana do kościoła!

Danusia spuściła głowę. Była to dla niej niewymówna przykrość, ale niepodobna było zdradzić Róży...

Nauczycielka tymczasem wzięła do ręki dziennik i, zakrywszy się nim zupełnie, zagłębiła się w czytaniu.

Wreszcie przy herbacie odrzuciła czasopismo i ze zmarszczoną brwią mieszała długo łyżeczką w szklance.

Dziewczę zdobywa się na odwagę.

— Proszę panią... o surowszy rozkaz służącej: ona nie pierwszy raz to robi, że wpuszcza koleżanki, a czyż ja mogę je wyrzucać z pokoju?

— Nie trzeba je wabić do siebie — stronić raczej od nich, tembardziej, że już pozwoliłam aż dwom: Tereni Doleckiej i Dziuni Gołąbskiej odwiedzać ciebie trzy razy na tydzień...

Po tych słowach zapanowała cisza, którą znów przerwała p. Toska.

— Zresztą... ponieważ prosisz, a nie stawiasz się hardo — skrócę ci karę do jednego tylko dnia.

— Dziękuję! — zawołała Danusia, wstając i kłaniając się uprzejmie.

Reszta czasu przy herbacie upłynęła w milczeniu.

Udając się do swego pokoju, Danusia szepnęła do siebie:

— A niech tam Róża zajmie się swoją pracą i dba o siebie — ja zaś muszę pamiętać o sobie!

II

KŁOPOT.

Nazajutrz Danusia wzięła z sobą papierośnicę. Umieściła zaś ją w kieszonce fartuszka, owinąwszy przedtem starannie w papier.

Nie tak łatwo jednak było zwrócić zapomniany drobiazg.

Widziała w czasie przerw Sterlerównę — nie chciała jednak do niej się zbliżać.

— Jeżeli jest jej potrzebna — myślała sobie — niech się sama do mnie zwróci..

Na większą przerwę Róża przeszła parę razy obok Danusi — ale ta ostatnia spacerowała z Terenią Dolecką, — a przytem na korytarzu dyżurowała p. Toska, a w jej obecności nie podobna było zwracać tego drobiazgu...

— Miałabym się spyszna, gdybym jej cokolwiek wręczyła!

Parę razy brała ją chętka załatwić tę czynność przez Terenię.

— Ta dziewczynka jest mi tak oddana, że mogę na nią śmiało liczyć..

Nie chce jednak obudzać jakichkolwiek wątpliwości w duszy swej przyjaciółki.

— Widzę, że niema innego sposobu, jak odesłać ten przedmiot przez pocztę.

Po dzwonku na lekcję, kiedy przyjaciółka żywo podążyła do klasy, znów Róża zaczęła się zbliżać z miną zupełnie obojętną.

Ale obok Danusi znalazła się Kazia Szymowska.

Dziewczka pamięta doskonale o jej niechęci do siebie — pamięta o doznanych kilku od niej przykrościach.

Odwraca się więc szybko od Róży i wpada do klasy.

Za nią biegnie Kazia i woła:

— Stój, poczekaj moja duszko...

Głos jej lekko ironiczny, jak zwykle, kiedy się zwraca do Danusi.

Dzieweczka się zatrzymuje.

— Może zechcesz oddać ten bilecik Jarowi?

— Kielowskiemu? — nie utrzymuję z nim żadnych stosunków!

Szymowska się śmieje z wyraźną kpinką.

— Nie udawaj niewiniątka! — znamy cię już dobrze.

Przyczem wciska bilecik w rękę Danusi.

Oburzona tem niezmiernie dzieweczka rzuca go na podłogę, sama zaś skierowuje się szybko na swoje miejsce, obok Geni Orzajskiej.

Ta ostatnia zrywa się, chce podnieść bilecik, ale ją Kazia uprzedza, i krzyczy doniośle:

— Wczoraj spacerowałaś z Jarem do jedenastej — dziś zaś się wykręcasz, że go nie widujesz.

Ta potwarz, rzucona wobec całej klasy, oburza jeszcze bardziej Danusię.

Parę razy zaledwie go widziała na zabawach. nie pragnąc wcale pozyskać jego sympatji — wczoraj zaś, jak każdego zresztą wieczoru, siedziała cały czas w domu — a tymczasem ona...

Twarz jej płonie, — na policzkach ukazują się łzy... ale Kazia już poleciała do swojej ławki, gdzie śmieje się i o czemś mówi z żywością...

Tymczasem koleżanki chichoczą — podają sobie z ust do ust posłyszaną wiadomość.

— Śmieszna jesteś — mówi z pewną zazdrością Genia, nachylając się do Danusi — inna na twojem miejscu chwaliłaby się takim spacerkiem; Jar jest ładny chłopak i nie tak łatwy do zdobycia!

Dzieweczka niema czasu na odpowiedź: w tej chwili bowiem ukazał się we drzwiach matematyk...

Nawet gorycz obmowy musi ustąpić — a łzy obeschnąć na pałających policzkach...

Ledwie bowiem zdążył do katedry, już wyrwał do tablicy Genię, która, rzuciwszy złe spojrzenie na swą koleżankę, podążyła szybko w stronę tablicy.

Nauczyciel matematyki słynął z tego, że zwykle wyrywał najwięcej rozgadane dziewczynki — Orzajska zaś w czas nie spostrzegła, że już drzwi się otwierały.. i kończyła z ożywieniem swą uszczypliwą przemowę.

Prawie kwadrans Genia pociła się przy tablicy. — Nagle wśród „śmiertelnej ciszy" rozległ się nerwowy przejmujący pisk i Kazia Szymowska wybiegła gwałtownie z klasy.

— Co to jest? — zapytał surowo matematyk.

Pytanie to narazie zostało bez odpowiedzi.

Przyczyna jednak zaraz się znalazła: z pod ławki wyskoczyła mała zielona żabka, której się tak przeraziła Szymowska.

— Żaba! — żaba! — rozległy się okrzyki i nowe piski.

— Proszę o spokój! — zawołał ostro nauczyciel — taki drobny czworonóg nie może wpływać na tok lekcji! — wstyd naprawdę obawiać się tak niewinnego zwierzątka! — proszę, aby rozsądne dziewczynki usunęły z klasy niepotrzebne stworzenie!

Danusia i Terenia Dolecka natychmiast pośpieszyły na wezwanie matematyka — za niemi podążyły inne — Wiśka Roziemska tymczasem otworzyła drzwi, przez które zaraz wygnano przyczynę niepokoju klasowego na korytarz, a tam się nią zaopiekowała woźna.

Matematyk tymczasem zanotował to zajście w

dzienniku i, uciszywszy klasę, poprowadził dalej przerwaną lekcję.

Na pauzę dopiero rozpoczęła się chryja.

Przedewszystkiem Danusia dowiedziała się, że żabkę przyniosła w teczce Wiśka, która chciała nastraszyć swoją koleżankę Dziunię Gołąbską i w tym celu włożyła żabę do jej teczki... ale mały czworonóg nie miał ochoty siedzieć w zamknięciu i wywędrował na klasę, jako że zamknięcie nie było teraz bardzo ścisłe.

Zaś sprawczyni zamieszania w czasie lekcji właśnie wykłócała się z koleżankami, które jej ten czyn wyrzucały:

— A teraz my wszystkie będziemy odpowiedzialne!

— Będzie koza, a ja tak jeść chcę okrutnie... nie mogłaś jej innego figla spłatać?

— Dowcip masz tylko w pisaniu liścików — ale do żaby nie masz głowy!

— Przeproś wychowawczynię — a nie będziemy miały kłopotu! — dodała Danusia.

— Jeszcze by tego brakowało! — zawołała Wiśka: — jeżeli ci się podoba możesz mię zastąpić!

— Ona jako nowa, wolałaby raczej zdradzić — zauważyła z przekąsem Kazia.

— Niech poprobuje! — gorączkowała się Wiśka — będzie wykluczona z naszego koleżeństwa.

Dalsza dysputa została przerwana wejściem wychowawczyni.

Zaraz do niej podbiegło kilka dziewczynek, między niemi zaś i Dziunia:

— Powiedzcie mi, jak to było z ową żabą na lekcji? — zapytała p. Toska.

Pensjonarki opowiedziały jej fakt, który się zdarzył w klasie, zaznaczając, że nie miał on na celu przerwania lub przeszkodzenia w lekcji.

— W każdym razie niech się przyzna ta dziewczynka, która przyniosła żabę!

Zapanowało kłopotliwe milczenie.

— Może wziąć winę na siebie — przelatuje szybka myśl Danusi: — stosunki moje z Wiśką są naciągnięte i trudno ją doprowadzić do normalnego stanu...

Nie zastanawiając się dłużej, zbliża się do p. Toskiej:

— Ja to zrobiłam...

Nauczycielka spojrzała na nią ździwiona:

— Do tej pory sądziłam, że nie umiesz kłamać— rzekła z nieukontentowaniem—i nie mogę zrozumieć, dlaczego to robisz! — dziewczynki! — jeżeli Skielska może brać winę na siebie, dlaczego winna nie chce się przyznać? — czy może przypuszczacie, iż ona kary nie otrzymałaby, lub dostałaby mniejszą?

— W takim razie... ja się przyznaję... szepnęła Wiśka: — Danusia do tego nie przyłożyła ręki...

— Naturalnie, bo skąd ona potrafiłaby dostać żabkę! — zaśmiała się p. Toska — było to kłamstwo tak niezręczne, że się zaraz na tem poznałam! — Więc nie przyniosłaś tego stworzonka w celu przeszkodzenia p. matematykowi?

— Nie...

Nauczycielka wzięła jej obie ręce w swoje.

— Czy mi dasz słowo, że więcej tego nie zrobisz?

Zawstydzona Wiśka przyrzekła poprawę, a wówczas p. Toska zwróciła się do Danusi:

— Chciałaś mię wprowadzić w błąd — muszę to stwierdzić z przykrością! — wskutek tego nakładam na ciebie karę: przepiszesz porządnie cały wiersz Mickiewicza pod tytułem: „Alpuhara“.

Danusia skłoniła się w milczeniu.

Wychowawczyni skierowała się zaraz ku wyjściu — za nią zaś podążyły pensjonarki.

W końcu znalazła się i Danusia.

— Dlaczego się wyrwałam? — zapytała siebie w myśli: — czy warto było dla wątpliwego poprawienia stosunków narażać się na karę?

Najbardziej zaś ją boli, że Wiśce została kara darowana — a jej wcale...

Ktoś ją tymczasem ujmuje za rękę — ach! naturalnie Terenia.

— Może nie masz dość czasu... szepce — mogę ci przepisać.

— Dziękuję... o to się nie kłopoczę, a tylko mi przykro, że dostałam karę; przytem: wychowawczyni zwraca się do mnie zawsze tak surowo; nigdy nie obdarzy uśmiechem, — czego nie szczędzi wszystkim innym dziewczętom...

— I poco zaraz łzy?...

— Tak mi trudno wstrzymać, boli taka różnica...

— Niedługo już, w przyszłym roku nie będziesz tu się uczyła, a na innej pensji... a do wakacji tak blisko... radosny powrót do domu... powitanie kochanych...

Ale już i w oczach Tereni perlą się łezki...

— Przestań, moja droga! — przestań! — swoje rany rozdzierasz, aby mię pocieszyć... ale wiesz co? — poproszę moich rodziców, aby cię zabrali do mnie na wakacje — ty przecież, oprócz ciotki, pani Zorzeskiej, nie masz nikogo na świecie...

— Serdecznie dziękuję: ty zawsze o mnie się troszczysz.. Ale to za wielki byłby wydatek: całe wakacje, zresztą podobno jedziesz nad morze...

— Nie wiem, czy to będzie możliwe... ojczulek obecnie niema tak wiele pieniędzy... musi oszczędzać...

Terenia spogląda na nią z wdzięcznością...

Lecz nielitościwy dzwonek przerywa przyjacielską pogawędkę — Danusia biegnie na swoje miejsce, a po drodze szepce do siebie:

— I poco łzy? — ma rację Terenia: gdybym znajdowała się w takim położeniu, jak ona: sierota, która utraciła matkę niedawno... matkę tak ukochaną, dla której uczyła się, pracowała, wówczas mogłabym płakać i w dzień i w nocy... A cóż znaczą moje cierpienia w porównaniu z taką okrutną stratą?

Zasiada na swem miejscu. Geni jeszcze niema: ugania się po korytarzu, zamiast śpieszyć do klasy. A tymczasem przypomina sobie słowa Tereni, wyrzeczone wkrótce po śmierci matki:

— Nie mam celu żyć; nie mam potrzeby się uczyć: marzyłam, że przez naukę, zdobędę środki utrzymania dla kochanej matki, aby się nie męczyła przy tak ciężkiej pracy.. ale gdy umarła — poco mi to wszystko?...

I zaledwie starsze panie, które się nią zaopiekowały, wytłumaczyły sierocie, że może i powinna teraz żyć i pracować, oraz uczyć się dla Matki — Kościoła świętego, dla Matki — Ojczyzny Polskiej...

Sierota zaś wzięła te przestrogi do serca, i wśród łez rezygnacji, jęła się znów uczyć z nową gorliwością...

— A dziś mnie pociesza jeszcze; naprawdę wstyd mi, płaczę, że się podobało Kazi zrobić plotkę, że p. Toska nie jest mi przychylna, a co powiedziałaby mi nato Ninka?

Kochana przyjaciółka — najmilsza ze wszystkich, staje przed nią jak żywa.. łagodny uśmiech na twarzy, jasne spokojne wejrzenie przenika — zdaje się — duszę...

— Nic nie powiedziałaby, jak zwykle.. a tylko

rzuciła na mnie wejrzenie... i przypomniałabym zaraz swoje postanowienia...

— A co ze swych zmartwień ofiarowałaś Panu Jezusowi? — brzmią jej słowa, tak niedawno wyrzeczone..

— Tak, ani jedno nie zostało ofiarowane: pierwsze przyjęłam z oburzeniem, drugie z zawiścią...

Lekcja tymczasem się zaczyna. Terenia spokojnym, równym głosem odpowiada z historji, którą widocznie starannie przygotowała!

— Wstyd naprawdę — powtarza Danusia — na dziś tak lekcji nie umiem, jak ona... nie tylko przygotowała z książki, ale opowiada szczegóły, które słyszała onegdaj na wykładzie...

Ale cieszy ją jednocześnie, że przyjaciółka otrzyma chyba najlepszą ocenę...

Dolecka skończyła.

— Kogo teraz „wyrwie"? — ciśnie się pytanie w myślach każdej uczennicy.

— Jakie przyczyny spowodowały upadek Konstantynopola?... rozlega się w klasie głos nauczycielki: — Szymowska!

Kazia się zrywa. Właśnie odczytywała liścik Wiśki, która na każdej lekcji musiała chociaż jeden wysłać do jakiejkolwiek koleżanki. Umiała jednak zwykle tak zręcznie to robić, że niezmiernie rzadko się złapała — nieraz jednak liściki bywały dość długie.

Właśnie taki otrzymała Kazia...

Dalsze i bliższe przyczyny upadku Konstantynopola nic ją w tej chwili nie obchodziły, wobec wiadomości, które jej przysłała koleżanka... a tu naraz!

Rzuca więc rozpaczliwe spojrzenia we wsze strony, wyglądając ratunku...

— Jedną z przyczyn... z przyczyn... jaką, nadstawiając pilnie uszy na szepty — było to...

— Bitwa pod Warną!.. podpowiada jej usłużna koleżanka.

— Była to bitwa pod Marną! — wygłasza śmiało Szymowska. —

Nauczycielka się uśmiecha, każe jej powtórzyć nazwę — wreszcie wyjaśnia:

— Nad Marną zwyciężył Aëcjusz wodza Hunnów Attylę w roku 451 — czyż mogło to zwycięstwo wpłynąć w jakikolwiek sposób na upadek Konstantynopola w tysiąc i dwa lata potem?

Na sali śmiechy — Kazia się plącze jeszcze więcej.

Danusia także się uśmiecha.

— Dobrze ci tak! — myśli z zadowoleniem — umiesz robić plotki, a...

Chce przytem rzucić na Kazię spojrzenie pełne triumfu — aż nagle słyszy:

— Poprawi ją... Skielska!

Powstaje szybko i zaczyna:

— Bitwa pod Warną, gdzie poległ nasz król Władysław Warneńczyk w roku 1444...

Mimowoli jednak przejmuje ją jakiś wstyd:

— Dlaczego się nad nią natrząsam? — dlaczego się cieszę z cudzego nieszczęścia? — czy w ten sposób postępuje Ninka? — Zamiast swoje przykrości ofiarować Bogu — zamiast przebaczać — cieszę się z cudzego nieszczęścia...

Danusia może snuć dalej swe myśli, gdyż po dobrze zaczętym początku, nauczycielka każe jej usiąść i przesłuchuje znów Kazię.

— Wstyd! — powtarza sobie — wstyd! — czy to się godzi tak postępować! — jeżeli moja koleżanka robi źle, to i ja mam ją naśladować?

Dziewczę spuszcza głowę.

Kazia jeszcze chwil kilka jąka i plącze się w od-

powiedziach, wreszcie siada na swojem miejscu z miną srodze nieszczęśliwą.

Ale Danusia już się nie chce z niej natrząsać — jakkolwiek niektóre koleżanki tak robią.

— Bóg sam każe każdego człowieka... przekonywa siebie dziewczę — poco mam dodawać! — wskutek tego przy zbliżeniu się do Kazi nie będę jej okazywała gniewu, czy dąsów..

Czas leci — lekcja się kończy niebawem...

Już wybiegają z klasy pensjonarki...

— Widzę, że znów masz jakieś zmartwienie — mówi Terenia, zbliżając się do Danusi. —

— Tak.. nie umiem nad sobą zapanować... zresztą mam kłopot...

Ostatnie słowa wyrywają się jej nieświadomie.

— Możesz się z nim podzielić?

— Mam przy sobie rzecz, zapomnianą przez jedną z koleżanek... nie mogę się do niej zbliżyć, aby jej wręczyć...

— Chyba mi zawierzysz?

— Naturalnie... nie chciałabym jednak, aby kto się domyślał, albo dojrzał, że odemnie to pochodzi!

— Licz na mnie!

Danusia szybko, a nieznacznie wręcza papierośnicę, mówiąc przytem:

— Będziemy spacerowały po korytarzu — wskażę ci komu masz oddać...

Po chwili dziewczęta mijały Różę, która patrzała pilnie na Danusię.

— Oddasz tej koleżance — szepce ta ostatnia — lecz nie zaraz — musimy się rozejść!

W kilka minut potem Terenia, załatwiwszy zręcznie prośbę swej koleżanki, powróciła do niej znowu.

— Jakaś nowa pensjonarka — rzekła Danusi — ale... mało sympatyczna.

— Mówiła cokolwiek do ciebie?

— Nie, tylko spojrzała trochę zdziwiona, a potem skłoniła się lekko. —

— Opowiem ci o niej trochę później, gdy będziemy same... Może w gościnie u pp. Izalskich w ich willi, gdzie będziemy swobodne... musisz jednak dochować najściślejszej tajemnicy...

— Czy i Ninka o tem będzie wiedziała?

— No, chyba! — nie będę robiła tajemnicy przed nią wcale... ona zaś również dochowa! — Dziękuję ci, żeś mię wybawiła z kłopotu!

— Ach, taki drobiazg! — tyś mi więcej wyświadczyła! — nie mam nawet pojęcia, w jaki sposób ci się wywdzięczę... i tobie i Nince i...

— Ach, przestań! — zawołała ze śmiechem Danusia, bo ucieknę sobie i schowam się tak, że mię nie znajdziesz!

III

W I E R S Z Y K.

W parę dni potem Danusia, przybiegłszy po większej przerwie do klasy, spostrzegła, że Genia Orzajska, szybko coś chowa do swej teczki z książkami.

Ale jej się nie udawało, była bowiem dość wypełniona.

Jeden rzut oka przekonywa Danusię, że to jest broszurka, o znanym jej tytule... i o treści wywrotowej: jedna z takich, jakie w swoim czasie dostawała od Róży Sterlerówny, gdy z nią razem prowadziła tajny klub na pensji...

— Tak... znam ją dobrze — przypomina sobie— pisałam przecież z niej referat na zebranie...

Okoliczność ta bardzo ją zastanawia — teraz przypomina sobie, że w czasie przerwy widziała Różę, spacerującą z Genią...

— Skąd to masz? — pyta odruchowo koleżankę, która właśnie w tej chwili uporała się z broszurką, umieszczając ją w głębi teczki.

— Co takiego? — pyta nieco zmieszana Orzajska.

— A, no tę broszurkę...

— Jakto skąd?... naturalnie... z domu mam wszystkie książki — jąka Genia: — zresztą, co ciebie to obchodzi? — pilnuj swojej teczki!

Z Genią nigdy Danusia nie była w dobrych stosunkach. Wprawdzie nie kłóciły się z sobą, ale pozostały obojętne, spowodu niechęci Orzajskiej.

Wejście nauczyciela do klasy kładzie kres rozmowie — mimoto Danusia nie może zapomnieć o tem, co widziała.

— Nie chcę przypuszczać, aby Róża dała jej tę broszurkę — szepce do siebie zdumiona — jakkolwiek z nią spacerowała w ciągu całej przerwy, zbyt wielką otrzymała karę, aby sobie mogła powtórnie lekceważyć przepisy gimnazjum i prawa państwowe... być może, iż naprawdę Genia przyniosła to ze swemi książkami z domu...

Lekcja się rozpoczyna — trudno jednak dziewczęciu skupić uwagę...

— Stanowczo nie mogła otrzymać od Róży.. napływają dalej myśli — wszak ona tak gorąco zapewniała, że stała się zupełnie inną: płakała, przepraszała... nie! — to niemożliwe...

W tej chwili pada nazwisko Geni — nauczyciel wyrwał ją do lekcji... Danusia uprzytomnia sobie, że trzeba się skupić...

— Trudno tę zagadkę narazie rozwiązać! — zastanowię się później — zresztą, może mi się wydało, że to ta sama broszurka! — może tytuł podobny, a treść zupełnie inna?

Uważa więc teraz pilnie, — jakkolwiek nie może zapomnieć o przygodzie...

Wreszcie lekcja się kończy.

Danusia wybiega na korytarz.

Uwagę jej zaraz zajmuje Róża, którą otoczyło kilka koleżanek z jej klasy.

— A jednak ona jest otoczona zawsze grupą dziewczynek — myśli sobie Danusia — nikt nato nie zwraca uwagi... A gdybym i ja się zbliżyła do nich i posłuchała, o czem gawędzą?

Przypomina jednak zakaz p. Toskiej.

— Bo wychowawczyni o mnie wie wszystko... Róża zaś nie budzi podejrzeń, a może być niebezpieczną...

Tymczasem do Sterlerówny podbiega Dziunia i zaczyna mówić z nią z wielkiem ożywieniem.

— Ciekawa rzecz... myśli Danusia mocno zdziwiona — od paru dni Dziunia do mnie zbliża się bardzo rzadko... i nawet coraz rzadziej... dziś zaledwie się przywitała! — a dawniej stale się narzucała ze swą przyjaźnią... oświadczała, że mnie tylko wierzy i ufa...

Ale oto śpieszy ku Danusi Terenia:

— Wiesz, że nie będziemy miały ostatniej lekcji dzisiaj? — pyta ze zwykłym uśmiechem — doskonale się składa: będę bowiem miała więcej czasu i przyjdę do ciebie o już o pół do piątej...

— Świetnie! — a dlaczego nie będzie dziś geografji? —

— Podobno będzie konferencja, i p. Toska nie może poprowadzić lekcji...

— Z kim jednak udam się do mieszkania?... wychowawczyni nie pozwala mi samej nawet wychylić się na ulicę...

Na swe pytanie nie czekała długo, gdyż zaraz przybiegła Wiśka Roziemska, wzywając ją do p. Toskiej:

— Czeka na ciebie dorożka — rzekła jej ta ostatnia — wsiądziesz wraz z Dolecką i odjedziesz z nią razem do mieszkania. Niech ona zabawi u mnie do obiadu.

Dzieweczka skłoniła się w milczeniu.

Po chwili, odprcwadzona przez wychowawczynię aż do pojazdu, jechała z Terenią do domu.

— Nie wierzy mi ani trochę — żaliła się tymczasem przyjaciółce — nie dość, że nakazała mi z tobą jechać, zarządziła, że pozostaniesz, nim sama nie wróci...

— Co ci szkodzi? — zapytała spokojnie Terenia.

— Masz rację; takie to proste, a tak przekonywające...

— Miałaś mi opowiedzieć coś o tej nowej koleżance — zaczęła Terenia, gdy już znalazły się na miejscu — naprawdę, wstyd mi się przyznać... jest jakaś dziwnie niemiła...

Danusia spojrzała na nią z zakłopotaniem.

— Tak... chciałam! — lecz nie zwróciłam uwagi, że dałam jej słowo zachowania tajemnicy — i teraz rozumiem, że zrobiłam głupstwo...

— Jeżeli dałaś słowo — to rzecz święta! — pogniewałabym się na ciebie, gdybyś je złamała...

— Wdzięczna ci jestem, proszę cię nie miej żalu wiesz, że innych tajemnic nie mam przed tobą...

— Miałabym żal, gdybyś nie dotrzymała słowa! — wówczas nie byłabym nigdy pewna, czy i mnie nie zdradzisz! — ale to mniejsza! — możebyśmy przy gotowały lekcje na jutro? — szkoda czasu!

— Doskonale! — we dwie pójdzie prędzej i łatwiej!

Kiedy p. Toska wróciła po upływie godziny dziwiła się ciszą, panującą w pokoju Danusi.

Zajrzała więc przez uchylone drzwi i przekonała się, że obie dziewczynki rysują zawzięcie pracę, zadaną przez nią z geografji.

Nie chciała więc im przerywać — a ponieważ wiedziała, że Terenia jest sierotą, utrzymywaną ofiarnością zacnych ludzi, kazała służącej podawać obiad, i gdy już wszystko było przygotowane, weszła do ich pokoju ze słowami:

— Już obiad czeka na stole — wskutek tego, że Terenia nie traciła czasu na niepotrzebne gawędy, zapraszamy ją również, bo nim zajdzie do domu, będzie już po trzeciej. —

Dziewczka podziękowała, wymawiając się, że u ciotki przecież jeść dostanie — ale nauczycielka o tem słyszeć nie chciała:

— Zrobiłabyś mi przykrość — patrz: dla ciebie już nakryto!

Kiedy wieczorem Danusia została sama, znów zaczęły ją dręczyć pytania:

— Skąd Genia dostała podejrzaną broszurkę? — czy nie od Róży? — czy naprawdę treść jej wywrotowa? — co czynić?

Ale na żadne z pytań nie może znaleźć odpowiedzi, którąby ją uspokoiła...

Czasem żałuje, że się nie poradziła Tereni:

— We dwie zagadkę łatwiej można byłoby rozwiązać, a tajemnicę ona zachowa wiernie...

Z trudnością jej szły lekcje...

Na drugi dzień niepokój jej wzrastał.

Teczka Geni była zawsze starannie zamknięta, ona zaś sama dziwnie podniecona...

Dziunia zaledwie się przywitała...

Obie zaś często przebywały z Różą, a ta ostatnia ciągle starała się być jaknajdalej od Danusi...

— Czyżby spiskowała przeciw mnie?... zapytywała siebie dzieweczka, — a może zaczyna jaką nową agitację za stworzeniem klubu?

Dopiero matematyk ją otrzeźwił.

Nie mogła bowiem zorjentować się przy tablicy.

Zmarszczył czoło i zauważył ze zdziwieniem:

— Skielska kilka dni temu robiła trudniejsze zadania bez wysiłku? — czy może niezdrowa? — proszę na miejsce: zapytam na następną lekcję.

Nieco zawstydzona podążyła do ławki.

— Poco się będę dręczyła, co robią moje koleżanki? — zapytała siebie w myśli — przyjechałam tu do Warszawy, aby się uczyć, — a tymczasem zajęłam się innemi sprawami, które mię wytrącają z równowagi i nie pozwalają korzystać z lekcji.

Uwagi te na nią podziałały — tembardziej, że przekonała siebie, iż zamało ma jeszcze dowodów, aby rzucać podejrzenia tak wielkiej wagi.

Następną lekcją był francuski.

Danusia teraz pilnie uważa, aby się nie złapać, jak na matematyce.

Wiśka zaś nie może usiedzieć na swem miejscu: — pisze już trzecią kartkę. Treść jej wyszydza i wyśmiewa nauczycielkę.

Zmienia jednak charakter swego pisma, aby nie być złapaną i podpisuje zwykłym skrótem Wu-Ka-Ro.

Kartka obiega większą część klasy — dziewczynki się śmieją dyskretnie i podają dalej.

W pewnej chwili sąsiadka z innej ławki rzuca ją zgrabnie na kolana Danusi, która tego nie spostrzega.

Nauczycielka, spacerując po klasie, zauważyła kartkę i zwróciła się zaraz z wezwaniem:

— Skielska wręczy mi liścik, który ukrywa przedemną!

Dzieweczka zrywa się zdziwiona, kartka tymczasem spada na ziemię, a Genia natychmiast przykrywa ją nogą i stara się posunąć nieznacznie do innej koleżanki.

Ale ten manewr nie uszedł oka francuski: zbliża się więc szybko i każe Orzajskiej oddać liścik.

— Kto napisał ten nieudolny wierszyk? — zapytuje ostro, poznajomiwszy się z treścią. —

Naturalnie klasę zaległo grobowe milczenie.

— Pytam po raz drugi i ostatni: kto ułożył wiersz z podpisem Wu - Ka - Ra?

Dla nikogo w klasie nie było tajnem, która z pensjonarek używa tych liter dla zamaskowania swojej osoby. Nawet Danusia o tem wiedziała dobrze. Nikt jednak nie myślał wydawać autorki.

— Wobec tego, że nie chcecie się przyznać — czynię odpowiedzialną za te gryzmoły Skielską, która je ukrywała — a może nawet i napisała, a także i Orzajską, iż usiłowała usunąć!—Sprawa ta znajdzie się w ręku przełożonej.

Dziewczynki się zlękły.

P. Toskiej niezbyt się obawiały. Zwykle zawstydziła, pokrzyczała — czasem pozostawiła w kozie i tem się zwykle sprawa kończyła — z przełożoną żartów nie było.

Danusi serce zabiło również niespokojnie.

— Widocznie treść kartki jest bardzo zła, kiedy się nauczycielka tak rozgniewała.

Po dzwonku zawrzało.

— Przyznaj się... przeproś! — mówiły niektóre Roziemskiej. —

Lecz inne zakrzyczały:

— Chyba nie czytałyście wierszyka! — mogłaby ona wylecieć z pensji!

— Nie wydać! nie zdradzić! — wołały rozgorączkowane dziewczęta.

— Was jestem pewna! — oświadczyła Wiśka — lecz Skielskiej, jako nowej...

— Robisz głupstwa , a potem muszę ponosić kary! — ozwała się spokojnie Danusia: — przypomnij sobie, że to nie pierwszy raz!

— Chociażby nawet! — mówiła ostro Roziemska — tu nie jest prowincjonalna buda, gdzie nie mają pojęcia o koleżeństwie! — powinnaś nauczyć się nieco tych zasad, jeżeli życzysz nazywać się naszą koleżanką!

— Nie należało być gapą! — wtrąca zjadliwie Genia — jeżeli ci rzucono kartkę, trzeba było natychmiast przeczytać i podać dalej, a przynajmniej ukryć, aby nauczycielka nie dojrzała!

— Proszę mię nie włączać do waszej poczty, jeżeli jestem gapą — odpowiada z pewną goryczą Danusia: — będzie to lepiej i dla was i dla mnie...

— Więc nie uważasz się za koleżankę? — zakrzyknęła Kazia.

Tymczasem weszła do klasy p. Toska, a za nią przełożona.

Wrzawa umilkła jak na komendę.

— Skielska, powiedz mi, co wiesz o znalezionej u ciebie kartce? — zabrzmiał spokojny acz surowy głos p. Płochockiej.

— Zauważyłam ją wówczas, kiedy wstałam na wezwanie nauczycielki — spadła wtedy na podłogę...

— Więc się nie przyznajesz, żeś ją sama napisała?

— Nie...

— Zdaje mi się, że umiesz układać wierszyki?

Danusia znów zaprzecza.

— Nieuszanowanie dla nauczycielki musi być ukarane, nie obejdę się jednak z winną zbyt surowo: chcę, aby ona uznała błąd przy całej klasie, przeprosiła i obiecała poprawę — poczem puszczę tę całą

sprawę w niepamięć, czy takie żądanie jest słuszne? — czy sprawiedliwe?

— Tak... powtórzyła dzieweczka ciszej, niż poprzednio.

— Wzywam więc winną, aby się przyznała!

Odpowiedziała jej śmiertelna cisza.

— Daję całą minutę, aby się namyśliła! — oświadczyła przełożona — powtarzam, iż większej kary nie wyznaczę!

Przy tych słowach spojrzała na zegarek.

Ale znów zapanowała głęboka cisza...

Dziewczęta, zdawało się, nie śmiały nawet oddychać...

— Może wziąć winę na siebie? — pomyślała Danusia — i dowieść całej klasie, że umiem być koleżeńską?

Już otwiera usta — lecz następuje u niej rozwaga:

— Przed chwilą powiedziałam, że zauważyłam kartę wówczas, gdy spadła... teraz zaś mam przyznać się do napisania — zresztą to nie szkodzi... wszak mię podejrzewają!

Ach, kiedy się ta minuta skończy? — sekundy zdają się wiekami!

— Kara nie wielka, a zupełnie słuszna — myśli tymczasem Danusia — można na nią się zgodzić... dziwię się więc Wiśce, że tego nie zrobi — a jeżeli nie przyzna się, wówczas kara spadnie na całą klasę... a mnie i Geni dostanie się surowsza...

Spogląda ukradkiem na przełożoną.

Surowa, ale spokojna jej twarz wcale nie odstrasza.

— Przykro jej będzie bardzo, gdy się Roziemska zatnie... i będzie musiała całej klasie karę wyznaczyć...

P. Płochocka spojrzała na zegarek.

Widocznie czas wyznaczony upłynął, gdyż podnosi głowę.

— Proszę pani... zaczyna cicho Danusia — ja zawiniłam... przepraszam panią nauczycielkę...

Przełożona spojrzała na nią nieco zdziwiona, poczem rzekła!

— Dobrze! — karę daruję! —

Poczem zwróciła się do klasy:

— Możecie wyjść.

Kiedy przełożona opuściła salę, dziewczęta rozpoczęły nową wrzawę — Danusia zaś szybko również wybiegła, chłodząc rozpalone policzki książką.

Zaraz zbliżyła się do niej Terenia.

— Poco było przyjmować cudzą winę... szepnęła zmartwiona: — namówiłabym Wiśkę, aby w czasie pauzy przyznała się wychowawczyni.

— Chciałam zaznaczyć, że pragnę być dobrą koleżanką! —

— Czy to warto? — wszak będziesz z nami tylko do wakacji.

Tymczasem przybiegła zadyszana woźna i oznajmiła przerywanym głosem:

— P. przełożona wzywa p. Skielską do gabinetu!

— A tam na osobności wyśpiewaj wszystko! — zakrzyknęła Wiśka, która na widok woźnej podbiegła szybko ku Danusi—znamy się na takich sztuczkach!

Dzieweczka spłonęła — ale nie było czasu na odpowiedź; — pośpieszyła żywo do gabinetu z pewną trwogą, która się mocno powiększyła na widok p. Toskiej i nauczycielki francuskiego, znajdujących się u przełożonej.

Jednak te panie zaraz wyszły, a p. Płochocka tymczasem zwróciła się do dziewczęcia ze słowami:

— Dlaczego wzięłaś winę na siebie? — pragnęłabym jednak, abyś była zupełnie szczera!

Głos jej był miły niezwykle — Danusia więc nie mogła wcale zaprzeczyć — musiała wyznać prawdę.

— Dziewczynki z mojej klasy nie chcą mię uważać za koleżankę... zaczęła cicho — zresztą... żal mi było pani przełożonej...

— Przyznajesz się więc do kłamstwa? — przerwała jej p. Płochocka, kładąc jej rękę na ramieniu— a czy nie wiesz, że kłamać jest bardzo brzydko? — że nawet i w takim wypadku nie wolno było tego robić — bo kiedy się nauczysz kłamać w szkole, będziesz to stosowała ciągle w późniejszym życiu?

W oczach Danusi ukazały cię łzy.

Przełożona ucałowała ją serdecznie.

— No, nie płacz już więcej — widzę, że żałujesz swego postępku. Daj mi słowo, że więcej nie będziesz wprowadzała w błąd ani mnie, ani innych nauczycielek.

— O, tak! — przyrzekam, że się to nie powtórzy! — zapewniła gorąco dzieweczka.

— Idź więc teraz do klasy, bo już dawno po dzwonku. Wierzę ci i ufam danemu słowu!

Wzruszona Danusia ukłoniła się w milczeniu i pośpieszyła do klasy, gdzie lekcja już się była rozpoczęła.

Koleżanki spoglądały na nią ze zdziwieniem i niemem pytaniem.

P. Toska, która prowadziła lekcję, zdawało się nawet nie zwróciła na nią uwagi.

Dzieweczka, spojrzawszy na nią, zadrżała:

Wyraz jej twarzy był surowy, a wskutek tego koleżanki siedziały niezwykle spokojnie.

Danusia nie wiedziała, że otrzymały bardzo ostrą naganę z ust nauczycielki, która im oświadczyła z goryczą, że straciła do nich całkowicie swoje zaufanie.

— Zdarza się w naszej klasie zadużo wybryków i coraz się częściej powtarzają! — mówiła im mocno niezadowolona — boli mię zaś najbardziej, że winne nie chcą się przyznawać! — będę więc musiała zmienić swe względem was postępowanie.

Poczem zaczęła lekcję.

Danusia zaś jest w obawie:

— Może się rozgniewała na mnie? — będę zapewne miała biedę!

Cicho więc posuwa się do swej ławki i lokuje się obok Geni.

Lekcja, zda się ciągnie niemiłosiernie długo.

Jedynem życzeniem Danusi jest, aby ją nauczycielka nie wyrwała.

Wreszcie dzwonek!

Danusię otaczają zewsząd.

— Co mówiła przełożona — sypią się zapytania. —

— Nie uwierzyła, że napisałam ten list...

— Zrozumiałyśmy to już wówczas, kiedy p. Toska weszła do klasy — drze się Ala Blatkowska, pulchna dzieweczka o jasnych włosach i błękitnych oczach: — zaraz napadła na nas, że postępujemy nieuczciwie!

— Ale chyba nie wydałaś? — piszczy Genia.

— Przełożona nawet mię nie pytała, kto ten wiersz komponował!

— Widzisz Wiśka! — krzyczy Ala — mogłaś nie śpieszyć się z przyznaniem! — nie było czego się obawiać!

— Czy mogłam jej wierzyć?... odpowiada niechętnie zagadnięta.

— Wstydź się! — Danusia już drugi raz ciebie ratuje, a ty się na nią dąsasz! — wtrąca Terenia. —

— Racja! — racja! — krzyczą, zewsząd dziewczęta: — powinnaś się z nią pogodzić!

Przyparta do muru Wiśka tłumaczy się i wykręca:

— Tak niezręcznie ona mnie niby broni, że muszę wreszcie się przyznać.. lepiej byłoby, gdyby wcale nie brała na siebie mojej winy!

— Ma jednak najlepsze chęci...

— Lecz jest niezgrabna jak niedźwiadek!

— Jesteś uprzedzona względem niej!

— Tylko tak się wam zdaje!

— Pogódź się!

— Wcale się na nią nie gniewam...

Niektóre z dziewcząt zaczynają się śmiać — inne zaś wołają:

— Wiśka się nie gniewa! — tylko przy każdej sposobności dogaduje...

— Złości się...

— Drwi...

— Czego wy wreszcie od niej chcecie? — zapytuje gniewnie Kazia Szymowska: — wolno jej żywić takie uczucia, jakie jej się podoba!

— Tyś tu nie potrzebna! — woła Ala — zamiast jątrzyć, pomogłabyś na Wiśkę wpłynąć, aby się pogodziła!

— Ma ona swój rozum i nie życzy sobie, abyście ją uczyły!

— Jeżeli na mnie się nie gniewasz — wtrąca Danusia: — w takim razie możemy sobie podać ręce, jako dobre koleżanki...

— Och, mamy czas... odpowiada zagadnięta — wolę lepiej poznać, z kim mam do czynienia...

— Zaprzeczasz swoim słowom! — mówi Terenia — oświadczałaś, że się nie gniewasz, a tymczasem pełna jesteś dla niej niechęci!

— Wstydź się! — upomina Ala.

— Dajcie mi pokój! — zawołała Wiśka i pochwyciwszy Kazię pod rękę, szybko uciekła na podwórze.

Danusia udała się tam również z Terenią.

— Ciekawa rzecz! — mówiła tymczasem ta ostatnia: — są takie osoby, na których nie można wcale wpłynąć! — ani złem, ani dobrem nie podobna ich przekonać!

— Cóż robić... westchnęła Danusia: — chciałam porozumienia z Wiśką.. okazuje się, że to niemożliwe; tak bardzo się obraziła, że nie przesłałam wówczas jej bilecika...

— Mylisz się.. ona się przyjaźni z Kazią, a ta ostatnia nie może ci darować Jarosława!

— Przecież nie bałamuciłam go wcale! — wyjaśnia żywo Danusia — sam się zbliżył do mnie, przedstawił, prosił o taniec, a miło mi było z nim tańczyć, gdyż się zachował nadzwyczaj przyzwoicie... bez najmniejszej poufałości...

— Wiem o tem — wspominałaś mi parę razy,— ale Kazia nie chce tego zrozumieć, bo Jarosław teraz nie chce się nawet jej pokazywać na oczy — kiedy zaś spotka na ulicy kłania się tylko zdaleka, a zagabnięty zbywa półsłówkami, zaraz się żegna i ucieka!

— Nie wpływałam wcale na niego...

— Lecz Kazia jest przekonaną, że ty jesteś przyczyną zerwania! — jest pewna, że u ciebie bywa...

— Wiesz dobrze, iż to jest absolutnie niemożliwe! — wszak znajduję się na stancji u p. Toskiej, gdzie nawet myśleć o tem nie podobna!

—Tak! — wiem! — i nieraz jej to tłumaczyłam! — ona jednak nie wierzy mi ani trochę; jest przekonana, że ja cię bronię, jako przyjaciółka — i ukrywam istotny stan rzeczy!

— Trudno nato poradzić...

— Tak, bo „kto jada flaki, myśli, że każdy taki!“ — jak mówi przysłowie... Kazia żyje tylko flirtem, i wszystkich sądzi po sobie!

Nielitościwy dzwonek przerywa te wynurzenia i zapędza do klasy.

IV

SKUTKI FIGLÓW.

Kiedy po skończonych lekjach Danusia wracała do mieszkania w towarzystwie p. Toskiej, ta ostatnia nie odzywała się wcale.

— Źle — pomyślała dzieweczka — nie wróży to nic dobrego: wiem z praktyki, że kiedy ma dać surowszą burę, nie zaczyna jej w drodze!

Istotnie dopiero w domu nauczycielka zaczęła ostro:

— Czy się nie oduczysz kłamać? — nic nie pomogło tobie, że cię ukarałam przy całej klasie!

— Przepraszam... szepnęła dzieweczka.

— Nie tak prędko, moja panienko! — musisz ponieść karę i to surowszą. Będziesz klęczała całą godzinę, dziś przed obiadem!

Danusia spojrzała na nią zdumiona niebywale. Nie spodziewała się czegoś podobnego.

— Nie potrzeba się dziwić! — dodała p. Toska jeszcze bardziej ostro: — może to kara staroświecka, ale skuteczna i celowa. Gdy miałam lat siedemnaście, otrzymałam taką samą od matki z tą różnicą, że klęczałam dwie godziny. Zawsze wspominam to z wdzięcznością, gdyż się potem poprawiłam!

Racje te nie przekonywały wcale Danusi. Stała milcząca, nieledwie osłupiała...

— Daję ci dziesięć minut czasu do namysłu — ciągnęła nauczycielka — możesz odmówić spełnienia tej kary, jeżeli ją uważasz za ubliżającą twej godności. Kłamstwo jednak więcej ci ubliża. Ale w takim wypadku napiszę do twego ojca. Niech sam ci wyznaczy karę za dwukrotne wprowadzenie mnie w błąd. Teraz idź do swego pokoju. Po upływie wyznaczonego przezemnie czasu, oznajmisz mi, co wybrałaś.

Dzieweczka wybiegła.

— Za nic! — za nic! — powtarzała sobie, zaciskając mocno dłonie — takiej się karze nie poddam! — nie potrzebuję się wcale namyślać! — niech ona pisze nawet dziesięć listów! — ja również zaraz zawiadomię ojczulka o wszystkiem!

Zasiada przy stoliku, przygotowuje papier — poczem szybko zaczyna nagłówek.

Lecz po kilku wyrazach wstępu ciąg dalszy jej nie idzie...

Zaczyna się namyślać.

— Jaka to będzie jednak przykrość dla ojczulka — szepce sobie z goryczą: — a przecież wiem, jak strasznie cierpiał, gdy byłam usunięta z pensji i pozbawiona prawa nauki; jak się cieszył, kiedy mi znów pozwolono się uczyć! — obiecałam mu, że w Warszawie o niczem innem nie będę marzyła, jak o najlepszych wynikach swej nauki... że to ostatnia już przykrość, która go spotkała z mej strony, a teraz?...

Lecz i na karę zgodzić się nie podobna!

Gdyby nie tak upokarzająca!

— Może prosić o zmianę? — przez trzy dni naprzykład obiad o godzinę później? — może bez kolacji iść spać w ciągu kilku dni? może coś podobnego?

Wie jednak, że p. Toska nie lubi zmieniać rozkazów.

Zresztą za karę może wzbronić uczęszczania do kościoła, a to byłoby również niezmiernie przykre...

— Co robić?...

Znów chwyta pióro do ręki i zanurza w kałamarzu...

— Przeproszę ojczulka i... zapowiem, że to już raz ostatni...

Pióro jednak wypada jej z ręki...

— Już obiecałam i to uroczyście, biorąc Ninkę za świadka...

Spogląda na jej dużą fotografję umieszczoną nad etażerką.

Patrzą tam na Danusię oczy przyjaciółki.

Czar tego spojrzenia dzieweczka poznała jeszcze w czasie podróży do Włoch, kiedy z uprzedzeniem i niechęcią spoglądała na Ninkę...

Promienny uśmiech jej ust zdaje się zachęcać do ofiary.

Danusia się zrywa z krzesła.

— Jakbyś ty postąpiła? — szepce, zbliżając się do portretu.

Przypomina tymczasem sobie słowa przyjaciółki; kiedy niedawno przy niej popełniła kłamstwo:

— A poco?... Jezus słyszy...

Jak ona wymówiła to święte Imię!...

Miłość, szacunek brzmiał w jej słowach...

Nic dziwnego — wszak przed godziną przystąpiła do komunji...

— Więc przyjąć karę? — pyta siebie dziewczę.

Wstrząsa się cała na taką myśl...

Oczy jej wędrują w stronę stołu, zatrzymują się na czystej jeszcze prawie karcie papieru...

— Jak się wytłumaczyć przed ojczulkiem? kotłują się myśli w jej głowie — jak mu oszczędzić przykrości?

Kilka dni temu otrzymała od niego list..

„Tęskno nam za tobą, ptaszynko — ale pociesza nas myśl, że pracujesz nad wzbogaceniem swego umysłu, że nie zapominasz o ideałach, które powinny przyświecać polskiej dzieweczce! Krzepi mię to w pracy, i do niej zachęca — z myślą o tobie, zajęcia są lżejsze, zmęczenia się nie boję!...“

Właśnie leży ten list otwarty na górnej półce szafki... słowa, kreślone wyraźnie ręką ojca, wpadają jej w oczy...

— I mam zrobić ojczulkowi przykrość? — on teraz właśnie znajduje się w szpitalu... przy uciążliwej pracy; może robi operację, wymagającą wielkiej uwagi, zimnej krwi... na obiad uda się nieprędzej, niż za godzinę, a jutro zmęczony, zgłodniały otrzyma przed jedzeniem mój list.. a zarazem i p. Toskiej.

Znów się wstrząsa cała...

Bezradnie patrzy w oczy Ninki...

Och, gdyby ona tu była!... gdyby mogła przemówić!...

Ale niema czego się domyślać...

Spojrzałaby tylko, a w tem spojrzeniu można byłoby wyczytać radę:

— Oszczędź ojcu przykrości, ofiaruj tę karę za pokutę... na cześć Boga, dla Bożej Matki...

Danusia składa ręce:

— Dla Ciebie Najświętsza!...

Zdecydowanym krokiem zbliża się do drzwi.

Wprawdzie jeszcze czas wyznaczony nie zupełnie upłynął — wchodzi do jadalni i mówi słumionym nieco głosem:

— Przyjmuję karę...

P. Toska wstaje z krzesła, idzie do swego pokoju i tam w środku wskazuje miejsce:

— Proszę!—

Poczem wraca do drzwi i zamyka je na klucz.

Płomienie buchają na twarz Danusi.

W oczach zakręciły się łzy...

W ostatniej chwili duszą jej owłada bunt.

Ale tylko na jedno mgnienie oka...

— Już ofiarowałam Matce Bożej! — przypomina sobie, zaciskając usta.

Klęka na wyznaczonem miejscu, odwracając nieco głowę od nauczycielki, aby nie widziała łez, co zaczynają płynąć po twarzy.

Żywo w oczach jej staje chwila, gdy miała lat siedem...

Jadła niedojrzałe owoce, znalezione w ogrodzie...

Matka wyznaczyła jej taką samą karę...

Kazała przytem ręce unieść do góry...

Bolało bardzo...

Ale już nigdy nie wzięła do ręki niedojrzałego owocu...

I teraz bezwiednie ręce unosi do góry...

— Poco? — przebiega jej w myśli — p. Toska nie kazała...

Lecz nie opuszcza. —

— Niech boli! — będzie to pokuta za moje kłamstwa!...

Przed jej oczami przewija się dzieciństwo.

Mimo żywości — była posłuszną...

Nieraz swawolna — zachowała miarę...

Ale od lat dwunastu zaczęła ją psuć Lipka, córka rządcy majątku, z którą rodzice jej pozwalali przestawać...

A w klasie piątej w roku zeszłym Róża dokończyła dzieła! — przez nią nawet pozostała na drugi rok!

Wreszcie na drodze jej stanęła ukochana — droga Ninka...

Poznała ją w czasie podróży do Włoch — i mimo niechęci i zawiści w początkach — pokochała jak najlepszą przyjaciółkę...

Pod jej wpływem zrozumiała, czem jest przyjaźń z Różą — do czego może doprowadzić!

Zerwała z nią zupełnie!

Usunęła się z „Klubu Bohaterek" — którego celów nie znała jeszcze dobrze. —

Nawet inne koleżanki zeń wyciągnęła...

Ale ręce już bolą...

A zaledwie upłynęło z dziesięć minut!

Słychać, że w stołowym pokoju krząta się służąca. Dźwięczą talerze i sztućce...

Po chwili odzywa się pukanie do drzwi.

Lica Danusi pokrywa jeszcze większa purpura.

Ale wnet sobie przypomina, że są zamknięte na klucz.

— Czy podawać obiad? — pyta służąca, nie mogąc wejść do pokoju.

— Można! — odpowiada jej p. Toska.

Ach, jak bolą ręce!

Dzieweczka czuje, że drżą mocno...

— Opuszczę, kiedy p. Toska wyjdzie do jadalni, przecież nie nakazała unosić, a całej godziny tak nie wytrzymam, gdyż zaledwie upływa kwadrans...

— Wstań już, Danusiu — słyszy nagle łagodny niezwykle głos nauczycielki — cenię twoje posłuszeństwo i przejęcie się karą.

Dziewczę się zrywa.

Kłania się wychowawczyni i biegnie co tchu do swego pokoju.

Bo służąca wyszła właśnie po obiad — a trzeba się umyć, gdyż cała twarz zalana łzami i płonie jak piwonja...

Ale jej duszę przejmuje jakaś błogość.

— P. Toska nie napisze do ojczulka! — nie będzie miał przykrości... a przytem i nauczycielka widocznie ją pożałowała...

— Tylko kwadrans wstydu i upokorzenia, a potem nazwała mię po imieniu.. dopiero poraz pierwszy od miesiąca.. czyli od czasu, jak jestem na jej kwaterze...

Ale i matka ją pożałowała wówczas, kiedy Danusia mając siedem latek odcierpiała karę przykładnie, lubo oblaną obfitemi łzami: ucałowała i długo pieściła swą jedynaczkę...

Kochana!..

— Ach, jakby ją teraz mogła ujrzeć — utulić się, wypłakać łzy...

Daleko...

Napisać do niej?—lecz słowa, przelewane na papier, są tak suche... tak trudno oddać w nich żal serdeczny... aby odczuła w całej pełni cierpienie i upokorzenie swego dziecięcia — ta droga... jedyna...

Mateńka...

Więc chociaż twarz myje wodą wprost z kranu, trudno powstrzymać łzy — trudno nad niemi zapanować...

A trzeba!

Bo musi ukazać się i wychowawczyni i służącej. —

— Czegóż płaczę? — zapytuje siebie wreszcie — ofiarowałam przecież ten ból, wstyd i karę Maryi Pannie! — wygląda to tak, jakbym tej ofiary żałowała! — więc: ani łzy!

Myje więc żywo twarz i osusza ją ręcznikiem, poczem śpieszy do jadalni, gdzie p. Toska już kończy zupę — nie lubi ona, kiedy się dziewczę spóźnia do obiadu — nic jednak dziś nie mówi.

Zaledwie w połowie obiadu zwraca się do swej uczennicy:

— Spodziewam się, że nie będziesz miała do mnie żalu: tyś zawiniła — wina twoja istotnie była wielka, bo skłamałaś przy całej klasie w rzeczy wielkiej wagi — jam cię ukarała, kara również była surowa, równa winie — ale trzy czwarte jej darowałam... zresztą w cztery oczy...

Głos jej przytem nie jest tak suchy, jak zwykle, nie używa zdań krótkich, lapidarnych mówi spokojnie, jakby gawędziła z Danusią.

Jej racje nie bardzo przekonywują dzieweczkę, zwraca tylko uwagę na ton głosu i sposób mowy.

Zapewne... było to kłamstwo — myśli sobie tymczasem — lecz w imię koleżeństwa... uważałam siebie wówczas nieledwie za bohaterkę... — a tymczasem — kara!

— Wiedz jednak o tem — kończy p. Toska po chwili — że mnie było bardzo przykro zmuszać cię do poniesienia tej kary; — ale wierz mnie: chciałam naprawdę twego dobra..

Ostatnie słowa wypowiada ciszej i z pewnem uczuciem, co robi duże wrażenie na Danusi.

— Może ona nie jest tak zła, jak się wydaje? — zapytuje się dziewczę w myśli.

Lecz nauczycielka już skończyła jedzenie. Wstaje i mówi zwykłym, obojętnym głosem:

— Muszę wyjść do miasta dla załatwienia pewnej sprawy. Przechadzkę odbędziemy później.

Danusia wstaje również, kłania się, jak zwykle po obiedzie i odchodzi do siebie.

Mało ją obchodzi, że do nauczycielki widocznie teraz przyszli goście: co zapowiedział dzwonek w przedpokoju i stwierdza odgłos żywej rozmowy. — Usiadłszy na krześle i zakrywszy twarz rękami, chce się zastanowić nad tem, co się stało...

— Kara istotnie była za surowa i niezwykła... przebiegają myśli — nie jestem dzieckiem, aby do mnie ją stosować... upokorzenie... wstyd...

Zdaje się jej jednak, że ktoś jest w pokoju — już chce oderwać ręce od twarzy, na której czuje nowe łzy — ale w tej chwili oplatają jej szyję czyjeś ramiona...

Nie trzeba jej wyjaśniać — kto się zbliżył do niej z taką pieszczotą, tak cicho jakby duch jaki, tak serdeczną, jakby to była matka..

— Ninuś.. szepce rozrzewniona: — ty przeczułaś chyba...

Zrywa się i całuje na powitanie przyjaciółkę, która swemi błękitnemi oczami tak wymownie — z takiem współczuciem patrzy na Danusię..

Nawet nie pyta o przyczynę łez — bo widać to w wyrazie jej twarzy, w spojrzeniu...

Danusia zaczyna opowiadać... naprzód trochę bezładnie...

Żal, gorycz przebija w jej słowach...

Skarży się ze łzami, nic nie ukrywając...

Płoną jej policzki, kiedy wyznaje swe upokorzenie...

— Jak dobrze postąpiłaś, odzywa się wreszcie Ninka, tuląc się do przyjaciółki — i ojciec nie będzie miał przykrości, i Matka Najświętsza otrzymała ofiarę...

— Przyznasz jednak, że kara była nieproporcjonalnie ciężka...

— Im większa, a trudniejsza ofiara, tem większą chwałę przynosi... cieszą się z niej Aniołowie — raduje Święta Panienka, — a ty płaczesz?

Danusia uśmiecha się przez łzy:

— Masz rację... już nie będę!

— Dobrze... tembardziej że na tę karę zasłużyłaś, bo kłamstwo jest grzechem.

— W takich okolicznościach? — sądziłam, że nawet powinnam była tak postąpić!

— Mylisz się — zaprzecza łagodnie przyjaciółka, łącząc te słowa z pocałunkiem — obawiam się nawet, że będzie to grzech ciężki, zresztą zapytaj na spowiedzi — bo w rzeczy ważnej.

— A jeżeli chciałam ratować koleżankę?

— Dobry cel nie uświęca wcale złych środków... jak naprzykład: ukraść i dać z tego jałmużnę!

Danusia znów się śmieje:

— Tak to widoczne! — jednak na pensji takie kłamstwa są nieuniknione: inaczej trudno byłoby wyżyć..

— Tak się mówi... można jednak tego uniknąć, jeżeli się bardzo chce...

Tymczasem służąca wnosi herbatę — ale aż dwie filiżanki z wyjaśnieniem:

— Pani kazała podać i dla gościa...

— Wprawdzie już jestem po obiedzie i po herbacie — zauważyła Ninka — lecz to nie szkodzi: dotrzymam towarzystwa.

— Bardzo ci wdzięczna jestem... za wszystko: nie możesz sobie wyobrazić, jak bardzo pragnęłam dziś ciebie ujrzeć! — podzielić się swemi myślami, poradzić się...

— Przyznam się, że mię dziś coś jakby ciągnęło do ciebie, chciałam jednak przyjechać później tramwajem, ale z pensji wpadłam do pp. Izalskich, gdzie mię Krzysia zatrzymała na obiad, poczem poczciwa jej ciotunia zabrała mnie swym samochodem...

— Ach, więc przyjechałaś z p. Felicją Izalską?

— Tak... jest w jadalni z twoją wychowawczynią. —

— Szkoda, że Krzysi nie wzięłyście z sobą.

— Miała ona ochotę ciebie odwiedzić, lecz jej mama, p. Wacława Izalska, miała jakiś interes do mia-

sta, pojechałyśmy więc z nią i pozostawiłyśmy w okolicy księgarni „Kroniki Rodzinnej“ czyli na Placu Zamkowym, Krzysia więc została w domu.

— Szkoda... powtarza Danusia.

— Tak! — tak! — śmieje się Ninka — a gdybym przywiozła Krzysię, żałowałabyś Cesi. —

— Bo wy wszystkie takie jesteście kochane — ach, co to będzie za szczęście, kiedy w roku przyszłym będę się z wami uczyła na jednej pensji!

— I będziesz się z nami kłóciła! — bo kto się lubi ten się czubi!

— Tylko nie z wami!

— Przekonam cię! — śmiała się Ninka.

— A ja was!

— Moje będzie na wierzchu!

— Naodwrót!

— Przegrasz!

— Mylisz się!

W tym miejscu Ninka przerwała. Mieszając łyżeczką herbatę, przechylała pociesznie główkę i wpatrywała się w oczy przyjaciółki. Usta jej otoczył zagadkowy filuterny uśmiech.

Zaintrygowana Danusia patrzała jej pilnie w oczy.

Nagle Ninka parsknęła śmiechem, jak kotka.

— A widzisz! — już pokłóciłaś się ze mną! — a cóż dopiero będzie, gdy się wszystkie zbierzemy razem!

Teraz i Danusia zaczęła się śmiać.

— Tak... na podobną kłótnię mogę się zgodzić! — ale takiej ze złością...

— A kto przypuszcza kłótnię ze złością, wymyślaniem, a przynajmniej dąsami? — jak mogłybyśmy potem iść do komunji?

Herbata skończona. Ninka się zrywa.

— Już czas!

— Och, tak prędko...

— Miałam zabawić kwadrans, ale z racji herbaty przeszło nieledwie pół godziny — więc do widzenia! — p. Wacława nie powinna zbyt długo oczekiwać!

Dziewczęta się żegnają.

Ninka, wychodząc już, mówi serdecznie:

— Pamiętaj: nie płacz! — już twa kara ofiarowana za pokutę! —

Oczy jej wyrażają taką prośbę, że Danusia odpowiada zaraz skwapliwie:

— Daję ci słowo! — tak mię pocieszyłaś i rozweseliłaś, że wszystkie smutki uciekły daleko — za morze!

Przyjaciółki wchodzą do sali jadalnej, gdzie na widok Ninki wstaje zaraz młoda jeszcze stosunkowo pani, poważnie i skomnie ubrana i zaczyna się żegnać.

— Nie spodziewałam się, że dziewczynki tak będą wzorowe — mówi p. Toska — ledwie skończyłyśmy herbatę, one również się ukazały bez żadnego wezwania!

— Wcale nie jestem wzorowa — zaprzecza żywo Ninka — całe dziesięć minut się spóźniłam! — ale kiedy już należało żegnać, przyniesiono nam herbatę.

P. Felicja uśmiechnęła się lekko i rzekła:

— Naturalnie, że była to poważna przeszkoda, z której byłaś zapewne bardzo zadowolona — przypuszczam jednak, że nie starałaś się pić tak, aby p. Wacława na nas czekała.

Ninka nic nato nie odpowiedziała — skłoniła tylko główkę, a z tego ruchu można było zrozumieć i szacunek i potwierdzenie słów p. Izalskiej. —

Pożegnawszy uprzejmym ukłonem gospodynię mieszkania, skierowała się żywo do wyjścia, przyczem

uniosła rękę wedle swego zwyczaju i poruszyła parę razy dłonią na pożegnanie Danusi.

Rzuca jej zarazem pełne serdeczności wejrzenie.

— Dowidzenia! — dowidzenia! — woła jej w odpowiedzi Danusia i odprowadza aż do drzwi, poczem kłania się p. Toskiej z zamiarem udania się do swego pokoju.

— Za kwadrans idziemy na spacer i po zakupy! — mówi jej tymczasem nauczycielka — pamiętaj, abyś była gotowa!

— Dobrze — szepce dziewczę, wychodząc z saloniku.

— Jaka to miła dzieweczka, ta Ninka — myśli sobie p. Toska — jak dobrze wychowana! — szkoda, że na naszej pensji niema podobnej! — bez cienia pretensji lub pozowania na dorosłą panienkę, — a przecież ma chyba już lat z piętnaście...

Kieruje się tymczasem do swego pokoju, przyczem napadają ją zwykłe wątpliwości:

— Kto jednak może odgadnąć, co się kryje pod ową maską dobrego wychowania? — wypieszczona przez matkę — bogata jedynaczka — umie się znaleźć w towarzystwie, potrafi jednać serca — Danusia naprzykład za nią przepada... ale czy jej wpływ naprawdę tak jest dodatni?

Zasiada w swoim fotelu i bierze się do poprawiania zeszytów.

Po chwili jednak robotę odkłada:

— Trzeba iść na spacer... tak mi się nie chce!... o czem będę rozmawiała? — poproszę chyba moją sąsiadkę, by poszła z nią do miasta.

Zamiar swój urzeczywistniła — poczem idzie zawiadomić Danusię.

Zastaje dzieweczkę z książką w ręku.

Jakkolwiek widać na jej twarzy ślady niedawnych łez, ale maluje się na niej pogoda.

Na widok nauczycielki zrywa się z krzesła, odkłada książkę i staje w uprzejmej postawie.

— Pójdziesz dziś na spacer z p. Albecką — oświadcza jej p. Toska — jestem zajęta.

— Dobrze... szepce Danusia, skłaniając lekko głowę.

P. Toska się dziwi.

Sądziłam, że Danusia mimo jej uwag w czasie obiadu, będzie czuła żal za bądź co bądź surową karę, a tymczasem przekonywa się, iż się omyliła.

— Widocznie jestto wpływ tej Ninki — myśli sobie, wracając do swego pokoju. —

Przypomina sobie, że w czasie poobiedniej herbaty, słyszała śmiech Danusi.

— Nieinaczej tylko to jest wpływ jej przyjaciółki! — lecz dlaczego i z kogo one się śmiały? —

W jej duszy powstają znów wątpliwości:

— A może Ninka przyniosła jej przeciwpaństwowe broszury, albo książki? kto wie, co Danka teraz czytała? — licho nie śpi! — kto raz pozwolił sobie na pracę przeciw Ojczyźnie, tego nigdy nie można uważać za dość pewnego...

Bierze się znów do poprawiania zeszytów — lecz ciągle ją prześladuje myśl o Danusi.

— Jako wychowawczyni powinnam tę rzecz zbadać! — decyduje wreszcie — inaczej bowiem miałabym wyrzuty sumienia, gdyby cokolwiek się stało— muszę przeprowadzić w jej pokoju rewizję, zaraz, kiedy uda się na przechadzkę.

Słychać właśnie, że już idzie.

Po chwili p. Toska wygląda przez okno. Widać zeń dzieweczkę w towarzystwie sąsiadki. Gawędzą żywo ze sobą. —

Wobec tego śpieszy zaraz do pokoju Danusi i sta-

rannie przegląda wszystkie książki, zeszyty — przepatruje pilnie szuflady, potem pościel, szafę... nigdzie jednak nie może znaleźć nic podejrzanego.

Na małym stoliczku leży książka.

— Ach, tę właśnie ona czytała! — szepce nauczycielka — ta sama oprawa i format!

Na pierwszej stronie dedykacja:

„Mojej drogiej Nince w dzień imienin“ — Felicja Izalska“ — a w dole: „Własność Ninki Lubożedzkiej“.

P. Toska ciekawa jest tytułu książki. Odwraca więc pierwszą kartę.

— „Dzieje duszy“... szepce nieco zdziwiona — to jest... życiorys św. Tereni....

W książce znajduje się zakładka, z której można poznać, że Danusia już sporo przeczytała.

— Więc dostała ją nie dzisiaj...

Kładzie powoli książkę na swoje miejsce, poczem jeszcze zagląda za piec, przeszukuje wszystkie zakątki pokoju, odchyla nawet dywan nad łóżkiem— nigdzie jednak nic niema.

— Widocznie moje podejrzenia nie są uzasadnione — szepce do siebie, opuszczając pokój — przedewszystkiem zaś muszę zmienić swoje zapatrywania na Ninkę: ona nie może być złą dziewczynką, kiedy daje takie książki do czytania...

Zasiada tymczasem przy swoim biurku. —

— Nie zbyt to miła rzecz robić taką rewizję, ale mam dobro Ojczyzny na celu. Nie mogę pozwolić, aby przez dziewczynkę, powierzoną mej opiece, rozszerzała się jakakolwiek zaraza na całą pensję. Szczęściem nic dotąd nie zauważyłam u Danusi podejrzanego, ale muszę być ostrożną. „Salus reipublicae suprema lex esto!“ *), jak mówili dawni rzymia-

*) „Dobro Rzeczypospolitej jest najwyższem prawem“.

nie i póki się przytrzymywali tej zasady, że szczęście ojczyzny ma być najwyższym prawem, państwo rzymskie rozwijało się, potężniało, wzrastało, a kiedy o tem zaczęli zapominać, wszystko zmarniało... i państwo rozleciało się samo...

Otwiera jednocześnie zeszyt i zaczyna go poprawiać.

V

PODEJRZENIA

W tym czasie Danusia w towarzystwie p. Albeckiej przeszła parę ulic, kupiła sobie ołówek — poczem skierowała się ku mieszkaniu.

— Jeszcze wcześnie — zauważyła jej towarzyszka — p. Toska prosiła, aby conajmniej z godzinę zabawić na przechadzce.

— Musiałybyśmy chyba pół Warszawy oblecieć — zaśmiała się dzieweczka — zaledwie kwadrans upłynął!

Danusia ją lubi. Miła, poczciwa, szczera, musi się podobać. Wskutek tego zawsze z ochotą idzie z nią na spacer.

P. Albecka również się śmieje.

— Nie taka mała jest Warszawa! — odpowiada — nawet i dorożką nie objechałybyśmy jej tyle w tak krótkim czasie; — ale... powiedz mi moja mała, czego dziś płakałaś?

— Ach... drobiazg! — uważałam, że kara zastosowana przez moją wychowawczynię trochę mi ubliża...

— I w rezultacie nie posłuchałaś? — a p. Toska w gniewie dała ci surową burę?

— Wcale nie! — dobrowolnie zgodziłam się ponieść karę!

— Wyobrażam sobie, jak straszna ona była! — żartuje p. Albecka — z pewnością pójść na kwadrans do kąta!

— Ech... troszkę gorzej...

— Zaciekawiasz mię! — więc chyba klęczeć na grochu?

— Tak.. tylko nie na grochu — przyznaje się szczerze Danusia.

— Chyba żartujesz! — moja Jadzia ma dwunasty rok zaledwie, ale zbuntowałaby się ostatecznie, gdybym ją chciała w podobny sposób ukarać.

— A jednak... tak było...

— Poczciwe z ciebie dziecko! — gdybyśmy nie znajdowały się na ulicy, ucałowałabym ciebie! — Muszę powiedzieć p. Toskiej...

— Proszę pani! — niech pani tego nie robi! — zawołała ze strachem Danusia — wychowaczyni mogłaby się obrazić!

— I znów cię ukarać; nie jest ona tak bardzo zła, jak ci się wydaje! — ale jeżeli sobie życzysz...

— I proszę! — pomyślałaby ona, że robię plotki...

— Może...

Czas jakiś szły w milczeniu — wreszcie Danusia zwróciła się do swej towarzyszki:

W tej kamienicy mieszka jedna z moich koleżanek, Dziunia Gołąbska — pożyczyła ode mnie cyrkiel jeszcze w zeszłym tygodniu i dotychczas nie oddała — tłumaczy się, że ciągle o tem zapomina.

— Chciałabyś więc wejść tam na chwilę? przerywa jej p. Albecka.

— Jeżeli to pani nie sprawi różnicy...

— Ani trochę! — więc idziemy.

Danusia chce się zobaczyć z koleżanką, która dawniej się narzucała ze swą przyjaźnią, prosiła często do siebie, lub sama wpadała z wizytą — a teraz od

czasu przyjazdu Róży zupełnie się zmieniła pod tym względem...

— Gdyby to nie Sterlerówna — myślała sobie nieraz z wielką troską — nie miałabym nic przeciw temu... mam serdeczne przyjaciółki: przedewszystkiem Ninkę — pozatem Krzysię Izalską, Cechnę Modrołęcką — a nawet i Terenia jest mi bardzo miła — Dziunia zaś stała na ostatnim planie... lubiłam ją jednak...

Dziś więc korzysta ze sposobności:

— Pogawędzę z nią swobodnie... p. Albecka tymczasem będzie rozmawiała z matką Dziuni.. może trochę wpłynę na koleżankę... bo ta przyjaźń z Różą... nie bardzo mi się podoba...

Tymczasem weszły na schody.

Dzwonek nie działał — mimoto ktoś z mieszkania zawołał:

— Proszę — nie zamknięto!

P. Gołąbska szyła, jak zwykle...

Głowę miała obwiązaną, — a wyraz twarzy zbolały...

Na widok Danusi zerwała się z krzesła, z okrzykiem:

— Ach, panna Skielska! — jak dobrze!

— Czy jest Dziunia?

— Och, panienko... jęknęła p. Gołąbska: — teraz jej nigdy niema... chyba tylko kiedy je, albo śpi...

Przy tych słowach na jej twarzy ukazały się łzy.

— Cóż jej się stało?

— A cóż... nowa znajomość... jakaś Róża, z którą ciągle przebywa... nie wiem, kiedy się uczy — co robi.. ale o mnie zapomniała zupełnie...

— Ja również zwróciłam uwagę na tę nową przyjaźń i chciałam z nią pogawędzić na osobności, bo na pensji niema czasu...

— Naprawdę? — panienka o niej nie zapomniała? — sądziłam, że jako zamożna dziedziczka znalazła inną przyjaciółkę z odpowiedniej sfery... lub, że poróżniłyście się o cokolwiek...

— Nic z tego! — naodwrót: Dziunia mnie zaniedbała zupełnie, tak, że nawet koleżanki zwracają na to uwagę.

P. Gołąbska znów zalała się łzami.

— Jak niedobra ta dziewczyna... mówiła, ocierając oczy: — a mnie się zdawało, że już weszła na drogę poprawy... zaczęła się obchodzić ze mną z szacunkiem, pomagać w robocie, bo mi tak często sił brakuje... oczy, głowa coraz więcej bolą .. a tymczasem coś jej znów strzeliło do głowy... o nic nie dba, ciągle śpieszy, nigdy jej w domu niema...

— Smutne to naprawdę.. muszę z nią porozmawiać.. na ten temat.. trochę poważniej...

Biedna kobieta złożyła ręce:

— Nie umiem wypowiedzieć, jak jestem wdzięczna! — niech panience Bóg zapłaci! — może się uda znów na nią wpłynąć...

— Czy nie wspomina o tym balu u jej ciotki p. Zygfrydy Gołąbskiej? — pytała Danusia, której przyszedł nagły pomysł do głowy.

— Wspomina... ale rzadko... Zaraz po śmierci Doleckiej, matki Tereni, postanowiła zwrócić materjał jedwabny, który wzięła bez mojej wiedzy na kredyt w sklepie... narazie go jednak nie oddała, a teraz znów wymaga, abym z niego szyła sukienkę... a tymczasem muszę śpieszyć z inną robotą, bo zadłużyłam się w sklepikach i nie chcą mi już dawać...

Danusia przypomina sobie, że ta śmierć wstrząsnęła głęboko Dziunią, — że postanowiła ona popra-

wić życie, co nawet zaczęła stosować. Widać było znaczną zmianę w jej postępowaniu — nawet i w nauce. Trwało to do ukazania się Róży na pensji...

Danusia przytem nie chce przyznawać sobie, że jak ona, tak i Ninka wywarły duży wpływ na Dziunię.

Tymczasem rzuca pytanie:

— Czy ta... nowa jej przyjaciółka, Róża, bywa czasem u pani?

— Owszem.... nawet często; na mnie jednak ona nie zwraca uwagi, jakbym nie istniała... wpada szybko do pokoju Dziuni, potem coś szepcą tak cicho, że nic nie podobna dosłyszeć... najczęściej wówczas obie razem wychodzą....

To wyjaśnienie zaniepokoiło niezmiernie Danusię:

— Jeżeliby było prawdą, że Róża chce się poprawić, zacząć inne życie tak, jak mi to przyrzekała, dlaczego więc otacza się jakiemiś tajemnicami? — co znaczą te szepty i znikanie z Dziunią na całe popołudnia?

Przypomina sobie, że w ostatnich dniach parę razy nie było na pensji Dziuni i Róży... raz zaś w czasie wielkiej pauzy zwolniły się obie z dalszych lekcji i razem wyszły z zakładu...

— Czy Róża nie przynosi jakich książeczek, lub broszurek? — pyta znów z niepokojem.

—Tak! — zwykle przynosi i daje Dziuni... ale nigdy ich nie widzę w mieszkaniu... nie wiem, czy je córka chowa tak sprytnie, że nie mogę znaleźć, czy zaraz odnosi wieczorem dokąd....

Danusia załamała ręce.

— Nieszczęście... szepnęła — biedna Dziunia zapewne wplątała się w jakieś sieci...

Ale p. Gołąbska nie dosłyszała tych słów dziewczęcia i dalej rozwodziła swe żale.

— Najmniej mi się podoba, że Dziunia otrzymuje prezenty, a niektóre z nich nawet dość drogie...: chwali się, że dostaje je w darze od Róży, która jest podobno bardzo zamożna... Ostatnio została obdarowana pierścionkiem, który w tajemnicy przed nią zaniosłam do jubilera... oceniał on tę błyskotkę na kilkadziesiąt złotych...

— Mnie zaś zapewniała, że ojciec jej znajduje się w złych interesach... pomyślała Danusia — coraz więcej się przekonywam, że jej nie można wierzyć...

— Narzekałam na swoją córkę dawniej — kończyła biedna matka — że jest nieposłuszną, wietrzną dziewczyną, — że mię lekceważy i pomiata.. ale teraz chyba z nią jest jeszcze gorzej...

Przyczem znów zalała się łzami.

— Niech pani nie traci nadziei! — zawołała Danusia: — użyję wszelkich wpływów, będę prosiła Ninkę, aby ze swej strony dołożyła starań... musimy Dziunię uratować!

— Byle nie było to zapóźno...

— Zaraz zaczynam działać! — chciałabym napisać króciutki list.

— Potrzebne przybory znajdzie panienka w pokoju Dziuni.

Danusia wychodzi i za parę minut wraca, poczem żegna p. Gołąbską, zapewniając, że powinna być dobrej myśli.

Biedna kobieta serdecznie dziękowała za odwiedziny i za słowa pociechy.

— Myślałam już, że mię i Bóg i ludzie opuścili, a jednak są jeszcze zacne serca na świecie...

Ze zmarszczonem czołem dzieweczka zbiegała ze schodów. Zastanawiała się nad sposobami ratowania koleżanki.

— Nie tyle mi żal Dziuni, jak jej matki — myślała tymczasem: — nie mogę bowiem twierdzić, że

Róża zajęła się znów pracą przeciwpaństwową i wciąga do tego pensjonarki... ale wpływ jej jest zły i muszę mu przeciwdziałać...

Na ulicy zwróciła się do p. Albeckiej:

— Mam prośbę do pani... chciałabym, aby ten list znalazł się jaknajprędzej tam, gdzie jest adresowany: ulica Piusa XI...

— Nie będzie to trudne: poślę służącą...

— Pani pozwoli, że wręczę jej pieniądze na tramwaj...

— Nie masz się o co kłopotać — widzę, że to jakaś poważna sprawa, — sama dam na bilety.

— Dziękuję... szepce dziewczę i znów się zamyśla:

— Może jeszcze dziś Ninka wpadnie do mnie wraz z Krzysią?... ułożymy plan działania...

— Powiedz mi, moja mała — przerywa jej towarzyszka: — co to za koleżanka, ta Róża i co ona zamyśla?

— Proszę pani.. to narazie tajemnica... dałam słowo... ale gdyby się okazało, że ona złamie dane mi przyrzeczenia, wówczas będę mogła powiedzieć...

— Czego się tak wystraszyłaś, kiedy p. Gołąbska wspomniała o książkach, które Róża przynosi?

— Błagam panią — szepnęło dziewczę, składając ręce — może to przywidzenie... nie chcę powierzchownie rzucać tak ciężkiego oskarżenia—niech pani nie pyta...

P. Albecka spojrzała uważnie na mówiącą.

W twarzy jej dojrzała ciężką walkę ze sobą, a w oczach łzy.

— Może poradziłabyś się p. Toskiej, jak w danym wypadku postąpić?

— O, nie! nigdy! — ona mię nie rozumie... nie ufa: zwróciłam się już do osób zacnych...

— Ależ uspokój się! — nie masz się czego obawiać! drżysz cała, jak w gorączce! — wejdziemy na chwilę tu do kawiarni — tak iść dalej nie możesz!

Danusia nie protestowała. Nie chciała jednak pić kawy, a tylko poprosiła o wodę sodową.

— Bądź pewna, że nie zdradzę ciebie, ani tej Róży — uspokajała ją tymczasem p. Albecka — ale, gdybyś potrzebowała rady lub pomocy, z chęcią ci będę służyła!

— Dziękuję.. szepnęła dzieweczka znacznie już uspokojona — być może, iż to są tylko przywidzenia, o których nie warto wspominać...

Kiedy zaś już wracały do mieszkania, Danusia rzekła jakby do siebie:

— Sądziłam dziś, że spadło na mnie straszne nieszczęście, gdy otrzymałam karę od wychowawczyni — tymczasem wolałabym codzień nawet większą karę ponieść, niż mieć taki kłopot...

— Może tak samo się wyrazisz po paru dniach o dzisiejszem swoim strapieniu. —

— Dałby Bóg! —

Danusia jednak napróżno tego dnia oczekiwała swych przyjaciółek — p. Albecka bowiem nie zastała w mieszkaniu służącej — przyszła zaledwie w godzinę potem, list więc został odesłany ze znacznem opóźnieniem.

Nazajutrz od pierwszej pauzy dzieweczka polowała na Dziunię — lecz ta ostatnia uwijała się wśród koleżanek jak iskra, lub spacerowała z Różą pod rękę cały czas i nie podobna było do niej się zbliżyć. Wreszcie przy pomocy Tereni udało się ją złowić w końcu wielkiej przerwy.

— Uciekasz tak odemnie — mówiła jej z żalem: — że nie mogę jednego nawet słowa zamienić z tobą...

— Zdaje ci się... odpowiedziała jej Dziunia z roztargnieniem...

— Trudno bywać, kiedy p. Toska nie pozwala...

— Dawniej jednak nie zważałaś na taką przeszkodę — zresztą p. Toska pozwala przyjść, aby przygotować lekcję francuskiego...

— Nie mam tak wiele czasu.. muszę teraz pracować nad matematyką, bo mi grozi niedostateczny w końcu roku!

— Przesadzasz! — zresztą unikasz mnie i w czasie przerw między lekcjami!

— Jak mogę do ciebie się zbliżać, kiedy stale przebywasz w towarzystwie Tereni? — dawniej sądziłam, że będziesz moją najlepszą przyjaciółką — okazało się jednak, że wolisz Dolecką, nie przeszkadzam!

Gołąbska mówiła te słowa niecierpliwie, jakby się chciała prędzej pozbyć niepożądanego towarzystwa. Oglądała się przytem na wszystkie strony i rzucała niespokojne spojrzenia.

— Już dawno ci mówiłam — nawet wówczas kiedy nazywałaś mnie najserdeczniejszą przyjaciółką, że mam inną: Ninkę Lubożecką — Terenia jest mi dalszą, jakkolwiek miłą bardzo...

— Ja zaś byłam na ostatnim planie! — rzekła z ironją Dziunia: — wolałam się więc usunąć!

— Mylisz się! w ostatnim czasie...

— Ach, daj mi spokój z ostatnimi czasami!

— Przyjdź więc przynajmniej dziś: będą moje przyjaciółki, pogawędzimy o tym balu na imieniny twej ciotki...

Oczy Gołąbskiej błysnęły.

Było jej marzeniem przebywać w tym towarzystwie dobranych przyjaciółek Danusi, w którym raz

przypadkowo się znalazła i tak miłe uniosła wspomnienie.

Odpowiada jednak wymijająco:

— Ech, czy ja wam jestem potrzebna, przeszkadzam tylko...

— Ani trochę! — przyjdź koniecznie! — podobno Cechna Modrołęcka chce cię zaprosić do willi swoich opiekunów na niedzielę... zabawiłybyśmy się bajkowo!

Zaledwie w najśmielszych swoich marzeniach Dziunia wyobraża sobie, że może być gościem w eleganckiej willi pp. Izalskich, opiekunów Cesi... szczytem marzeń było przebywać w tem doborowem towarzystwie, gdzie jedna z dziewczynek była hrabianką, a do którego to towarzystwa dziwnym trafem dostała się Terenia...

Jak tej ostatniej zazdrościła takiego zaszczytu! — było to nawet powodem ochłodzenia się stosunków między nią i Dolecką, a co zatem poszło i między nią i Danusią.

Kiedy więc zjawiła się Róża — do niej jako do nowej koleżanki zaraz się zbliżyła...

W ostatnim czasie nawet zaczęła zapominać o przyjaciółkach Danusi: — zarzuciła zupełnie marzenia o wizycie w podmiejskiej willi.

— Nie dla psa kiełbasa! — zdecydowała wreszcie — tam się nigdy nie dostanę!

Dziś ta wiadomość wprawia ją w zdumienie.

— Ech... bajesz! — mówi tonem niedowierzania.

— Przyjdź! — przekonasz się!

Przerywa im dzwonek, wzywający na lekcję.

— Postaram się... rzuca Dziunia szybko, biegnąc do klasy.

Danusia jest zadowolona.

Plan ułożony wczoraj zdaje się uda.

— Byle tylko moje przyjaciółki przyszły wprzód — muszę u nich wybłagać, aby zaprosiły Dziunię do willi — jestem pewna, że kiedy im przedstawię tę sprawę, zgodzą się bez wahania. A tam już potrafimy wpłynąć na Gołąbską!

Lekcje dziś dzieweczce dłużą się niezwykle. Nawet ironiczne spojrzenia Kazi mało ją obchodzą. Widocznie jednak ona coś knuje, bo przytem uśmiecha się jakby z triumfem.

— A, niech tam! — wszystko to jest dziecinada: te wszystkie figle, te uszczypliwe słówka — te flircik! — ale chyba dziś powinna dać mi spokój: wszak wczoraj ją obroniłam od kary!

Nie zwracała dziś na nią dotychczas uwagi zajęta „polowaniem“ na Dziunię — a teraz się dziwi:

— Gdybyś wiedziała, jaką wczoraj za ciebi karę otrzymałam — musiałabyś być inną!

Ale i najdłuższa lekcja się skończy — wychodzi więc z klasy, przyczem słyszy chichoty koleżanek.

Wreszcie przybiega do niej Terenia.

Zrywa szybko kartkę przyczepioną na plecach, gdzie znajduje się wyrysowana ośla głowa z bardzo długiemi uszami i napis: „Studentka Akademji Smorgońskiej“.

— Wstydź się — woła, zwracając się do Kazi — co ona tobie zrobiła, że musisz jej robić ciągłe przykrości?

— Przedewszystkiem zwróć uwagę, że nie masz dowodów na stwierdzenie mojej winy! — śmieje się ironicznie Szymowska — powtóre: niech mi nie bałamuci sympatji! —

Możeby wczoraj ta psota zrobiła większą przy-

krość Danusi; — dziś jest tak przejęta sprawą Dziuni, że tylko wzrusza ramionami.

— Dziecinada! — szepce do Tereni — idźmy sobie — pospacerujemy trochę na podwórzu.

Kazia jest zła.

Zlekceważenie tego „wyczynu“ bardzo się jej nie podoba.

— Poczekaj! — muszę ci trochę lepiej dokuczyć! — szepce zagniewana — nie daruję Kielowskiego!

Dziś jednak nic już nowego nie wymyśliła.

— Przyjdzie — czy nie? — zapytywała siebie Danusia, idąc do mieszkania ze swą wychowawczynią.

— Najlepiej byłoby, gdyby najprzód zjawiły się moje przyjaciółki, a potem Dziunia — chciałabym je uprzedzić — poradzić się...

Stało się jednak inaczej:

Dziunia wpadła o trzeciej i odrazu zapowiedziała, że się bardzo śpieszy, gdyż niema czasu.

Blisko mamy koniec roku... wyjaśniła zaaferowana: — muszę koniecznie poprawić ocenę z matematyki, fizyka też jest bardzo zaniedbana ...a nowa nasza koleżanka, Róża Meltzówna, z klasy szóstej jest tak uczynna, że sama mi zaproponowała pomoc z tych przedmiotów: umówiłam się z nią, że przyjdę o pół do czwartej...

— Możesz jutrzejszą lekcję przerobić ze mną — jest bardzo łatwa i zrozumiałam ją dobrze przy wyjaśnieniu w klasie. Zresztą przyjdzie zaraz Krzysia Izalska, która również nie odmówi pomocy, a słyszałam, że się świetnie uczy.

— Ach, tu nie chodzi o jutrzejszą tylko lekcję... wykręcała się Dziunia: — muszę pogłębić te przedmioty, gdyż są bardzo przezemnie zaniedbane... na trzeci okres mam dostateczne oceny dzięki dobrym „ścią-

gaczkom", które otrzymałam przy robieniu klasowych zadań...

— Możesz jeden dzień opuścić...

— O, nie! — Róża bowiem jutro nie będzie mogła pomóc: muszę dziś być koniecznie, dałam słowo...

— Może więc wpadniesz jutro? — mam ci tyle rzeczy do powiedzenia!

— Zdążysz chyba i dziś mi wszystko zakomunikować; muszę się teraz uczyć, inne przedmioty również zaniedbałam: historję, przyrodę, polski... mam z nich niedostateczne na trzecim okresie...

— Lecz na niedzielę będziesz mogła się wybrać ze mną do willi pp. Izalskich?

— O to się postaram... koniecznie; muszę czas znaleźć...

— Słowo?

— Ach, jaka jesteś natrętna! — i bez słowa pojadę, bo wiem, że się będę świetnie bawiła!

— Nie pożałujesz!

Tymczasem zaczęła się żegnać, oświadczając, że Róża daleko mieszka — boi się więc spóźnić...

— Nie zatrzymuję.. odpowiedziała Danusia — ale nie wiesz, jak wielką robisz mi przykrość, żeś nie zatrzymała się, nim przybędą moje przyjaciółki...

— Mnie również jest nieprzyjemnie — ale nic nato nie poradzę!

Około piątej dzwonek oznajmił nowych gości: pierwsza wbiegła do pokoju Ninka, za nią roześmiana, pulchna, Cesia Modrołęcka — wreszcie nad wiek poważna Krzysia Izalska.

Danusia, ucieszona niezmiernie, witała je z wielką serdecznością.

— Masz jakiś kłopot? — zapytuje zaraz Krzysia — sądzę, że wprzód do tej kwestji należy się zabrać.

— Dobrze — szepce Danusia — ale musicie u-

siąść blisko mnie, abym nie potrzebowała mówić głośniej... to tajemnica...

Dzieweczki zajmują miejsca na kanapce — Danusia zaś umieszcza się naprzeciw nich na krześle i zaczyna znów szeptać.

— Przybyła tu niedawno na pensję jedna z byłych koleżanek: Róża Sterlerówna, co należała do tajnego klubu... błagała mię na wszystko, abym jej nie wydała przed nikim... gdyż ona chce się poprawić... przyrzekłam jej...

— Wypada dotrzymać słowa — o ile naprawdę się poprawiła... wyjaśnia Krzysia.

— Mam wątpliwości... ale to nie koniec: pod jej wpływ dostała się Dziunia — której matka pracuje ciężko na kawałek chleba i kształcenie córki...

— Tak prędko? — pyta Cesia.

— Właściwie prawie od pierwszego dnia... — opowiadałam wam, że się dużo poprawiła, zaczęła szanować matkę — pomagać jej w pracy — a teraz znów ją zaniedbała — ciągle przebywa za domem... otrzymuje różne kosztowności w podarunku od Róży i jakieś broszurki... boję się, czy nie tworzy się znów jakie tajne stowarzyszenie...

— Trudno tak zaraz to stwierdzić — szepce Krzysia.

— Możeby mnie tak wielce ta sprawa nie obeszła — ale mi tak bardzo żal p. Gołąbskiej: ta zacna kobieta życie poświęca dla córki... chora — zaledwie widzi — i musi patrzeć na lekkomyślność swego dziecka...

— Ja zaś sądzę, że ważniejsza jest kwestja, czy czasem nie powstaje nowy związek przeciw naszej Ojczyźnie... mówiła zaniepokojona Krzysia.

— Nie chcę podejrzewać, bo ta koleżanka zapewniała najsolenniej, że już nigdy nie będzie się

zajmowała tajną robotą; nie mogę uwierzyć, aby kłamała...

— Przypuśćmy, że tak! — wtrąciła Ninka — w każdym razie należałoby uratować Dziunię z jej pazurków...

— I ja uważam, że to rzecz najpilniejsza! — dodaje Cesia — wroga bowiem agitacja jeszcze nie stwierdzona — można będzie pomyśleć, kiedy się upewnimy!

—Niech będzie i tak... zgodziła się Krzysia — zaczekamy, aż podejrzenia zmienią się w pewność!—

— Jak zaś ją ratować? — pyta Cesia.

— Zastanawiałam się nad tem przez dłuższy czas — mówi powoli Danusia — sądzę, że wasz wpływ... wasze towarzystwo mogłoby dużo zrobić...

— Ale jak to przeprowadzić w praktyce — pyta Krzysia — trudno się z nią spotykać...

— Czy nie możnaby jej zaprosić do willi p. Marcelego Izalskiego? —

— Naturalnie że można! — odpowiada jej żywo Krzysia — przyjęłybyśmy ją serdecznie — otoczyły miłością... możeby doszło do jakich zwierzeń? — wtedy byłaby już uratowana!

— Cieszę się z tego! — szepce uradowana Danusia — dla niej to był szczyt marzeń, jak kiedyś przedemną się wyraziła!

— Jeżeli tak — to dobrze: dziś jeszcze poproszę ciocię — i jestem pewna, że nie odmówi! — a w sobotę przyjedziemy po nią autem zaraz po obiedzie. Zabierzemy ciebie również jednocześnie, aby jej było weselej.

Danusia dziękowała bardzo przyjaciółkom, które zabawiły u niej jeszcze z kwadrans, gwarząc na różne tematy, poczem pożegnały.

Bo lekcje czekają! — powtarzała każda po kolei.

VI

SPÓŹNIONA

W dobrym humorze szła Danusia nazajutrz na pensję. Wczoraj bowiem wieczorem otrzymała bilecik od Cesi, w którym było zaznaczone, iż jej opiekunka p. Izalska Felicja zaprasza Gołąbską do swej willi na całą niedzielę.

Humor ten jednak się skwasił: nie było bowiem Dziuni na pensji...

Nie było również i Róży.

— Może przyjdzie na drugą lekcję? — pocieszała siebie w myśli — a jeżeli nie, to jeszcze jutro będę mogła ją zaprosić...

Pragnienie jej spełniło się: w czasie przerwy przed drugą pauzą zjawiła się Dziunia mocno zadyszana.

— Fatalnie dziś zaspałam! — tłumaczyła się koleżankom — obudziłam się zaledwie o godzinie ósmej!

Danusia nie mogła do niej teraz się docisnąć, odłożyła więc zaproszenie na większą przerwę.

Nie było to jednak łatwem zadaniem: Dziunia od początku pauzy spacerowała z Genią... dyskutowały zaś tak zawzięcie, że Danusia straciła nadzieję, że rychło skończą.

Wreszcie zebrała się na odwagę, i zbliżyła się do spacerujących koleżanek ze słowami.

— Mam tobie, Dziuniu, zakomunikować pewną wiadomość — czy będziesz mi mogła użyczyć chwilki czasu?

— Ładnie się wybrałaś! — zawołała Orzajska z ironją — ja mam jej ważniejsze wiadomości do zakomunikowania.

Dziunia zaś wzruszyła ramionami i poszła dalej.

— Trudno.. szepnęła sobie dzieweczka smutno: — poprobuję na następną przerwę.

Ledwie jej to się udało.

Wydobyła więc szybko bilecik Cesi i podała go koleżance.

— Naprawdę? — zawołała uszczęśliwiona Dziunia, zaznajomiwszy się z treścią kartki — więc już jutro pojadę?

— Jak widzisz! — rzekła z uśmiechem Danusia.

— Nie wiem jednak, czy się zdążę przygotować... ale postaram się! — dziękuję ci bardzo! — więc jutro o trzeciej? — doskonale! — czekam!

Poczem szybko odbiegła, a jednocześnie ozwał się dzwonek na lekcję.

Nazajutrz samochód z p. Wacławą Izalską i jej córką Krzysią, oraz z Danusią zatrzymał się przy kamienicy, gdzie mieszkała Dziunia.

Dziewczynki zaraz wysiadły i udały się na górę. Zastały tam tylko p. Gołąbską, schyloną nad robotą.

— Dziuni niema... wyjaśniła zaraz przybyłym: — wpadła na chwilę z pensji, rzuciła teczkę i zaraz poleciała, nie wiem dokąd... zamykając już drzwi za sobą, oświadczyła, że wróci pół do trzeciej...

Dziewczynki spojrzały po sobie z zakłopotaniem:

— Nie możemy zatrzymywać p. Izalskiej... ozwała się Danusia.

— Pobiegnę na dół i poproszę mamusię — może zechce zaczekać chwilkę — już bowiem trzecia, i Dziunia powinna w każdej chwili nadejść...

— Dobrze — ja zaś tu zostanę — jeżeli p. Izalska musi zaraz jechać, skiniesz ręką, i natychmiast zbiegnę do was — tu z okna widać dobrze samochód.

Krzysia wybiegła, a tymczasem p. Gołąbska załamała ręce:

— Co ja zrobię z tą dziewczyną... skarżyła się z goryczą: — wczoraj przyszła zaledwie o dziewiątej — dziś od siódmej poleciała gdzieś do miasta...

Danusia nie chciała mówić, że mimo to Dziunia spóźniała się na lekcje... sprawiłoby to jeszcze większą gorycz matce.

— Dziękuję wam, zacne panienki, że postanowiłyście ją ratować... ale nie mam nadziei... i przepraszam za zawód, który wam sprawiła ta nieznośna dziewczyna...

— A może ona umyślnie gdziekolwiek się zatrzymała, aby nie pojechać — zapytała Danusia z pewnym niepokojem.

— O, nie! — wiem, że się przygotowała do wyjazdu! — wczoraj siedziała do dwunastej...

Tymczasem Krzysia nie dawała żadnego znaku od samochodu, lecz śpiesznie podążyła znów na górę:

— Mamusia oświadczyła, że zaraz jedzie wraz ze mną, jeżeli chcesz, możesz i ty odjechać — a samochód potem wróci po twoją koleżankę. —

— Poproś więc p. Izalską, że wolałabym zaczekać na Dziunię.

— Dobrze — ale, gdyby do powrotu samochodu ona nie przyszła, wówczas jedź sama.

— Zastosuję się ściśle do tego!

— I jeszcze jedno: o ile samochodu nie będzie po upływie godziny weź dorożkę, może się bowiem zdarzyć, że stryj Marceli będzie potrzebował auta dla siebie.

To rzekłszy Krzysia pożegnała gospodynię i zbiegła po schodach — a za chwilę samochód odjechał.

— Niegodziwa dziewczyna — narzekała znów p.

Gołąbska — tyle zachodów, kłopotu i kosztu!... muszę ją surowo upomnieć...

— Niech pani tego nie robi... prosiła Danusia:— będzie jechała w złym humorze i pierwsze wrażenia jej będą niemiłe, — trudniej będzie na nią wpływać...

— Zdaje się, że właśnie idzie... niech mi panna Danuta zrobi tę przyjemność i wejdzie na chwilę do jej pokoju. Wymówek nie będę robiła.

Zaledwie drzwi zamknęły się za dzieweczką, Dziunia wbiegła do mieszkania:

— Tak się śpieszyłam.. mówiła z nieukontentowaniem: — a tymczasem nie ma jeszcze nikogo! — ładna mi punktualność!

— Możesz to powiedzieć tylko o sobie, gdyż przyjeżdżały po ciebie panienki, i nie zastały w mieszkaniu — odpowiedziała jej sucho matka.

— Jakto? — zapytała przestraszona — i odjechały?

— Patrz na zegarek: zbliża się już czwarta, one zaś były o trzeciej.

— Nie może być! — ten chyba zegarek źle chodzi! — i naprawdę odjechały?

Głos jej drgał już nutami rozpaczy.

— Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi!

Dziunia załamała ręce:

— I co będę robiła? — wszyscy już wiedzą, że wyjeżdżam na niedzielę: — zazdroszczą mi tej przyjemności, a tymczasem.. przecież ja teraz nie będę mogła się nigdzie pokazać! —

Łzy się pokazały w jej oczach:

— Mama też dobra! — dodała z goryczą w głosie: — nie poprosiła ich, aby się chociaż chwilkę zatrzymały... a Danusia! — wierzyłam jej, że będę mia-

ła kilka chwil przyjemnych — sama namawiała... i w ostatniej chwili oszukała! — nigdy już jej nie uwierzę! — pójdę zaraz do Róży: ta mnie nie odtrąci!

Z temi słowami weszła do swego pokoju i stanęła zdumiona:

— Ty tutaj? — zawołała z bezmiernem zdumieniem.

— Tak, czekam na ciebie.

— Sama? — czy nikt więcej nie był z tobą?

— Owszem — była Krzysia i jej matka, ale odjechały już do willi.

— A my? — zawołała z przestrachem Dziunia.

— Pojedziemy później — musimy trochę poczekać.

— Poczciwa! — zawołała Dziunia z wybuchem radości: — naprawdę jesteś przyjaciółką, — ależ mię mama strasznie zwiodła! — pogrążyłam się w morze rozpaczy!

Chciała wrócić do matki — lecz ją Danusia wstrzymała:

— Była to kara za twe spóźnienie — rzekła do niej łagodnie; mamie twej było tak przykro z tego powodu...

— Naprawdę... ale jeszcze nie mogę ochłonąć z wrażenia: sądziłam, że wszystko przepadło...

— Więc nic nie mów mamie — ona i tak biedna zostanie sama... przy wytężonej pracy... a przecież nie tylko dla siebie...

Dziunia zamilkła i spuściła oczy.

Zapanowało chwilowe milczenie.

— Usiądź przynajmniej — zaczęła cicho Gołąbska. —

— Będziemy zaraz obie siedziały, — a tymczasem pomogę ci zebrać wszystkie książki i kajety, któ-

re będą potrzebne do przygotowania lekcji na poniedziałek, gdyż zapewne przyjedziemy wprost do gimnazjum.

— Czyżby?

— Zwykle tak przyjeżdżam — więc do roboty!

Zbierając i układając potrzebne przybory, Danusia spoglądała ukradkiem przez okno, czy samochód nie przyjechał.

Wreszcie, gdy wszystko było przygotowane — zwróciła się do koleżanki:

— Wyjdziemy tymczasem — nie mamy tu narazie nic do roboty!

Dziunia spojrzała na nią lekko zdziwiona — poczem stanęła przed lustrem.

Teraz dopiero Danusia jej się dobrze przyjrzała.

Miała włosy starannie wyondulowane, twarz umiejętnie upudrowaną i uróżowaną — na ustach barwił się karmin, a brwi uczernione w bardzo owalne półkola.

Ręce widocznie były poddane zabiegom zręcznej manikurzystki — przedewszystkiem widoczne było to na paznogciach, które błyszczały mocno różowym lakierem.

Okrycie, którego jeszcze nie zdjęła, odsłaniało część eleganckiej sukienki — na nogach zaś znajdowały się świeże, pantofelki na bardzo wysokich obcasach, oraz prawdziwe jedwabne pończoszki.

— Zapomniałaś zapewne wziąć ze sobą lekkiej letniej sukienki — mówi Danusia — dziś taki upał, że trudno będzie bez niej się obejść...

— Nie mam nic stosownego...

— Widziałam niedawno na tobie tę w niebieskie kwiatki.

— Ach, to zbyt... domowa! — nie wypada mi w takiej się pokazywać!

— Radzę ci jednak coś mieć pod ręką — pamiętaj: całe dwa dni! — może nas deszczyk skropić — może inna przygoda się trafi — każda z nas coś bierze na zmianę.

Dziunia kończy tymczasem przegląd i poprawianie swych wdzięków i szuka wśród swych zapasów odpowiedniej sukienki — wreszcie zatrzymuje się na jednej z nich i z pomocą Danusi składa ją starannie, aby się nie zmięła w czasie podróży.

Poczem obie wychodzą — Danusia żegna p. Gołąbską i nawet jej koleżanka bąka kilka słów stosownych...

Przed bramą stoi elegancki prywatny samochód. Szofer na widok Danusi kłania się uprzejmie, co widząc, Dziunia patrzy zdumiona.

Danka podchodzi do auta, którego drzwiczki otwierają się przed nią.

— Proszę — mówi odwracając się do swej towarzyszki — pojedziemy — szkoda czas tracić!

— Szyk nielada! — szepce Dziunia, wskakując do wnętrza — dobrze zrobiłam, że się trochę przybrałam...

Danusia uśmiechnęła się lekko, ale nic nie odpowiedziała.

Auto tymczasem pomknęło chyżo naprzód.

— Przyjemnie takim pojechać... odzywa się znów Dziunia: — czy twój ojciec także posiada własny samochód?

— Nie jest potrzebny ojczulkowi — w majątku mamy kilka koni i powóz do wyjazdu — jeżeli są potrzebne, to się wzywa telefonicznie z miasta.

— Przyznasz jednak, że to jest miło takie auto posiadać — tak się rozkosznie jedzie! — widocznie dobra maszyna! — chciałabym tak jechać bez końca!

VII

RUSAŁKI Z WILLI

Za miastem szofer zdwoił pośpiech — niebawem zaś skręcił do bramy i podjechał do ganku ładnej willi, całej opiętej dzikiem winem.

Jak tu cudownie — zachwycała się Dziunia — jakie pyszne kwietniki! — jakie mnóstwo wokoło rozkosznej zieleni... różnych prześlicznych krzewów!

Ale nie było czasu długo się zachwycać: z pomiędzy krzewów wysypały się przyjaciółki Danusi: Krzysia, Cesia i Terenia — wszystkie w lekkich perkalikowych sukienkach i boso, ale zato we wspaniałych wieńcach na głowach.

— .Witamy! — witamy! — wołały, otaczając przybyłe koleżanki.

— Prześlicznie wyglądacie — zawołała Danusia, naprawdę jak rusałki leśne!

— Podziwiam twoją domyślność! — śmiała się Cechna — oraz nadzwyczajną uprzejmość! mogłaś nas nazwać czarownicami!

— Tak.. poczekam tylko, jak się zestarzejecie!

— Jeżeli tak! — zawołała Cesia, udając, że jest srodze obrażona — musimy was zmienić w ropuchy ze zuchwalstwo! — dalej, rusałki! — bierzemy najprzód Danusię!

Przy tych słowach ujęła ją pod rękę — z drugiej zaś strony podbiegła do niej Terenia i poprowadziły ją w krzaki.

— Jak się u nas koleżance podoba — zapytała tymczasem Krzysia.

— Jest tu tak cudnie, że nie potrafię tego wyrazić! — jestem zachwycona tą zielenią, kwiatami — co za rozkosz!

— Pójdziemy zaraz na tamtą stronę willi — gdzie również jest ładnie! a dalej ogród warzywny, za nim zaś las! — prawdziwie bajeczne ustronie!

Tymczasem zza krzewów ukazały się dziewczynki: znów Cesia z Terenią wiodły pod rękę Danusię przystrojoną w pyszny wieniec na głowie, u ramion zaś miała przypięte zgrabne skrzydełka również, jak jej towarzyszki.

— Miałyście przecież zmienić Danusię w ropuchę! — zawołała Krzysia — co to znaczy?

— Pomyliłyśmy się w zaklęciu... oświadcza ze smutkiem Cesia — teraz już nic nie pomoże; musi dziś pozostać czarodziejką...

— Ukarzemy więc ją przykładnie jutro! — ciągnie Krzysia — a teraz weźmiemy się do Dziuni!

— Możecie jej łatwo darować, albowiem nic nie zawiniła — broni ją Danusia — ja tylko was obraziłam!

— A przytem należałoby przedtem przywitać się ze starszemi osobami — dodaje śpiesznie Dziunia.

— Racja! — zawołała Krzysia — powiedziemy je do pałacu wróżek — niech tam padną na twarze przed oblicznością królowych!

— Narazie musimy więc im darować życie! — śmieje się Cesia.

— Nie widzę hrabianki — wtrąca tymczasem Dziunia: — czy nie chora przypadkiem?

To pytanie ma ona dawno na ustach — ale niema sposobności go wyrazić, bo żywa rozmowa dziewczynek stawała na przeszkodzie.

Cały czas jednak zerkała na wsze strony — dziwiąc się w duchu, że ta utytułowana panienka nie pokazuje się dotychczas.

A przecież dla Dziuni była ona najbardziej pożądanem towarzystwem, — a wskutek tego niepokój jej wzrastał z każdą chwilą.

— Ach, czyż nie wiesz, że rusałki nie chorują?— odpowiada jej Cesia.

— Więc może nie raczyła przyjechać? — pyta jeszcze bardziej zaniepokojona dzieweczka.

— W takim razie nie warto mnie się fatygować... myśli sobie tymczasem.

— Cóż znowu? — wtrąca ze śmiechem Krzysia — właśnie: „raczyła“ — i zaraz „uraczy“ nas swoim towarzystwem.

— Nie widać...

— I nie słychać! — przekomarza się filuternie Krzysia — bo się „zaflirtowała“...

— Tak?! — przerywa jej żywo Dziunia — więc macie gości? — są panowie?

Jednocześnie otwiera swą torebkę i zagląda do lusterka, sprawdzając swe wdzięki.

Ale dziewczynki zaczynają się okrutnie śmiać... Dziunia patrzy na nie zdumiona.

Żadna jednak nie może jej dać wyjaśnienia, gdyż śmiech serdeczny nie pozwala przyjść do głosu.

Wreszcie Krzysia się opanowała:

— O, nie! — narazie są sami swoi...

— Z kim więc hrabianka flirtuje?

— A no... ze swą mamusią!

Teraz Dziunia nie może wydobyć głosu ze zdumienia. Stoi chwilę, jak oszołomiona.

— No... wiecie...

— Wiemy! — podchwytuje Krzysia — że tak oszukiwać, to się nie godzi! — ale „dobry żart — tynfa wart!“ mówi nasze staropolskie przyszłowie...

Tymczasem Dziunia przychodzi do siebie.

— Ach!... jest i pani hrabina? — nie przypuszczałam...

— Przypuść więc — że tak!

— Czy będę miała zaszczyt być jej przedstawioną?

Wyobraża bowiem sobie, że stanie zaraz przed wielką damą, która obrzuci ją wzrokiem krytycznym, a wyniosłym od stóp do głów—i ledwie zechce skinąć głową na powitanie...

Widziała bowiem nieraz w pracowni swej ciotki, Zygfrydy Gołąbskiej, takie dumne panie, co zamawiały stroje bogate, a kosztowne — a które zwykle nawet nie zwracały uwagi na Dziunię...

Niektóre jednak były pochodzenia wcale nie arystokratycznego:... nieraz żony lub córki dorobkiewiczów, które niedawno wyszły z biedy...

A właśnie teraz ma stanąć przed „prawdziwą hrabiną!"

Przy tej zaś hrabinie wyobraża jej córkę w eleganckiej, a drogiej sukience, całej w haftach, koronkach — falbankach i wstążeczkach...

Jak przystało na hrabiankę!

— Zapewne więc nie mogła tu przyjść, aby nie zbrukać swego stroju... przebiega w jej myśli — zresztą hrabina widocznie nie pozwala jej poufalać się zbytnio z temi dziewczynkami...

Wprawdzie widziała ją kiedyś raz — była w skromnym zwykłym mundurku — i wiązał ją serdeczny stosunek z przyjaciółkami...

— Ale to było na pensji... musiała tak się ubrać! — tu na wsi — u siebie nie będzie przecież się krępowała szkolnymi przepisami! — a i stosunek do koleżanek przy matce musi być inny!

Nic dziwnego: przecież to — hrabianka!

Jest więc rzeczą zrozumiałą, że Dziunia się waha

Nie wie, jak ją przyjmą — hrabina... hrabianka...

Znów zerka w lusterko — sprawdza twarz, poprawia włosy.

Ale jej towarzyszki ani trochę się nie wahają. Na propozycję Dziuni, Krzysia ujmuje pod rękę Ce-

się, poczem idzie krokiem tanecznym, deklamując tym czasie wierszyk swego układu:

Dobra rada — iść wypada!
W zamku bramy — niby damy!
Chociaż żwawo — lecz nie z wrzawą!
Nie gromadnie! — to nie ładnie!
A parami — i z darami!
Perły śmiechu — te, bez grzechu!
Nieśmy żywo — z serca żniwo!
Gawęd czary — niechaj mary
Smutku zginą!
— Prawda, Nino?

— Ależ jej tu niema! — przekomarza się Danusia.

— Nie szkodzi — zaraz będzie!

Istotnie — jakby zgadła:

Ledwie dziewęczki minęły zekręt alei bzowej, na rogu willi, na ścieżce ukazała się Ninka.

Ubrana, jak reszta jej towarzyszek, w lekką, a skromną perkalikową sukienkę, z wianeczkiem niezapominajek na skroniach i skrzydełkami u ramion; wyglądała, jak zjawisko.

Biegła żywo, zaledwie stopami dotykając ziemi, i, podskakując wesoło, nuciła jakąś piosenkę. Twarzyczka jej promieniała radością, wyraziste zaś jej oczy świeciły, jak gwiazdki...

Ujrzawszy ją, Dziunia stanęła, jak wryta...

Zdziwił ją ten kontrast. Zupełnie inaczej ją sobie wyobrażała... a tymczasem widzi, że ani bogatego stroju, ani sztucznego upiększenia twarzy, ani wyniosłości — nie można w niej spostrzec, ani śladu...

Tymczasem Ninka podbiega bliżej i mówi z ukłonem:

— Ach, już jest i Danusia z oczekiwanym gościem? — witam! — witam! — ale i przepraszam ser-

decznie za spóźnienie! — naprawdę nie spodziewałam się, że tak prędko przyjedziecie!

— Przed chwilą zaledwie zjawiłyśmy się tutaj, — odpowiada jej Danusia, — witając się — nic nie szkodzi! — wcale się nie obrażamy!

— Wy, tak! — bo swoi! — lecz z gościem, co innego — i dlatego bardzo przepraszam!

— Ależ nie czuję się wcale urażoną! — zapewnia gorąco Dziunia, która jeszcze nie może wyjść z podziwu: — moja wina, żem się spóźniła!

— Jeżeli tak — to świetnie!

Tymczasem Ninka podbiegła do niej i podaje uprzejmie rękę na powitanie.

— I hrabianka boso? — pyta zdumiona Dziunia. Nawet swym oczom wierzyć nie chcę.

— A może i nie? — z figlarnym uśmiechem przekomarza się Ninka, przechylając pociesznie główkę — może tylko tak się zdaje?

— Naprawdę.. szepce niedowierzająco Dziunia.

— Ach, czyż mogłabym w taki ładny, ciepły dzień zakuwać się w kajdanki pantofli? — jestem przecież na wsi — a tu panuje miła swoboda!

— Również jestem tego zdania — dodaje Krzysia — poco niepotrzebne, a krępujące stroje?

— Racja! — oczywiście! — potwierdzają inne dziewczęta.

Tymczasem idą dalej.

Ninka bierze pod rękę Terenię i udają się w pierwszej parze ku werandzie.

. Dziunia ją podziwia — nawet się nią zachwyca. Ujmuje ją prostota Ninki — czar obejścia, — skromność ubrania.

Przekonywa się, że nie potrzeba jej wcale ani różu, ani karminu, ani barwika do brwi...

Bo i bez tego wygląda uroczo...

Nawet psułyby te dodatki...

Zazdrości nieco Tereni, że idzie z nią pod rękę..
— Sierota... biedna, jak się ośmiela?!
Ale sama musi przyznać, że stanowią bardziej dobraną parę... obie prawie jednakowo ubrane — z wianeczkami na głowach i skrzydełkami — równe wzrostem — pasują do siebie...
— One wszystkie więcej pasują do siebie... — szepce z pewnym żalem: — ja zaś najmniej...
Spogląda tymczasem na siebie:
Modna sukienka z dobrego materjału w kroju wizytowym — eleganckie pantofelki na bardzo wysokich obcasach, zbyt wyraźnie różnią się od strojów tych, obok idących dziewcząt...
Ale bransoletka na ręku — pierścienie, których ma na każdej ręce po kilka — kosztowna broszka — efektowny pasek z rzucającą się w oczy klamrą — nawet razi...
Ona sama zaczyna to odczuwać...
A przecież i włosy ma świeżo ondulowane w fantastyczne zwoje, a paznogcie świecą mocno czerwonym lakierem!
A twarz!
Wszak nie żałowała pudru, ni różu, a także pomadki do ust i farby do brwi...
Jednak Krzysia jest od niej starsza — już jest w klasie szóstej.. a nawet i Cesia wiekiem jej równa...
Tereni nie liczy — wie bowiem, że jest biedną sierotą.
Najbardziej jej wstyd przed hrabianką...
Naprawdę była pewna, że się ta zjawi w bardzo drogiej, a modnej sukience i eleganckich lakierkach..
Znów się zaczyna jej przyglądać.
Tak!... jestto wzór prostoty... jak w stroju tak i w obejściu...

Lecz oto Ninka, jakby odczuwając, że Dziunia jej się przypatruje, odwraca się i rzuca na nią spojrzenie...

Jasny jej wzrok — uśmiechnięta rozkosznie twarzyczka bezwiednie pociąga ją do siebie. —

Ale zaraz, skinąwszy wdzięcznie główką, zwraca się znów do Tereni, która coś do niej mówić zaczyna...

— Ona nie potrzebuje szminek! — powtarza sobie w myśli Dziunia — potrafi i bez tego jednać serca.. ach, gdybym taką była!

I już zła jest na swoje malowidło na twarzy...

— Dlaczegò ona jest taka — zapytuje siebie w myśli: — jaka tajemnica jej uroku? — a nawet i jej towarzyszek?

Dziunia nie znalazła odpowiedzi, a była ona bardzo prosta: zdobił je urok niewinności... czystego sumienia.

Ale ona nawet niema czasu zastanawiać się nad tem pytaniem.

A siebie pociesza w myśli, że tam na werandzie znajdzie się kilku panów — tych „swoich" — którym będzie mogła się korzystnie przedstawić — zresztą jest tam hrabina!

Znów oczy jej gonią Ninkę, która z Terenią w lekkich podskokach, nucąc jakąś piosenkę biegnie przodem...

— Ale ja chyba nie będę miała żadnego powodzenia tam, gdzie się znajduje hrabianka... ani u panów — ani pań...

I dopiero teraz zrozumiała, że zalety ducha, któremi odznacza się Ninka stawiają ją znacznie wyżej, niż stroje, niż jej tytuł...

Zazdrościłaby jej.. .ale czar prostoty i widocznej niewinności tej dzieweczki ujmuje Dziunię niesłychanie...

Przyznaje przytem w duchu, że i Cesia, a przedewszystkiem Krzysia stoją na tym samym poziomie — a nawet i Danusia im dorównywa... ale Ninka ją najwięcej obchodzi — bo ma tytuł...

Lecz oto zbliżają się do celu.

Ninka wraz z Terenią wbiegają na stopnie werandy, przystrojonej prześlicznie w festony z dzikiego wina — gdzie się znajdują starsze panie, — a hrabianka zabiera zaraz głos:

— My rusałki leśne pojmałyśmy w naszym zaczarowanym gaiku dwie ludzkie istoty, które zuchwale odważyły się wkroczyć do naszego królestwa — przywiodłyśmy więc je dla wymierzenia surowej kary!

— Widzimy tylko jedną ludzką istotę! — odpowiada jej uśmiechem p. Wacława Izalska — czy może druga zbiegła?

— O, nie! — tylko zmieniłyśmy ją na rusałkę!

Tymczasem Krzysia, która również zbliżyła się do werandy, zaczyna mówić figlarnie:

Żywo Danka — na kolanka!
Pochyl główkę — kropnij mówkę!
Może kara — jakby mara —
Precz przepadnie — będzie ładnie!
Byś szczęśliwa — się bawiła
Tutaj mile — długie chwile!

Danusia w lekkich jak ptaszę podskokach, wbiega po tych słowach na werandę — poczem przyklęka i kornie chyli głowę.

P. Felicja Izalska wstaje szybko, unosi dzieweczkę i całuje, — a przykład jej naśladują i pozostałe panie.

— Musimy ci darować karę, kiedy tak ładnie prosisz! — śmieje się p. Wacława — idź więc i włączysz się do grona rusałek!

Dzieweczka składa głęboki ukłon, poczem zbiega szybko ze schodów.

— A teraz twoja kolejka! — mówi do Dziuni, biorąc ją pod rękę.

Z drugiej zaś strony ujęła ją Krzysia, i znów zaczęła deklamować:

Ludzka istota,
    Co w nasze wrota
Weszła tak hardo:
    Surową, twardą
Karę poniesie:
    Że w naszym lesie
Straszyła bąki,
    Żaby, pająki...
Skrzydlate plemię —
    I co po ziemi
Pełza w ukryciu! —
    Groziła życiu
Malutkim muszkom
    I leśnym duszkom...
I ujrzeć chciała
    Dziunia zuchwała
Rusałek pląsy,
    Zajączków wąsy...
Łzy krokodyle,
    Skrzydła motyle...
I kwiat paproci,
    Co niesie krocie;
Brylanty rosy,
    Co zwiewne, bose
Rusałki stroją
    Tęczową zbroją!...
Więc za te winy
    Wyrok jedyny
Królowej wskaże,
    Jak je tu zmaże!

Poczem już przedstawiła według wszelkich form towarzyskich:

— Koleżanka Danusi: Dziunia Gołąbska — panie: Wacława Izalska i Felicja Izalska...

— I Aleksandra Lubożedzka — przerwała już z uśmiechem matka Ninki.

Dziunia przed każdą z pań złożyła ukłon, najgłębszy zaś hrabinie, poczem p. Felicja rzekła:

— Jako słuszną karę za twe przewinienia skazuję cię na półtora dnia pobytu u nas! — przez ten czas wolno ci się bawić, śmiać, gawędzić wesoło — surowo zaś zabraniam wszelkiego rodzaju płaczu, jęków i wzdychań! — was zaś drogie rusałeczki zobowiązuję ją bawić i: starać się, aby jej było wesoło!

— Doskonale! — świetnie! — bajkowo! — zaczęły wykrzykiwać dziewczynki, przyczem Dziunię sprowadzono ze schodów i odprowadzono znów na drugą stronę willi.

Dziunia znów jest zdumiona:

— Hrabina wcale nie gra roli wielkiej, a dumnej pani, ani też nie jest wystrojona... widocznie jednak jest dobra — tak jak i tamte panie... dziwne!

Po drodze zaś Danusia mówiła żywo:

— Teraz należy nam zaczarować i Dziunię, powinna zostać rusałką, jak i my, aby się lepiej bawiła! — więc najprzód pójdziemy do willi, gdzie zmienisz sukienkę w naszym pokoiku, tej bowiem szkoda i przypuszczam, że w niej za gorąco!

— A jeżeli do was przyjdą goście? — zapytała Dziunia.

— O, tak! — i bardzo wiele: — żartowała Ninka — będą z wizytą panny jaskółki, panowie wróble, może przyjdzie pani wrona, rodzina cnych państwa gołębi, hodowanych przez naszego ogrodnika z pewnością też złoży wizytę, aby ciebie poznać... pozatem nie spodziewamy się nikogo...

— Naprawdę?... pytała z pewnem niedowierzaniem Dziunia.

— Mylisz się Ninko! — podchwyciła Krzysia — zapomniałaś, że nas odwiedzą panienki ważki, oraz panicze chrząszcze!

Dziunia patrzała zdziwiona.

— A z ludzi?...

— Ach, ty ludzka istoto! — zaczęła ją strofować Krzysia — bez „ludzi“ nie potrafisz się obejść? — czy wiesz, że za takie żądanie możesz zasłużyć na dodatkową karę?

Słowa te wypowiedziane były z taką komiczną grozą, że dziewczynki zaczęły się śmiać.

— Więc nikt u was nie bywa? — pytała już ubawiona trochę Dziunia.

— Poco? — mamy dość towarzystwa w Warszawie —tu zaś uciekamy, aby użyć swobody i wypoczynku — wyjaśniała Cesia. —

— Masz za karę — masz — woła Ninka, uderzając ją po ręku długą łodygą trawy — tu w królestwie rusałek, nie wolno nie tylko mówić, lecz nawet myśleć o ludziach!

Tymczasem dziewczęta znalazły się w pokoju, gdzie się przyjezdne umyły i Dziunia przebrała.

— Zdejmij buciki — radziła Krzysia: — taki dziś upał.

— Ach... nie! — mogłabym się przeziębić...

Przyjaciółki zaczęły się śmiać:

— Paradna jesteś!

— Udało ci się!

— Ciekawa rzecz!

— Dowcip nad dowcipami!

— Chyba serjo nie mówisz?

— Mogłabym się skaleczyć... tłumaczyła się niepewnie Dziunia — mogę trafić na szkło... kamienie... jakie kolce...

— Przypuśćmy na chwilę, że jaki kawał skały otrze się o twą szanowną stopę, lub dwucalowy gwóźdź wbije się na pół milimetra... wówczas znajdziemy cały litr jodyny, sto metrów bandaży, — ale jeżeli cię to krępuje, wcale nie wymagamy!

— Bo jestem nie przyzwyczajona...

— Ależ niema czego się krępować — tu jest zupełna swoboda, jak na letnisku! — uspokajała ją Krzysia.

Tymczasem Ninka włożyła jej szybko na głowę wieniec z kwiatów, jakie posiadały już inne dzieweczki, przyczem zawołała:

— Przejrzyj się teraz w lustrze! — zupełnie inaczej wyglądasz!

Istotnie: ondulowanych włosów nie było widać, twarz, wymyta z pudru i różu, inaczej się przedstawiała — pyszne kwiaty w obramowaniu zieleni — stroiły ją niezwykle.

Dziunia zdziwiła się sama:

— Nie spodziewałam się takiej przemiany! — szepnęła.

— Widzisz! — zmieniłyśmy cię w rusałkę! śmiała się Cesia.

— Teraz więc do ogrodu! — na pyszną murawę! — na złoty piasek! — wołała Ninka. —

Dzieweczki frunęły. Dziuni na wysokich niezmiernie obcasach trudno było nadążyć. Danusia więc dotrzymywała jej towarzystwa.

Pod wspaniałym kasztanem przyjaciółki zatrzymały się — leżał tam bowiem duży koc, rozpostarty w cieniu.

Naturalnie musiał je skusić do wygodnego umieszczenia się — kilka zaś miękkich i dużych poduszek mamiło i pociągało jeszcze bardziej.

— Co za przyjemność! — szeptała Cesia: w taki upał tylko ta swoboda dać może zadowolenie!

— Szkoda tylko, że nie mamy książek... oświadczyła melancholijnie Danusia.

Ninka zerwała się natychmiast:

— Brak ten zaraz zostanie usunięty! — całą bibljotekę wam przyniosę.

— Dopomogę! — dodała Krzysia, powstając również.

Nim jednak zjawiły się książki — przyszła służąca z tacą, na której były obok filiżanek z kawą, sucharki i ciastka.

Podwieczorek smakował niebywale.

Dziunia była zachwycona.

— Rajskie macie życie...

— Odpoczynek po pracy... wyjaśniła Cesia — w domu niema tak dobrze!

Wreszcie nadbiegła Krzysia, dźwigając całą plikę książek.

— Zrobiłam figla Nince! — mówiła zadyszana: — gdy się odwróciła, uciekłam, zabierając wszystkie książki!

Zaraz jednak nadeszła i hrabianka:

Ujrzawszy, że dziewczęta zaczęły już podwieczorek, załamała pociesznie ręce:

— To mi się podoba! — rzekła z udanym dąsem: — ja się kłopoczę o książki, — a wy tymczasem rozkoszujecie się kawunią! — jak tak dalej pójdzie...

— Wypijemy wszystko — przerywa jej Danusia: — bo kawa jest bardzo smaczna...

— A potem będziemy drzemały... dodaje Cesia.

— Aż zadzwonią!

— Przecież tu nie pensja! — robi uwagę Dziunia.

— Potrafią i tu dzwonić! — stwierdza ponuro Krzysia — i pójdziemy do...

Nie kończy zdania, bierze swoją filiżankę, wrzuca powoli cukier i starannie miesza.

Dziunia patrzy na nią ciekawie.

— Czemu koleżanka nie kończy? zapytuje wreszcie.

— Tak! — wy już dopijacie szczęśliwie zawartość waszych filiżanek — a ja mam z głodu umrzeć, nasycając waszą ciekawość! — powiem, gdy nabiorę sił i zdolności do mówienia!

Dziunia nie dowiedziała się, gdzie i jak mają dzwonić, gdy dzieweczki jęły rozmawiać na inny temat, potem zaś pobiegły odnieść filiżanki na werandę...

A Dziunia tymczasem się dziwiła...

— I hrabianka sama odnosi... i te zamożne dziewczynki... a przecież jest służąca...

Przypomina sobie, że w domu nigdy po sobie nie chciała sprzątnąć, pozostawiając to matce...

Kiedy zaś dziewczęta wróciły, znów potoczyła się gawęda — sypią się żarty, zaczynają różne gry, gdyż jest tu i domino, i szachy i warcaby, i młynek...

Wreszcie Krzysia, która od czasu do czasu spoglądała na zegarek, oświadcza urzędowym głosem:

— Dzwonię! — do lekcji! — a żywo!

Dziewczęta natychmiast rzucają wszystko.

— Na poniedziałek mamy: matematykę, francuski, polski, historję — recytuje Cesia.

— U nas skład inny — wtrąca Terenia — religja, polski, łacina, gimnastyka — więc chyba zaczniemy od wspólnego przedmiotu — jak zwykle.

Przyjaciółki się zerwały — przykład zaś ich naśladowała Dziunia.

Na komendę Krzysi, przerobiono zwykłe klasowe ćwiczenia — potem wzięto się do wspólnej pracy.

Dziunia trochę była zdziwiona:

Szepnęła więc przy sposobności Tereni:

— Czy to długo tak będzie?

— O, nie! — tylko godzinkę — ściśle według

zegarka, chyba cokolwiek przeszkodzi...

— A poco była gimnastyka?

— Ażeby się trochę orzeźwić... inaczej trudniej idzie nauka.

Czas szybko zleciał nawet i Dziuni, która rada nie rada, odrabiała lekcje z innemi dziewczynkami.

Nagle ciszę przerwał miły odgłos dzwonka.

Na ten sygnał Krzysia zerwała się natychmiast:

— Skończone! — wprawdzie brak jeszcze pięciu minut, ale nie jestem temu winna, że się kościelny pośpieszył z sygnowaniem na nieszpory.

— Kto do spowiedzi, ten pierwszy się myje! — przypominała Ninka.

— Ja — ozwała się Danusia.

— Pójdę również! — dodała Terenia.

— My zaś idziemy jutro do komunji bez spowiedzi — oświadczyła Krzysia.

Było to umówione — przyjaciółki pragnęły zachęcić Dziunię do spowiedzi. Zwykle z wieczora nie układały takiego planu, każda bowiem pamiętała, że trzeba w niedzielę uczcić Pana Jezusa w komunji św.

Przypominano tylko dyskretnie Tereni, która jeszcze tego zwyczaju dobrze nie zapamiętała.

— W takim razie i ty, Dziuniu, pójdziesz dziś do spowiedzi — mówiła Terenia — z uśmiechem — bylibyśmy wszystkie z jednej pensji ze spowiedzią — a wy zaś z tamtej bez niej!

— Nie myślałam o tem... zaczęła zagadnięta z dużem wahaniem — a... czy to konieczne?

— Ale skąd taka myśl! zaśmiała się Krzysia — tu na wsi jest zupełna swoboda myśli i pragnień—możesz iść, czy dziś, czy jutro — albo też wcale — jak ci się podoba!

Dziewczęta zaraz frunęły szybko do mieszkania.

— Aby przedzierżgnąć się w ludzi!—jak oświadczyła, śmiejąc się Ninka.

Złożyły więc z głów wieńce, odpięły skrzydełka i włożyły pantofle.

Po nieszporach, ponieważ się znacznie ochłodziło, urządziły sobie gonitwy i gry na wolnem powietrzu — bawiono się wesoło, humor bowiem dopisywał wszystkim.

Nawet Dziunia się rozruszała — policzki jej zakwitły rumieńcami — w oczach błyszczało ożywienie.

Wreszcie poproszono na kolację.

Dzieweczki szybko przyprowadziły włosy do porządku i wbiegły na werandę.

Jakież było zdumienie Dziuni, kiedy zastała tam — i panów!

Na kwadrans bowiem przed kolacją przyjechał brat p. Wacławy Izalskiej, p. Zygmunt Kupielski, poważny, jakkolwiek młody jeszcze inżynier, oraz mąż p. Felicji, p. Marceli Izalski, zamożny przemysłowiec właściciel willi i opiekun sieroty Cesi Modrołęckiej.

Dziunia w pierwszej chwili chciała uciekać.

Była przecież w swej letniej sukience, w której już nie ukazywała się w Warszawie na ulicy, jako „stanowczo niemodnej“ — a przytem włosy zaledwie były przygładzone!

Ale nie było sposobu...

Krzysia bowiem wzięła ją pod rękę i przedstawiła panom...

Dziunia ze wstydu spuściła oczy...

Zaraz jednak spostrzegła, że jej towarzyszka nawet niema bucików...

— Tak! — odpowiada sobie tymczasem Dziunia w myśli — ale ona jest bliską krewną tych panów: jeden jest stryjem, drugi wujem. —

Ale tuż obok stoi i Danusia — która również jest na bosaka — i wcale nikt nato nie zwraca uwagi — ani panowie, ani ona sama...

A oto Nina wpada na werandę—wita się uprzejmie — lecz i ona wcale się nie przebierała — jakkolwiek, o czem się później Dziunia dowiedziała, była na podwórzu, kiedy panowie podjeżdżali...

Nie było jednak czasu na rozmyślanie.

Zaraz bowiem wszyscy zasiedli przy stole.

Przyczem potoczyła się miła, swobodna gawęda, w której brali udział i starsi i młodzież.

Dziunia z pewną zazdrością spoglądała na Ninkę, która siedzi obok inżyniera.

— Przepadło wszystko! — myśli sobie — on nawet nie spojrzy na mnie, kiedy ma obok tak miłą hrabiankę...

Myliła się jednak. P. Kupielski gawędził ze wszystkimi — a nawet miał sposobność zwrócić się do Gołąbskiej...

— Gdybym była przypuszczała... przelatują jej wciąż uparte myśli — mogłabym chociaż odrobinę się przypudrować...

— Ale wasza Dziunia teraz znacznie lepiej wygląda — wtrąca wśród ogólnej rozmowy p. Wacława— takie ma ładne rumieńce! — widać, że jej służy wiejskie powietrze.

Dziewczę się kłania głową. Nie spodziewała się wcale, że spowodu ruchu na świeżem powietrzu cera jej twarzy znacznie się ożywiła...

Nim jednak kolacja się skończyła, Dziunia dostatecznie się przekonała, że na flirt tutaj wcale liczyć nie można: żaden z panów o tem nie myślał...

A miała niejaką nadzieję — szczególnie po oświadczeniu p. Wacławy.

Po kolacji dziewczęta urządziły zabawę w „cho-

wanego" — bo już się ściemniało — a tak było wesoło, że i Dziunia się nie nudziła...

Potem dostał się jej malutki pokoik na strychu, sąsiednie zaś zajęły jej koleżanki. —

Miło tu było i przytulnie. —

Ale ona długo dumała nad tem wszystkiem, co dziś widziała i słyszała...

— To inny świat... zdecydowała wreszcie — inni ludzie — ale bardzo... bardzo mili. —

Znów potem wraca myślą do Ninki.

— Sądziłam, że ona jest wychuchaną, wypieszczoną panieneczką, przed którą wszyscy proch zdmuchują, tymczasem ona pierwsza biegnie usłużyć, dopomóc, zawsze ustępuje innym...

Żywo przed jej oczami staje własne postępowanie... czy to z matką, czy z koleżankami...

— Ech.. szepce wreszcie, machnąwszy ręką — ja tam nie warta tej hrabiance nawet pantofelka włożyć na nogę...

Z tą myślą zasypia...

VIII

DZIEŃ, JAK SEN...

Następna niedziela była dla Dziuni, jakby snem bardzo miłym, a przyjemnym.

Dziwiła się znów, kiedy wszystkie dziewczęta przystępowały do komunji z wielką pobożnością; — przedewszystkiem zwróciła uwagę na Ninkę, której twarzyczka jaśniała jakąś nadzwyczajną pogodą i niewinnością — oraz na Krzysię, która przykuwała oczy do siebie głębokością wiary i skupienia wewnętrznego...

I jeszcze się dziwiła, że po śniadaniu znów odbyło się przygotowanie lekcji na dzień jutrzejszy, któ-

te również trwało godzinkę i tak samo było wieczorem znów przed nieszporami...

Najbardziej jednak się dziwiła stosunkowi, jaki panował między Ninką i Krzysią z ich matkami; wprost wierzyć sobie nie chciała, że można żyć z matką w takiem serdecznem porozumieniu, jak z najlepszą przyjaciółką...

Czasami brała ją zazdrość:

— Dlaczego moja matka nie jest tak droga... kochana?

W pewnej chwili Ninka podbiegła do swej matki i, zarzuciwszy jej ręce na szyję, zaczęła o coś prosić.

— Dobrze, moja rybko... dobrze, moje złoto... mówiła jej w odpowiedzi p. Lubożedzka — byle tylko...

— To może nie? — zaraz podchwyciła dzieweczka — wyrzeknę się tej przyjemności, jeżeliby miała zrobić mamie przykrość! — chociażby małą... malutką... najmniejszą...

Przyczem ucałowała twarz matki delikatnie, a serdecznie, w całym tym jej ruchu było widać i szacunek i miłość...

— Nic wielkiego...

— Niech mi mamusia powie szczerze... proszę bardzo!

Dalszych słów nie posłyszała — zauważyła tylko miły uśmiech matki, poczem Ninka ucałowała znów jej twarz wreszcie rękę.

Razem stanowiły taki pełen uroku obrazek, że Dziunia nie mogła od niego oczu oderwać...

— Czemu ja nie mogę?... przeleciała jej myśl, — czemu moja mama patrzy na mnie zawsze z żalem i wyrzutem... czemu nie rzuci takiego spojrzenia, pełnego miłości?...

Zwróciła także uwagę, że nikt nie pytał Ninki, o co prosiła...

— Mamy ze swemi mamusiami tajemnicę, o których nie dowiadujemy się nigdy... wyjaśniła jej Krzysia — między sobą zaś nie ukrywamy się z niczem.

— Jakież mogą być tajemnice z matką? — pytała dalej Dziunia — ja naodwrót: miewałam zawsze tajemnice tylko z przyjaciółką... przecież matce nie wszystko można powiedzieć...

Krzysia się śmieje:

— Właśnie, że wszystko! — bo nigdy nie zdradzi zaufania — przed nikim nie wyda tajemnicy.

— Jakto? — a naprzykład o chłopcach?

— Przedewszystkiem z mamusią! — ona zrozumie najlepiej... poradzi, uspokoi... wytłumaczy... nigdy z tego nie robimy tajemnicy!

I znów się dziwiła Dziunia.

Nawet stosunek Cesi do swej opiekunki, także zastanawiał Dziunię: pełna szacunku i miłości — może nie takiej, jak Ninki do matki, ale wyraźnie zarysowanej, o dużej bardzo wdzięczności — widać było, że zawsze o nią serdecznie się troszczy — jednem słowem — że ją kocha...

— Jakiś to inny świat... szepnęła sobie znów Dziunia... świat, gdzie każdy pamięta o innych: świat jakiejś harmonji i spokoju...

Przebiega w myśli swoje koleżanki i nawet krewniaczki.

— Moja kuzynka, Janka, żyje z matką jak pies z kotem: szydzi z niej w oczy... przedrzeźnia... Genia Orzajska tylko mruczy ze złością, kiedy słyszy jakie rady od swej matki, a Wiśka Roziemska! — ta się stale kłóci!... gani ciągle matkę, że chce zaćmić swoją urodą i powodzeniem wśród młodzieży... na dancingach...

— Nie! — stanowczo to inny świat... powtarza poraz setny, patrząc na swe koleżanki...

Tak właśnie się tą myślą przejmuje, że nie uważa nawet, idąc wraz z niemi po obiedzie pod znany jej kasztan i nadeptuje nogę Cesi.

Ostry kant obuwia znaczy wyraźną pręgę...

Poszkodowana mimowoli syknęła boleśnie.

Przyjaciółki spoglądają na nią, z niepokojem — ale ona już stara się uśmiechnąć i zapanować nad bólem.

Przyczyna jednak nie dała się ukryć.

Ninka, która pierwsza to spostrzegła biegnie natychmiast do willi i zaraz wraca z ręcznikiem, umaczanym w zimnej wodzie.

— Ach, taki drobiazg! — broni się Cesia — naprawdę nie warto tyle zachodu.

Tymczasem wszystkie znalazły się pod kasztanem na swym kocu, gdzie Ninka przykłada kompres, czyniąc to nadzwyczaj delikatnie i starannie.

Dziunię przejmuje uczucie wstydu.

Czy to pierwszy raz nadeptała nogę koleżance, śmiejąc się przytem z jej bólu — szydząc z gniewu i złości? nigdy też w takim wypadku nie przepraszała.

Zwykle się wywiązywała z tego sprzeczka, która się często kończyła dąsami.

Spokój, z jakim przyjęła Cesia ten wypadek, współczucie przyjaciółek, które przecież dobrze wiedziały, kto spowodował jej tę przykrość, a mimo to nie robią żadnych wyrzutów — wywołuje gorący rumieniec na twarzy Dziuni.

— Przepraszam... że byłam tak nieuważna... szepce wreszcie — naprawdę mi przykro...

Rumieńce jeszcze większe biją na jej twarz...

— Ach, czy jesteś winna? — śmieje się Cesia,

na której policzkach świeciły łzy bólu: — winny są tylko te pantofelki i moja nieuwaga!

— Tak... winna jestem i ja... bo nie chciałam ich zdjąć...

Schyla się tymczasem i rozpina pantofelek — poczem go zdejmuje.

— Poco to robisz? — pyta Krzysia.

— Nie chcę wyrządzić powtórnie którejkolwiek z was podobnej przykrości...

— Daj pokój! — proszę cię! — zawołała żywo Cesia — jeżeli cię to krępuje, pocóż masz sobie robić nieprzyjemność!

— Ech, drobnostka! — mój kaprys! — nic więcej! — odpowiedziała Dziunia, zdejmując energicznie i drugi pantofel — jeżeli wam uchodzi, to mnie tembardziej ujść powinno!

— Będę miała na sumieniu... szepce Cesia.

— Jeżeli tylko tyle.. śmieje się Krzysia — można w takim razie wytrzymać!

W czasie zaś podwieczorku Dziunia rzekła ze śmiechem:

— Gdybym z wami została na czas dłuższy—takbym się zmieniła, że nikt w Warszawie mnieby nie poznał...

— Naturalnie! — odpowiedziała jej z udaną powagą Krzysia — zmieniłybyśmy się w rusałkę.. albo w ropuchę...

Ale się cieszyła z wpływu, jaki na nią wywierały przyjaciółki...

A najbardziej cieszyła się Danusia.

— Jeszcze da się zapewne uratować... myślała uszczęśliwiona.

Wieczorem po kolacji dziewczęta rozbiły się na grupki i zaczęły wymykać się z werandy.

Było to umówione.

Tymczasem p. Wacława Izalska zbliżyła się do Dziuni.

— Ninka poszła ze swoją matką, a Krzysia spogląda na swą mateczkę — rzekła do niej serdecznie — może więc ty ze mną pospacerujesz?

Nieco zdziwiona dzieweczka zgodziła się chętnie. Z początku gawęda dotyczyła różnych tematów — potem p. Felicja przeszła na czasy prześladowań przedwojennych. —

— Byłam nauczycielką — tu w Warszawie — mówiła do dzieweczki — nie uwierzysz, jak wówczas młodzież garnęła się do nauki polskiego — a było to zakazane... ach, jak wówczas marzyłyśmy o wolnej Ojczyźnie! — na jakie ofiary zdobywałybyśmy się, aby ten cel osiągnąć...

— Pani też uczyła polskiego? — pyta Dziunia.

— Naturalnie! — wreszcie się sprawa wykryła — trafiłam pod sąd — byłam w więzieniu...

— Pani?...

— Cóż się dziwisz? — najlepsi synowie Polski — najlepsze jej córki to przechodziły... był to zaszczyt — każda z nauczycielek była nato przygotowaną; a jednak nigdy nie brakło chętnych!

— Ciekawe...

— Tak... wy młodzi o tem często nawet nie wiecie... po wyjściu z więzienia już naturalnie nie mogłam wrócić na pensję — byłam osobą podejrzaną — niebezpieczną... była to dla mnie wielka przykrość — ale nie ustawałam w pracy dla wyswobodzenia Ojczyzny...

— Była jednak pani już ostrożniejszą...

P. Felicja uśmiechnęła się.

— Zawsze trzeba było być bardzo ostrożną — moskal bowiem śledził i pilnował dobrze! — ale mimo ostrożności, nawet i drugi raz mię oskarżono — udało mi się jednak wykręcić...

Dziunia zainteresowała się bardzo wynurzeniami p. Izalskiej — zaczęła wypytywać — zastanawiać się...

Zaś p. Izalska jęła roztaczać obraz tej niedawnej przeszłości, kiedy tyle serc biło gorącem przywiązaniem do Polski...

— Szli do kazamat... na Syberję; szli na śmierć, a na ich miejsce stawali nowi... i nowi...

— I nie zrażało to innych?

— O, nie! — aż do wielkiej wojny nie zbrakło tych, co się poświęcić chcieli dla wolności Ojczyzny... ale teraz, kiedy widzę tak wiele młodzieży, dla których ta, tak ciężkiemi ofiarami wywalczona, Ojczyzna jest tylko pustym dźwiękiem... tylko drabiną, po której chcą się wspinać na dobre posady, gorycz mię przejmuje i żal...

Dziunia dziś przed udaniem się na spoczynek w dłuższej jeszcze była pogrążona zadumie...

Cichy, ciepły wieczór spędzał sen z oczu...

Z otwartego okna płynęła rozkoszna woń kwiatów... i bliskiego lasu...

Dzieweczka, wyszedłszy na balkon usiadła na oknie i oddała się marzeniom...

Całe jakieś nowe światy odkryły się przed nią — jakieś nowe ideały, powstały w duszy...

— Jakby to było dobrze.. szeptała mimowoli.

Ale oto zjawia się i rozterka...

Przed oczyma zjawiają się inne zagadnienia...

Przypomina się jej ta, co nią owładnęła jakimś dziwnym urokiem.. i zmusza do spełniania swej woli...

A przecież nie czuje do niej sympatji...

Zbliżyła się tylko dlatego, aby zrobić na złość Danusi, a teraz budzi się pewien żal...

Wie bowiem, że zerwać będzie bardzo trudno!

— Hypnotyzm — czy czary? — zapytuje siebie półgłosem.

A tymczasem serce — rozum pociąga do tych miłych dziewcząłek... do Ninki...

Rozumie jednak, że trzeba wprzód zerwać łańcuchy, które wiążą z tamtą...

Co zwycięży?...

X

WALKA O DZIUNIĘ.

Nazajutrz samochód szybko odwoził Danusię, Terenię i Dziunię w kierunku ich pensji.

Dostały mnóstwo ładnych kwiatów na pożegnanie. Dziunia zaś upojona była zaproszeniem na następną niedzielę.

Z westchnieniem, pełnym żalu, wysiadała z samochodu...

Było jeszcze z pięć minut do dzwonka...

Mimo to marudziła niezwykle.

Chciała, aby ją widziało jaknajwięcej koleżanek, że przyjechała eleganckiem prywatnem autem.

Właśnie szła Zenia Kojdecka z Alą Blatowską, a za niemi koleżanki z innych klas.

— A to skąd? — pytała Zenia, zdumiona niebywale.

— Czyje to auto? — dziwiła się Blatowska.

Dziunia się roześmiała z uczuciem wyższości.

— Spędziłam niedzielę u znajomych Danusi Skielskiej w towarzystwie hrabianki Niny — i, widzicie, odesłali nas własnym samochodem!

Ale oto dzwonek—a trzeba jeszcze zdjąć płaszcz i zdążyć do klasy!

Dziewczęta więc frunęły — tylko Dziunia jeszcze pozostała, patrząc za odjeżdżającym samochodem — i dopiero, gdy znikł na rogu ulicy, pobiegła jak wicher do szatni.

— Inaczej się wczoraj biegało na bosaka — myśli sobie z uśmiechem — miło swobodnie, lekko... co te dziewczęta ze mną wyprawiały!

Udało się jej nie spóźnić do przybycia nauczycielki, — a przytem odpowiedzieć z zadanej lekcji bardzo dobrze, co nawet p. Toska podkreśliła:

— Nie pamiętam nawet, kiedy Dziunia umiała tak dobrze lekcję i w dodatku w poniedziałek!

Na przerwę cała klasa piąta, a nawet sporo dziewczynek z klas innych już wiedziało, że Dziunia przyjechała autem z gościny — że tam się znajdowała w towarzystwie hrabianki i jej matki — że się bawiła niezwykle wesoło.

Te wiadomości budziły naturalnie zrozumiałą ciekawość. Otaczano więc ją ze wszech stron, tak, że nawet Róża nie mogła się do niej zbliżyć.

Zazdroszczono jej bardzo.

Niektóre nie wierzyły i zwracały się do Danusi, która potwierdzała słowa swej koleżanki.

Ciekawa była bardzo i matka Dziuni.

Ale po przyjściu jej z gimnazjum, przekonała się z radością, że pobyt u pp. Izalskich nie poszedł wcale na marne.

Córka była uprzejma, — zainteresowała się jej zajęciem, — obiecała dopomóc w pracy.

Niestety około trzeciej wpadła do mieszkania Róża. I zaraz zaczęły obie szeptać w pokoiku Dziuni...

Można było łatwo się domyśleć, że się sprzeczają — a po upływie pół godziny, obie wyszły.

Odchodząc, Dziunia rzekła do matki.

— Tylko na godzinkę... przyjdę potem i zrobię lekcję i dopomogę mamie...

Ale nawet na noc nie przyszła...

Nazajutrz Danusia w czasie pierwszej przerwy w lekcjach, otrzymała od Ali Blatowskiej kartkę, pisaną przez p. Gołąbską.

„Jestem chora. Dziuni od wczoraj niema“.

— Skąd to dostałaś? — pytała Danusia — byłaś może u tej pani dzisiaj?

— Nie... szłam na pensję i otrzymałam ten liścik od dozorczyni kamienicy z prośbą, abym tobie wręczyła...

Dziewczka zmartwiła się bardzo.

Dziuni bowiem nie było i na pensji...

Tylko Róża się kręciła wśród koleżanek.

Jeszcze raz spogląda na papier — uderza ją, że litery są koszlawo i niezgrabnie stawiane.

— Pani Gołąbska pisze dość ładnie — dziwi się Danusia — widziałam jej notatki tyle razy! — widocznie bardzo z nią źle...

Lekcja matematyki skupia jej uwagę — bo naprawdę trudno się wówczas gapić...

Po dzwonku podbiega do niej Terenia.

— Co tobie się stało? — pyta serdecznie: — wyglądasz jakby cię dotknęło nieszczęście!

Zamiast odpowiedzi Danusia jej podaje kartkę.

— Tak.. szepce dzieweczka, zaznajomiwszy się z treścią listu — to jest bardzo przykre.. ale co się stało z Dziunią?

Danusia rozłożyła bezradnie ręce.

Domyśla się — ale nie może mówić...

— Trzeba coś poradzić — ciągnie Terenia — szkoda mi p. Gołąbskiej...

Danusia już ma plan działania.

— Proszę cię... pojedź zaraz po lekcjach do Krzysi... lub Ninki — one tem się zajmą... pieniądze na tramwaj zaraz ci wręczę, abym nie zapomniała. Weźmiesz z sobą i kartkę.

— Poproszę panią wychowawczynię—może mię zwolni z ostatniej lekcji...

— Będzie to doskonale! — ona cię lubi, wie, że się uczysz pilnie, może więc tobie się uda!

I naprawdę udało się.

Terenia więc pośpieszyła wprost z pensji na ulicę Piusa XI.

Dziunia przyszła do mieszkania zaledwie o godzinie drugiej z uczuciem żalu i wstydu.

Zasiedziała się wczoraj u Róży do pierwszej godziny w nocy, i naturalnie tam poszła spać. Dziś zaspała, gdyż Róża jej nie obudziła, a wskutek tego nie chciała iść do gimnazjum — do domu zaś obawiała się — postanowiła więc zjawić się w czasie, gdy pora była wracać z pensji, aby w matce nie obudzać podejrzeń... złoty pierścionek, nowy dar Róży którym wczoraj tak była zachwycona, schowała do torebki.

Dziś ją pali wstydem.

Otwiera drzwi mieszkania — i staje, jak wryta...

Matka jej leżała w łóżku z oczami owiniętemi ciemną opaską — przy niej zaś siedziała ...Krzysia.

— Co się stało? — szepnęła przerażona Dziunia.

— Jakieś niebezpieczne zapalenie oczu... odpowiedziała Krzysia, patrząc na przybyłą z wyrzutem— zaraz przyjedzie samochód, aby chorą odwieźć do szpitala...

Dziunia załamała ręce.

— Nie może być...

— Czy to Dziunia? — zapytała chora. —

— Tak... to ja — zawołała zagadnięta, podbiegając do matki: — kiedy mama zachorowała?

— Bogu niech będą dzięki, że jesteś... tak się wczoraj i dziś martwiłam... myślałam, żeś gdzie trafiła pod samochód... albo inne nieszczęście spotkało... czekałam cię do trzeciej... a potem spać nie mogłam...

— Kiedy mama zachorowała? — powtarza pytanie Dziunia.

— Już w nocy, płacząc za tobą, czułam wielki ból oczu, który mi wreszcie przeszkodził szyć; zrana już prawie nic nie widziałam, jakieś nieszczęście zawisło nad nami...

— I pocóż zaraz do szpitala? — czy tu się nie można leczyć? — z żalem mówiła Dziunia — pilnowałabym...

Wstyd ją przejmuje, że opuściła matkę, — rodzą się wyrzuty sumienia, że właśnie z jej przyczyny zachorowała...

— Doktór, którego matka tej zacnej dziewczki sprowadziła — zapowiedział, że muszą mię zbadać starannie, co tylko w szpitalu można zrobić — a i leczenia, a może operacji nie podobna przeprowadzić w domu... —

Dziunia znów łamie ręce.

— Co ja będę robiła!.. szepce z wzrastającym żalem. —

— Pójdziesz do ciotki...

Dzieweczka zna ją dobrze...

Surowa, wymagająca — po całych dniach zmusza do pracy: już u niej była, gdy matka wyjechała w zeszłym roku na trzy dni z Warszawy...

— Mamo!... nie chcę... nie pójdę!...

— Cóż tu będziesz robiła?

Dziunia znów łamie ręce.

— Wiesz, że nie posiadamy żadnych oszczędności: z czego będziesz żyła?

Tymczasem wchodzi p. Wacława Izalska.

— Miejsce w szpitalu zamówione — dorożka czeka — mówiła śpiesznie — przeprowadzę panią.

— Pani pozwoli, że ja również... szepce Dziunia...

Lecz p. Izalska patrzy na nią z wyrzutem — i odpowiada spokojnie:

— Niema potrzeby... my we dwie z Krzysią to załatwimy.

Twarz dzieweczki zalewają łzy.

— Wiem, że jestem winna... ale niech mi pani pozwoli...

P. Wacława już miała na ustach ostrą odpowiedź, wzbraniającą towarzyszenia matce — jednak, widząc jej skruszoną postać — łzy w oczach — oświadcza pojednawczo:

Zresztą... możesz jechać...

Zaraz przeprowadzono ostrożnie chorą do dorożki, poczem odwieziono do szpitala.

Jakkolwiek Dziunia trochę czuła żalu do p. Wacławy, jednak musiała być jej wdzięczna za serdeczne zajęcie się matką — a gdy, przytem dowiedziała się, że szpital i lekarzy p. Izalska płaci, żal zupełnie ustąpił.

— Czem się pani wywdzięczę?... szeptała ze łzami.

Kiedy te słowa posłyszała Krzysia, szepnęła coś na ucho swej matce, która się zaraz zwróciła do Dziuni.

— Odwdzięczysz się tylko tem, że zerwiesz zupełnie wszystkie stosunki z niejaką Różą, swą koleżanką.

Dziewczynka zbladła.

Kilka razy otworzyła usta, ale nie mogła wydobyć głosu.

— Ja cię również o to proszę... dodała p. Gołąbska.

— Byłoby to niezmiernie trudno...

— Ha... w takim razie będziemy musiały zerwać z tobą wszystkie... i moje dziewczęta i Danusia też i Terenia.

— Proszę pani... dziś nie będę mogła odpowiedzieć...

— Ach... jęknęła matka: — takiej się doczekałam pociechy...

— Proszę! — niech się pani nie przejmuje! — przerywa jej p. Izalska — utrudni to leczenie, zwiększy niebezpieczeństwo, — a wiem dobrze, iż Dziunia tyle jednak panią kocha, że dla niej wyrzeknie się złego towarzystwa.

Przy tych słowach zagroziła na migi córce, aby nie drażniła chorej.

Tymczasem podjechali do szpitala.

Chorą bezzwłocznie zapisano, poczem lekarz dyżurny oświadczył, że narazie nie można stwierdzić, jakiego rodzaju jest ta choroba oczu i dopiero jutro można będzie cokolwiek pewnego powiedzieć.

— Czy bardzo niebezpieczna? — pytała zaniepokojona Dziunia.

— Trudno określić — w każdym razie jest groźna dla oczu chorej.

Po chwili P. Izalska wraz z dziewczynkami znalazła się przed dorożką.

— Siadaj z nami, Dziuniu — zwróciła się do stroskanej dzieweczki p. Wacława — obiadu dziś niema ani w domu, ani zapewne nie dostaniesz go u ciotki — zjesz więc z nami, a potem udasz się, do swej ciotki.

Dziunia nie protestowała. Usiadła apatycznie obok p. Izalskiej. —

W drodze nikt nie zabierał głosu.

Przy stole również prawie cały czas panowało milczenie. P. Izalska chciał, by dzieweczka nieco poważniej rozważyła swoje postanowienie.

Wreszcie powstano.

— Przejdziemy do saloniku — zaproponowała Dziuni: — trochę pogawędzimy.

Dziunia odpowiedziała tak cicho — że nawet trudno było dosłyszeć.

— Żal mi cię—ciągnęła p . Wacława,—gdy już zajęły swe miejsca i dlatego chciałabym ci z serca dopomóc; — proszę cię więc, abyś to, co usłyszysz, sercem przyjęła.

— Proszę.. szepnęła dzieweczka.

— Kochasz matkę? — nie życzysz jej źle?

Dziunia skinęła głową.

— Przyznasz sama, że ona zachorowała tylko przez ciebie... pracowała bowiem nad możność, a przytem często płakała.. . wszystko to z twego powodu...

P. Izalska mówiła te słowa łagodnie, a przekonywująco w tonie poważnym, a miłym... który musiał oddziaływać na słuchającą, i dlatego też łzy się ukazały na twarzy tej ostatniej — usta jednak wymówiły słowa:

— Kiedy mię mama zrozumieć nie chce... nie potrafi...

— Tak, więc trzeba ją przekonać kosztem ciężkich cierpień, a może i ślepoty...

— Nie! — nie! — zaprzecza gwałtownie Dziunia.

— Tak jednak jest...

—Chciałam dziś wszystko wyjaśnić, wytłumaczyć...

— Struna została przeciągnięta...

— Cóż mam teraz robić?...

— Być dobrą córką. Tego wymaga Bóg — wymaga miłość dla matki, jej poświęcenie się dla ciebie od kolebki do dnia dzisiejszego.

Dziewczę zakrywa twarz rękami.

— Matka żyje dla ciebie — ciągnie p. Wacława — jeżeliby teraz wzrok utraciła, największem nieszczęściem dla niej byłoby, że nie może dla ciebie pracować, że musiałabyś wycierać cudze kąty.

— Co robić?... co począć?... szepce Dziunia.

— Wybrać między matką a przyjaciółką. Ale cię na chwilę przeproszę, muszę pewną rzecz załatwić.

Z temi słowami wstaje, poczem wychodzi.

Chce, aby Dziunia swobodnie się namyśliła.

Posłała tymczasem po Ninkę.

— Czego nie zrobi poważne przedstawienie — myślała sobie tymczasem: — dokona serce.

Dzieweczka przybiegła niebawem, gdyż mieszkanie jej było bardzo blisko.

Dowiedziawszy się, o co chodzi, zaraz udała się wraz z Krzysią do saloniku.

Ninka wedle swego zwyczaju podbiegła cicho do płaczącej dziewczynki objęła ją i ucałowała...

Zdziwiona niezmiernie Dziunia, podniosła na nią oczy.

— Pocóż płakać? — szeptała Ninka: — Bóg dobry, wszystko odmienić potrafi, prosić Go o to będziemy...

— Jeszcze nadzieja nie stracona — dodała Krzysia, siadając przy niej na kanapce.

— Tak... może dla was!... mówiła Dziunia, z nowemi łzami — a czy ja mogę być tak pewna...

— Pan Jezus nawet na krzyżu łotra wysłuchał:— nigdy nie jest zapóźno!

— Ależ ja dałam słowo... poparte przysięgą! co zrobię?... nie mam wyjścia...

— Czy możesz dać słowo z przysięgą nawet, że zabijesz swoją matkę? — zapytała Krzysia.

— Nie! zawołała Dziunia — jakkolwiek nigdy

nie byłam dobrą córką — ale tego nie zrobiłabym nigdy!

— Sądzę, że nie dałabyś słowa, aby swoją matkę okaleczyć?

— Nawet nie pytajcie...

— A jednak twoje słowo może matkę okaleczyć: pozbawić ją wzroku; — czy ci wolno go dotrzymać?

Słowa te, wymówione z całą serdecznością, elektryzują biedną dzieweczkę.

— Jak.. mówisz?... jąka przez łzy.

— Że słowo twoje nie może być ważne i obowiązujące — wtrąca Ninka: — gdybyś wiedziała o jego skutkach, nie dałabyś go wcale!

Dziunia patrzy na nią uważnie.

— Gdyby to powiedział ktokolwiek inny... nie uwierzyłabym... ale wy zwodzić nie zechcecie... i naprawdę.. nie dałabym w takim wypadku słowa...

— Czego więc się trapisz? — zapytaj siebie, czy cię matka wychowała, czy koleżanka? — czy nie żyłaś pracą matki? — czy nie ona cię ubierała? — czy nie pragnie twego dobra? — rzekła Krzysia.

— A czem jest dla ciebie koleżanka, która nie wiadomo, czy jest ci przyjaciółką? — wymaga zaś od ciebie słowa, które może okaleczyć i do grobu zawieść twą matkę! — dodała Ninka.

— Tak... macie słuszność...

Ociera łzy energicznie.

— W głębi twej duszy może jeszcze tkwi trochę niedowierzania — mówi Krzysia — pójdziemy więc jutro do spowiedzi, a tam się przekonasz ostatecznie. Kapłan ci wyjaśni, że słowo twoje nie mogło być ważne — tembardziej, jeżeli się przekonasz, iż dałaś je zapewne w sprawie, która może się zwrócić przeciw naszej Ojczyźnie...

— Chyba nie...

— Nie upieram się przy mojem przekonaniu — być może, iż się mylę. W każdym razie dla matki należy wszystko poświęcić, oprócz Boga i zbawienia.

— Tak! — idę jutro do spowiedzi — ale z wami! —

— Dobrze! — pójdę z tobą! — rzekła Krzysia; — poczem wybiegła do drugiego pokoju.

Za chwilę przyszła wraz z p. Wacławą.

— Ponieważ słyszałam, że idziesz jutro do spowiedzi, zatrzymuję cię dziś u siebie na kolację i na noc — przygotujesz się do ważnego aktu, który może być epoką w twem życiu. Jutro zaś nie pójdziesz na pensję. Będę u twej przełożonej i przeproszę, że cię zatrzymałam. Naturalnie nie będę zdradzała twych koleżanek. Trzeba będzie odwiedzić matkę jeszcze zrana, aby się dowiedzieć o stanie jej zdrowia. Przytem należy napisać list do Róży, że cofasz swe słowo i stanowczo z nią zrywasz, — w ten sposób ułatwisz sobie wycofanie się z tej całej sprawy.

— Dziękuję pani — szepnęła dziewczynka, wstając i kłaniając się z szacunkiem.

— Cieszę się bardzo z tego — zawołała Ninka: zanotuję ten dzień do ważniejszych w mojem życiu!

P. Izalska odeszła — dziewczynki zaś pogwarzyły z sobą z pół godziny, poczem zabrały się do lekcji.

Wprawdzie Dziunia miała się nie zgłosić nazajutrz do gimnazjum, ale idąc za przykładem koleżanek również wzięła się do zajęć, — książki potrzebne znalazły się u Ninki.

Przytem napisała krótki bilecik do Róży: oświadczyła w nim, że zrywa wszelkie stosunki na stanowcze i wyraźne żądanie matki.

Była jednak przygnębiona...

Obawiała się Róży i danego słowa...

W dodatku z przysięgą!

Przytem bardzo była niespokojna o matkę. Spać więc tej nocy nie mogła: — z jednej strony gryzły ją wyrzuty sumienia, że spowodowała ciężką chorobę matki, — z drugiej, że łamie przysięgę...

Wygodna i miękka pościel była dla niej torturą. W pewnej chwili nawet pomyślała sobie:

— Ileż to razy marzyłam, a teraz wolałabym swoją mizerną izdebkę i skromne posłanie, na którym tak rozkosznie zasypiałam...

Nazajutrz spowiadała się długo — płacz przytem wstrząsał jej piersi...

Komunję św. przyjęła na intencję matki.

Wracała jednak z kościoła zupełnie uspokojona — kapłan bowiem rozwiał wszystkie jej wątpliwości, wyjaśniając, że przysięga może obowiązywać tylko w rzeczach nienagannych, — a tembardziej słowo dane komukolwiek.

Teraz zerwanie z Różą uważała za całkiem naturalne i konieczne.

— Nie rozumiem, dlaczego tak się opierałam? — wogóle dlaczego jej tak wierzyłam i ufałam...

Żal się przytem budził coraz większy, iż wczoraj usłuchała Róży i poszła z nią do jej mieszkania.

— Gdybym była się oparła, a przynajmniej wieczorem wróciła, mama nie uległaby tak niebezpiecznej chorobie.. ale ten pierścionek skusił...

Żal ten czuje i do Róży...

— Jeżelibym nie odsunęła się od Danusi... nigdy nie doszłoby do takiego nieszczęścia.

Po śniadaniu p. Izalska zakomunikowała dziewczęciu:

— Telefonowałam do szpitala — odpowiedziano mi, że lekarz nie traci nadziei, że matka wzrok odzyska — będzie jednak musiała starannie się leczyć, a potem dłuższy czas wstrzymać się od pracy.

— Czy nie mogłabym jej odwiedzić — pytała Dziunia z niepokojem.

— Zrana nie wolno — może się uda po południu.

— Czy pani zawiadomiła moją mamę, że zrywam zupełnie z Różą?

— Tak... prosiłam, aby jej siostra to oznajmiła. —

Krzysia tymczasem udała się na pensję, — a Dziunia została sama w jej pokoju.

Skromnie tu było urządzone — lecz ze smakiem. Na ładnym biurku stała figura Bożej Matki, przed nią i obok mnóstwo kwiatów — było tu również dużo książek, umieszczonych w sporej szafie. Klucz do niej Krzysia zostawiła, zachęcając do czytania.

— Zdawałoby się, że urządzenie pokoju powinno być o wiele bogatsze, przecież są oni zamożni...

Porównywa w myśl ten pokój ze swoim:

— Mój jest o wiele ciaśniejszy: ledwie pomieści się stół trzy krzesełka i łóżko... na książki mam tylko jedną półeczkę w rogu, reszta kryje się w szufladzie...

Wstyd jednak ją przejmuje na wspomnienie nieporządku, który panuje na stole, a przytem ta figurka jakiejś nimfy wcale go nie zdobi...

— Jaki jednak tu porządek... szepce do siebie...

Wyjmuje z szafki powieść „Szpieg Dioklecjana“ i, zasiadłszy wygodnie na kanapce — zaczyna czytać.

Myśli jej jednak często ulatują do matki...

— Gdybym była wiedziała!... ale się to nie powtórzy!

X

SKLEJONE KARTY

Danusia jeszcze na drugi dzień nic nie wiedziała o zdrowiu p. Gołąbskiej, ani też co się stało z Dziunią.

Dopiero na wielką przerwę zauważyła p. Wacławę Izalską, i podbiegła do niej skwapliwie.

O ile jednak wiadomość o ciężkiej chorobie zrobiła jej przykrość, o tyle ucieszyła się na wieść o zerwaniu Dziuni z Różą.

— Wątpię tylko, czy tego dotrzyma... szepnęła smutno.

— Poto jestem u was — oświadczyła p. Izalska: — aby ona mogła tego słowa dotrzymać!

Poczem zaraz udała się do gabinetu przełożonej.

Danusia zaś zwróciła uwagę na dziwne zachowanie się Róży — biegała niespokojnie i wypytywała o coś wszystkie znajome koleżanki. Nawet zaczepiła Terenię.

Wreszcie pogawędziła chwilkę z Genią — ta zaś ostatnia zbliżyła się do Danusi.

— Czy nie wiesz, dlaczego dziś Dziunia nie przyszła na pensję? — zapytała dość obojętnie.

— Mało mię to obchodzi — odpowiedziała wymijająco zagadnięta.

— Podobno jej matka jest chora?

— Tak miałam o tem wiadomość.

— Dziuni jednak niema ani w mieszkaniu, ani tutaj...

Danusia zdziwiła się.

— Skąd ona wie? — pomyślała sobie — czy Róża posyłała kogo do mieszkania? — czy jej Dziunia tak bardzo potrzebna?

Nie odpowiedziała jednak na pytanie Orzajskiej, a tylko wzruszyła ramionami.

— Ty chyba powinnaś o tem coś wiedzieć — upiera się Genia. —

— Ech, daj mi spokój! — rzuca niechętnie i ucieka od natrętnej dziewczynki.

Nie chce bowiem jej informować, gdzie się Dziunia obecnie znajduje. Wie, że ta wiadomość potrzebna Róży. Postanawia więc nawet i Tereni nic o tem nie wspominać.

Tymczasem p. Izalska w gabinecie przełożonej prowadziła bardzo poufną gawędę.

Zakomunikowawszy p. Płochockiej o chorobie matki Dziuni, prosiła ją, aby tej ostatniej nie wolno było mieć żadnych stosunków z koleżankami klasy szóstej.

— Jedna z nich bowiem wywiera wpływ niepożądany — kończyła swe prośby — ponieważ nie chcę nikogo oskarżać, tembardziej, że nie ma wyraźnych i pewnych dowodów winy danej pensjonarki, radziłabym, aby roztoczono pewien nadzór nad klasą — szóstą i nie pozwolono Gołąbskiej z niemi się łączyć.

— Może jednak pani mi zakomunikuje, kto jest owym podejrzanym typem w szóstej klasie.

— Nie będę robiła tajemnicy ani chwili, kiedy się przekonam o złem: — narazie są tylko podejrzenia... wolę więc zamilczeć o jej nazwisku...

— Wdzięczna jestem pani — dziwię się jednak, że pani chodzi o Gołąbską — sądziłam, iż może raczej Skielska potrzebowałaby staranniejszej opieki i nadzoru.

— O nią się wcale nie boję — jestem jej pewna, jak swojej córki, której pozwalam z nią się przyjaźnić.

Po tej rozmowie przełożona wezwała p. Toską, oraz wychowawczynię klasy szóstej, i wydała im odpowiednie zarządzenie.

Było to już po dzwonku na lekcje, wobec czego uczennice zebrane na lekcję hałasowały sobie, jak zwykle bywa w takich wypadkach.

Genia nawet pozwoliła sobie wyjść z ławki, mając „niezmiernie pilny interes“ do załatwienia ze swą koleżanką.

Ponieważ niezmiernie się śpieszyła, nic więc dziwnego, że pozostawiła otwartą książkę na pulpicie z leżącym na niej bilecikiem.

—Danusiu — krzyczy tymczasem Ala — powiedz, jak brzmią zasadnicze formy czasownika paraitre? (po francusku: ukazywać się).

Danusia spełnia życzenie, wzrok jej tymczasem pada na bilecik.

Wpadają jej w oczy słowa, skreślone ręką Dziuni:

„Koleżanko Różo! — Oświadczam, iż zrywam z wami nieodwołalnie...“

Czytać biletu dalej nie chce — wie bowiem, iż to wysoce niedelikatne — odwraca więc głowę z powrotem.

— Ach, to dlatego Róża była tak niespokojna!— przebiega jej w myśli — dobrze jednak, że Dziunia w ten sposób napisała...

W tej chwili wchodzi nauczycielka języka francuskiego p. Łucja Krzewelska. Klasa milknie natychmiast, książki znikają z pulpitów. Genia czyni nadzwyczajny skok i trafia do ławki, rozdzierając sobie przytem fartuszek.

Ujrzawszy otwartą książkę, rzuca pełnie niepokoju spojrzenie na Danusię, zamyka ją szybko i chowa również pod pulpit.

— Widocznie ma być tajemnicą — szepce sobie Danusia — kiedy jest o niego taka niespokojna... w każdym razie wygląda to, że Genia jest sekretarką kółka, które tworzy Róża, inaczej bowiem nie można byłoby zrozumieć, poco ten bilecik jest w jej ręku...

W końcu lekcji wypadło Danusi odczytać urywek z książki; otwiera ją i przekonywa się, że właśnie w tem miejscu jest kilka kart sklejonych...

Próby rozłączenia kart nie dają rezultatu.

— I cóż tam się stało? — pyta nauczycielka nieco zdenerwowana.

— Karty mi się skleiły...

— Wiem! — jesteś zbyt pewna swych wiadomości z francuskiego, nie dbasz więc o podręcznik! — wyręczy cię Roziemska.

Wiśka właśnie odpisywała na list Geni, ukryta bardzo zręcznie za plecami koleżanek. Nie słyszy nawet swego nazwiska.

— Czy Roziemskiej niema w klasie? — pyta p. Łucja.

Wiśka się zrywa, otrzymawszy „kuksa“ od siedzącej obok dziewczynki.

Nie wie jednak, o co chodzi.

Klasa ją ratuje, mimo to nauczycielka wyrywa inną.

Danusia jest rozgoryczona.

Przekonała się, że karty są tak sklejone, że bez zniszczenia nie dadzą się teraz rozłożyć. A przytem dostała naganę.

— Dziś tę lekcję przeglądałam... przypomina sobie — widocznie mi sklejono w klasie na poprzedniej przerwie.

Poco się domyślać, kto zrobił takiego figla?

Nawet niema celu patrzeć w stronę Szymowskiej... która tylko co odpowiadała i dobrze się jej udało...

— Czy ona nie pamięta, że cudza krzywda musi być wynagrodzona, jeżeli zechce dostać rozgrzeszenie na spowiedzi? — zapytuje siebie Danusia.

Tymczasem Genia nieznacznie podsuwa jej liścik. W nagłówku widać skreślone dużemi literami nazwisko: „Skielskiej“.

— Do mnie? — dziwi się Danusia — mam czas go przeczytać na pauzie.

Ale Lonia Grzebiecka, sąsiadka z obok stojącej ławki, jest bardzo zaciekawiona. Korzysta więc z chwili, kiedy nauczycielka nie patrzy w jej stronę i zręcznie chwyta kartkę.

Przy czytaniu nie jest tak zręczna...

— Grzebiecka! słychać nagle głos nauczycielki— proszę mi to oddać natychmiast!

Dziewczynka musiała być posłuszną...

— Ach, to do panny Skielskiej! — mówi z lekką ironją francuska — więc już i ona zaczyna się bawić w pisanie? — bo kto nie pisze, ten nie odbiera poczty...

Spojrzawszy jednak do wnętrza kartki kładzie ją do książki i prowadzi dalej spokojnie lekcję.

— Co tam może być? — zapytuje się w myśli Danusia — zapewne wyniknie z tego poważniejsza sprawa, kiedy jej nauczycielka nie chce załatwić w klasie...

Dzwonek przerywa jej rozważania. —

Na korytarzu zbliża się do niej francuska:

— Widzę, że jesteś niewinna i że płatają ci dość brzydkie figle! — przynajmniej jednak w danym wypadku nie ujdzie to bezkarnie!

— Niech pani winnej daruje... szepce Danusia. Wie bowiem, iż Kazia się zemści!

— Takich rzeczy tolerować nie wolno — słyszy w odpowiedzi. —

Danusi nic nie pozostało innego, jak ukłonić się w milczeniu i odejść.

Po dzwonku zamiast nauczycielki z polskiego weszła do klasy wychowawczyni i zaraz zaczęła:

— Nie spodziewałam się, że Kazia ma tak brzydki charakter! — niszczyć książkę koleżance z z zemsty za jakieś nieokreślone jej przewinienie jest-to zdradzanie ukrytych złych i przewrotnych cech duszy! — Wymagam, aby winna natychmiast przeprosiła Skielską, i kupiła jej nową książkę zamiast zniszczonej! — inaczej bowiem będę zmuszona tę sprawę przedstawić p. przełożonej!

— Ależ, proszę pani, ona bardzo źle postąpiła wobec mnie... jąkała zawstydzona Kazia — i nie mam pieniędzy...

— Kto nie ma pieniędzy — nie ma prawa robić szkody innym!—jeżeli nie chcesz przeprosić i krzywdę nagrodzić, będziesz surowo ukarana!

Szymowska wyszła z ławki z wypiekami na twarzy, i zbliżywszy się do Danusi, wyjąkała słowa przeproszenia.

Danusia w odpowiedzi wyciągnęła do niej rękę — ale Kazia udała, że tego nie widzi i szybko uciekła na swoje miejsce.

P. Toska również nie zauważyła tego ruchu, i rzekła pojednawczo:

— Jutro więc przyniesiesz książkę! —

— Przepraszam panią... wtrąca Danusia: — potrafię swoją przyprowadzić do porządku... włożę mokrą bibułę z obu stron sklejonych kart i po pewnym czasie guma puści... a na parę tygodni naprawdę nie warto nowej książki kupować!

— Jeżeli więc Skielska się zrzeka — oświadcza wychowawczyni: — w takim razie podziękuj jej zato, sama jednak napraw jej książkę. Swoją narazie jej pożycz, aby mogła przygotować lekcję, nim to zrobisz.

Znów Kazia jąka kilka słów — przynosi swoją książkę, która widocznie była już w niejednem ręku, i bierze podręcznik Danusi.

— Zwrócisz więc książkę najdalej pojutrze — dodaje p. Toska — i to przy mnie!

Zauważyła bowiem teraz niechęć Szymowskiej, mimo pozornych przeprosin.

Po dzwonku na pauzę rozpętała się burza: do Danusi przybiegła rozzłoszczona Kazia i obsypała ją wyzwiskami, przyczem oświadczyła zirytowanym głosem:

— Jeżeli sądzisz, że ci będę naprawiała podręcznik, to się grubo mylisz! — dam ci jutro książkę Wiśki, a ty mi zwrócisz moją! — nie masz jednak prawa zatrzymywać jej u siebie i zaraz po lekcji oddasz właścicielce!

— W takim razie oddaj mi teraz mój podręcznik — rzekła Danusia: sama go naprawię.

Kazia zaśmiała się urągliwie:

— Ujrzysz go! — pożegnaj się! — czy ty sobie wyobrażasz, że dam ci broń do ręki przeciw mnie? — pokazałabyś go dziś jeszcze wychowawczyni, ja zaś otrzymałabym surową karę!! — widzicie, jaka mądra!

— W takim razie jutro zatrzymam podręcznik Wiśki, gdyż muszę przecie przygotować lekcje, a tracić pieniędzy na kupno nowego niema sensu.

— Jeżeli chcesz, abym przeszła do obozu twoich najzawziętszych wrogów — odpowiedziała z gniewem Roziemska — możesz to zrobić — wogóle nie wiem, na jakiej zasadzie mówisz mi po imieniu, kiedy my zaledwie jesteśmy znajome...

Danusia przekonała się, że nic nie wskóra. Obejrzała się za pomocą. Ale koleżanki przypatrywały się tej scenie z ciekawością — inne nawet widocznie przechylały się na stronę Kazi, która miała duży mir w klasie.

— Trzeba było zaraz wziąć do ręki bilecik kiedy ci podsunęłam! — mówi z wyrzutem Genia — wówczas nie byłoby tej całej hecy!

— Uprzedziłam was, że do poczty nie będę należała!

— W takim razie nie jesteś naszą koleżanką! — złościła się Lonia Grzebiecka — to jest prawo klasowe!

Danusia rozśmiała się:

— Jeżeli Roziemska oświadcza, że jest tylko moją znajomą, a nie koleżanką i nikt tego nie potępił — nikt nie zaprotestował,— to zdaje się, tak wygląda: ja powinnam być koleżanką, ale wy mnie nie uznajecie jako koleżanki!

Przez tłum dziewcząt przedziera się wreszcie Terenia, chwyta Danusię pod rękę i wyprowadza ją szybko z klasy, co łatwo jest uskutecznić, dlatego, że dyżurna już wydziera się, aby wszystkie szły na korytarz.

Mimo to Kazia nie zamyka swych ust, i biegnąc z tyłu, trajkocze bez przerwy:

— Przybłęda! — zarozumiała kwoka! — burżujka! — na nasze bale potrafi chodzić! — chłopców odbijać, a sama nigdy nas nie poprosi — liczykrupa! — bierz przykład z Onduleckiej, która wstąpiła w tym roku do klasy szóstej: stale pasie swoje koleżanki czekoladkami, cukierkami, tortami, a pewno niema takich majątków, jak twoi rodzice!

Łzy się cisną do oczu dzieweczki — gorycz coraz większa przejmuje — wie jednak, że Szymowskiej rady nie da, a przecież za nią stoi pół klasy...

Nie pomaga ucieczka — Kazia bowiem ją goni i łży dalej:

— Patrzcie! — koleżeństwa jej się zachciewa! — wiejska gąseczka! — samochodami się rozbija, z hrabiankami się przyjaźni, na nas patrzy z góry! — podła

żmija! — wyrzucili cię z jednej budy — wyrzucą i z drugiej! —

Szczęściem Terenia uważa, gdyż jej przyjaciółka tak przygnębiona, tak rozżalona tym stekiem wyzwisk, że zupełnie traci świadomość i nie wie, dokąd idzie, tembardziej, że łzy zalewają oczy...

Ale Dolecka umyślnie zbliża się do p. Łucji, która teraz dyżuruje na korytarzu. Szymowska, która ją spostrzegła w ostatniej chwili, daje nura w grupę koleżanek i znika, jak kamfora...

P. Krzewelska znana jest na pensji z dobrego serca. Wprawdzie na lekcji udaje bardzo srogą i nawet nie zwraca uwagę na łzy — ale na korytarzu jest jakby inną osobą.

Zauważywszy więc rozżalenie Danusi, obejmuje ją i mówi ze współczuciem:

— Biedactwo! — co one tobie zrobiły? — przecież chyba nie o tę książkę teraz chodzi?

Danusia pod wpływem tych słów i pieszczoty już nie może nad sobą zapanować. Wybucha głośnym, a rzewnym płaczem.

— No, dajże spokój! — tłumaczy dalej p. Łucja — to nawet wstyd tak płakać — pójdziemy do umywalni, wypijesz trochę wody; zrobi ci się lepiej...

Tymczasem zbiegają się pensjonarki z innych klas, zapytują zdumione jedne drugich, co się stało. Piątoklasistki jednak, zawstydzone nieco, kryją się i dają wykrętne odpowiedzi.

P. Krzewelska wiedzie tymczasem Danusię do umywalni.

Po drodze spotyka Kazię, która nie potrafiła wczas umknąć. Grozi jej palcem z miną niezwykle surową.

Szymowska już ochłonęła trochę z gniewu, ponieważ stale zabiega o łaski p. Łucji, bierze tę groźbę do serca.

— A jeżeli Danka się wygada? — szepce z pewnym lękiem — bo francuska umie wyciągnąć zeznanie...

Sama przecież nieraz musiała się przyznać, pod wpływem tej nauczycielki...

Wprawdzie zazwyczaj nie karze — nawet nic nie mówi wychowawczyni o wybrykach jej uczennic, ale potrafi zawstydzić... a najgorsze: przez pewien czas starać się o jej łaski...

A takich jest dużo — ubiegają one Kazię z wielkim smutkiem!

Danusia do tej pory była zupełnie na uboczu — p. Krzewelska do niej się nie zbliżała, a dzieweczka nie szukała jej względów.

Szymowską więc zaczyna gryźć zazdrość.

Ale teraz nie może podejść, przeprosić, przymilić się, jak to nieraz czyni...

Zła jest na siebie, że doprowadziła sama przez swą gwałtowność p. Łucję do zajęcia się pokrzywdzoną dziewczynką...

— Trzeba trafu, że dziś właśnie francuska dyżuruje na korytarzu! — mówi do siebie z irytacją. —

Dzwonek spędza pensjonarki do klasy. Danusi narazie niema... już się lekcja rozpoczyna.

Kazia się denerwuje.

Męczy ją każda chwila, którą Danusia spędza w towarzystwie p. Łucji.

— Z pewnością się przyznała! — powtarza sobie niezliczoną ilość razy.

Idąc do tablicy, zerknęła w okno.

Zgroza ją przejęła:

Danusia szła w towarzystwie p. Łucji... widocznie do mieszkania!

— Głupio się stało! — przelatuje jej myśl — zbyt ostro się do niej przyczepiłam! teraz będę miała kłopot!

Lecz i Danusia ją złości.

— Parę słów prawdy powiedziałam i taki zrobiła bek, jak małe dziecko! — posłyszę czasem więcej od koleżanki, odetnę się ostro — podąsam się z kilka dni i już! — a ta wyprawia wrzaski, jakby jej korona z głowy spadła!...

Ale najgorzej, że i p. Toska się dowie o tej całej historji, bo nieobecność Danusi jest odnotowana w dzienniku klasowym...

Z wychowowczynią zaś nie ma ochoty zadzierać w końcu roku szkolnego...

Tymczasem Terenia, powierzywszy swą przyjaciółkę opiece p. Łucji, spotkała się z wychowawczynią klasy i powiedziała, że z powodu pewnej przykrości Danusia jest bardzo rozżalona.

P. Toska udała się zaraz do umywalni, gdzie jej się żal zrobiło dziewczęcia.

— Pani zdaje się niema teraz lekcji? — zapytała p. Krzewelskiej, i na potwierdzającą odpowiedź dodała:

— Może więc pani będzie tak uprzejmą i odprowadzi Skielską do mieszkania?

— Z całą przyjemnością — tylko cokolwiek się uspokoi...

Dzwonek przypomniał wychowawczyni, że ma się udać na lekcję niebawem i p. Łucja odprowadziła swą uczennicę do domu.

Po drodze opowiadała jej zabawne historyjki, pragnąc uspokoić i rozweselić — co się wreszcie częściowo udało.

W mieszkaniu zabawiła jeszcze z pół godziny, przyczem starała się poznać przyczynę płaczu dzieweczki.

— Ach, nie... proszę pani — broniła się Danusia: — nie chcę zdradzać koleżanki...

— Możesz mi zaufać — nikomu nie powiem!

— A jeżeli mię jutro w klasie zapytają — będę musiała kłamać, że nic nie mówiłam...

— Masz rację, bo przyznać się nie będzie możliwe... w takim razie nie namawiam ciebie, jakkolwiek chciałabym tobie dopomóc...

— Dziękuję serdecznie! — przecierpię... do końca niedaleko!

— W takim razie powiedz mi, kto jest ów Jar, o którym wspomniano w kartce, która wywołała tę całą burzę?

— Nie czytałam tej kartki... szepce Danusia — ale jeżeli tam wymieniono to imię, chętnie służę wyjaśnieniem: jestto Jarosław Kielowski, student prawa, którego poznałam na zabawie u jednej z koleżanek.

Nauczycielka uśmiechnęła się:

— To mój brat cioteczny... ach, to zapewne o tobie on opowiadał...

P. Łucja przyjrzała się swej uczennicy, jak by ją pierwszy raz widziała.

— A co takiego było w owej kartce? — pyta Danusia.

— Dokładnie nie powtórzę — ale treść jej była taka: „dobrze ci tak! — przynajmniej dostaniesz dwójkę z francuskiego, za bałamucenie Jara — w dodatku musisz sobie kupić drugą książkę!" — potem następował podpis, — ale autorka listu przerachowała się: nie postawię ci wcale niedostatecznego, znasz bowiem ten język bardzo dobrze.

— Wdzięczna jestem...

— Niema zaco! — oceniam cię tylko sprawiedliwie, — ale może mi powiesz, jak to było z owym Jarem?

— Byłam pewnego razu na wieczorku urządzonym przez Dziunię Gołąbską. Było tam sporo młodzieży — p. Kielowski przyszedł później. Niebawem

przybliżył się do mnie i zaczął rozmową — potem tańczyłam z nim...

— I próbowałaś flirtu?

— O, nie! — sparzyłam się już na flircie, kiedy podróżowałam po Włoszech... zostałam ciężko zato ukarana, gdyż pozwoliłam sobie na flircik z pewnym nieznajomym, który się podawał za markiza, a był zwykłym bandytą...

— Tak... żartowałam tylko, bo, jak się Jarosław sam przyznał, on próbował, lecz nic nie wskórał. —

Niebawem przyszła p. Toska i oświadczyła dość kwaśno Danusi:

— Należy zawsze panować nad sobą — nawet jeżeliby ci ktokolwiek zrobił i bardzo wielką przykrość!

— Przepraszam.. szepce dzieweczka — ale...

— Jutro zaś pokażesz mi książkę, którą ma tobie Kazia poprawić — zniszczyć bowiem jest łatwo — ale doprowadzić do należytego porządku nie zawsze się udaje!

Danusia zadrżała.

— Co mam teraz zrobić? — pokazać książkę Wiśki? wychowawczyni zaraz pozna, a przyznać się niepodobna...

Nowe to zmartwienie pozwoliło jej zapomnieć o dawniejszem.

Na myśl jej przychodziło, że teraz nie powinna oszczędzać Szymowskiej i wyznać całą prawdę.

— Wiśka wyraźnie zaznaczyła, że nie uważa mnie za koleżankę... z jakiej więc racji mam być od niej lepszą?

Ale jasne oczy Ninki z jej portretu potępiają takie postanowienie:

— Masz być lepszą! — masz!

Danusia z westchnieniem szepce:

— Wiem, że ty inaczej nie powiesz.. i sama w ten

sposób postąpisz, a ja chcę być taką, jak i ty jesteś..

Popatrzyła w wyraziste oczy Ninki:

— Otóż będę lepszą!

Przy obiedzie p. Toska zaczęła spokojnie.

— Nie sądź, że ciebie potępiam — ale musisz sama przyznać, jak wielkiem złem jest owa „niewinna“ zabawa, którą nazywają flirtem, kiedy nawet pozory tej zabaweczki tyle mogą przynieść przykrości! — Utrzymujesz bowiem, że nie flirtowałaś z Kiełowskim...

— Naturalnie — szepce dzieweczka.

— A jednak samo podejrzenie doprowadza do takiego gniewu Kazię, że się mści na tobie — inaczej bowiem wcale nie miałabyś zniszczonej książki, wstydu z bilecikiem...

— Wymyślań Szymowskiej... dodaje sobie w myśli Danusia, przyznając w duchu zupełną rację p. Toskiej.

— Lecz się tem zbytnio nie powinnaś przejmować — ciągnie dalej wychowawczyni — ona prędko o tem zapomni, bylebyś tylko swem postępowaniem nie wywoływała nowej zazdrości...

XI

U CIOTKI

Nazajutrz Danusia szła na pensję z wielkim niepokojem.

— Jak mnie przyjmą koleżanki? — czy przyjdzie dziś Dziunia? — jak się zachowa względem niej Róża?

Obawiała się bardzo wrogiego nastroju klasy względem siebie.

Ale jeszcze wczoraj p. Toska miała do nich krótką przemowę, w której je zawstydziła:

— Żyłyśmy dotychczas w zgodzie — teraz jednak wy się dopuszczacie coraz częściej różnych wybryków — robicie przykrości koleżankom, a przez to i mnie także... Jeżeli się to będzie nadal powtarzało, będę zmuszona zrzec się wychowawstwa waszej klasy — i wezmę od nowego roku szkolnego inną...

Dziewczynki pospuszczały głowy i zaczęły się tłumaczyć, że w żadnym wypadku nie miały najmniejszego zamiaru robić jakiejkolwiek nieprzyjemności swej wychowawczyni i proszą, aby ich nie opuszczała.

— A jeżeli jaki się figiel trafi, to wcale nie przez złość... wyjaśniała Ala.

— I pani niech nie bierze do serca! — wołała Wiśka.

— Trudno siedzieć, jak mumje!... dodała Genia.

— A jeżeli się uczy „nową" — a ona nie rozumie się na tem, to czy nasza w tem wina? — wykręcała się Zula Łowiska.

— Ładna nauka! — zauważyła p. Toska — jak do płaczu koleżankę doprowadza...

— Bo się nie zna na żartach! — tłumaczy Grzebiecka.

— Zbyt wypieszczona w domu!

— Mamina córeczka!

— Z mokrego kraju pochodzi!

— Płacze już od pierwszej lekcji!

— Taka już natura... mówiła kiwając głową Ala — ja również do dwunastego roku życia byłam taka...

— Spodziewam się, że mimo to będziecie dla niej lepsze — oświadczyła im wychowawczyni, wychodząc z klasy.

Danusia więc dziś, idąc na pensję, nie spodziewa się, że wrogiego nastroju nie spotka — pod tym więc względem czekała ją niespodzianka. —

Inną zaś niespodzianką było dla niej powitanie Dziuni, która podbiegła zaraz i ucałowała serdecznie.

— Nie potrafię się tobie wywdzięczyć... szeptała z przejęciem — nigdy nie wyobrażałam, sobie, żeś tak dla mnie przychylna...

— Jak zdrowie mamy?

— Lekarze nie tracą nadziei... odpowiedziała z ciężkiem westchnieniem Dziunia: — jeszcze jednak nie mogą nic powiedzieć...

— Bardzo to przykre...

— Najgorsze jest to, żem sama winna...

Dziunia szybko otarła łzę, przyczem Danusia spostrzegła, że na jej twarzy niema ani śladu pudru— usta zaś wcale nie były ukarminowane...

Dzwonek zapędził je zaraz na swoje miejsca, jednocześnie weszła do klasy p. Toska, aby jeszcze przed lekcją matematyki załatwić sprawę z książką Danusi.

Na jej wezwanie Kazia wyszła z ławki z książką, zamierzając ją oddać właścicielce.

— Pokaż mi, jak to wygląda! — rzekła wychowawczyni — otwórz więc w tem miejscu, gdzie były sklejone karty.

Kazia widocznie stropiła się.

Zaczęła szukać gorliwie...

Wreszcie, odkrywszy na pewnem miejscu, podeszła do nauczycielki.

— Cóż to? — nic nie znać? — pytała zdziwiona, biorąc książkę w ręce — a pocóż tu jest podpisane nazwisko Wiśki?

— Bo... bo nie udało mi się... poprawić... Wiśka więc dała mi swoją książkę...

Danusia się zrywa:

— Proszę pani! — będę się uczyła z książki Tereni — tak blisko do końca roku szkolnego, że się bez niej obejdę...

— Na to się zgodzić nie mogę! — rzekła wychowawczyni — idź natychmiast do domu i przynieś książkę Skielskiej.

Dziewczynka, zła widocznie, wybiegła zaraz z klasy.

Na następnej przerwie podeszła do p. Toskiej i wręczyła książkę Danusi. Kartki były odklejone starannie — zrobiła to bowiem jeszcze wczoraj — zamierzała bowiem tę książkę sprzedać w antykwarni.

— Dobrze! oświadczyła nauczycielka — a będzie najlepiej, kiedy się pojednasz ze Skielską.

— Nie mogę... proszę pani. —

— Dlaczego? — powiedz mi szczerze — wiesz przecie, że jestem tobie bardzo życzliwa!

— Ona naskarżyła na mnie przed p. Łucją... wczoraj bowiem w gniewie powiedziałam jej że książki dziś nie oddam, a tylko dla pozoru, wręczę podręcznik Wiśki... a dziś o tem pani już wie... od p. Krzewelskiej...

— Jeżeli więc wczoraj powiedziałaś jej w gniewie, dlaczego dziś nie oddałaś jej książki?

— Chciałam ją tylko ukarać...

— Karać nie możesz... zaśmiała się p. Toska:— zostaw to już mnie i rodzicom — a co do oskarżenia, to się mocno mylisz: nic nie słyszałam o tem, że masz wręczyć Danusi podręcznik Wiśki — nic więc nie przeszkadza, abyście się pojednały.

— Ona jest niekoleżeńska! — wybucha Szymowska.

— I w tem się mylisz! — ona zbytnio się nawet stara o przyjaźń z wami — wolałabym, aby się trzymała na uboczu!

— Ale jej postępki wcale są niekoleżeńskie!

— Naprzykład w sprawie o Kielowskiego? — rzekła z uśmiechem wychowawczyni — nawet i tu się mylisz — wiem od p. Łucji, że p. Jarosław tylko dla-

tego przestał u was bywać, że musiał się wziąć ostro do nauki. —

Kazia rzuciła na p. Toską spojrzenie pełne niedowierzania.

— Widzisz więc, że niema o co się obrażać — ciągnęła tymczasem nauczycielka — idź, pogódź się ze Skielską, a wówczas w naszej klasie zapanuje spokój i harmonja.

Szymowska ukłoniła się, nic nie mówiąc, i odeszła.

— Jej chodzi tylko o zgodę... szeptała sobie tymczasem — ale zgody między nami nie było i nie będzie! — gdyby Danka nie odbiła mi Kielowskiego, wpadłby on czasem przynajmniej na chwilkę, jak to dawniej bywało, teraz tylko kłania się zdaleka — ręczę jednak, że się widuje ze Skielską... ach, gdybym ich mogła przyłapać! — bez ceremonji zawiadomiłabym wychowawczynię — niech wie, jakiego ma ptaszka!

Przychodzi jej na myśl, że postąpiłaby wówczas wbrew prawu klasowemu.

Ale się rozśmiała nato z ironją:

— Ona? — koleżanką?! — zresztą, skąd się dowiedziała, że ze mną zerwał? — nikt inny nie mógł tego powiedzieć tylko Danka! — a ja mam być lepsza?

Postanawia sobie „złapać ptaszka"

— Ale jak? — sama dyżurować nie mogę przy tej kamienicy, gdzie Danka mieszka.. ale dozorczynię możnaby poprosić.. tylko bieda, że ona nie zna Jarosława...

Narazie jednak nic nie mogła wymyśleć, jakkolwiek w czasie rysunków miała nato dość czasu.

Tymczasem Dziunia trzymała się w czasie przerw Tereni lub Danusi — nawet zwróciła się z prośbą do tej ostatniej:

— Nie uciekaj odemnie, nie chciałabym, aby mię Róża przyłapała...

— Jeżeli o to chodzi — służę ci stale!

— W mieszkaniu bowiem mnie nie znajdzie — a przy was nie zechce mię zaczepić...

A Róża istotnie krążyła wokoło, pragnąc rozmówić się z Gołąbską.

Mimo ostrożności ze strony Dziuni — udało się jednak przyłapać ją w czasie ostatniej pauzy. —

Danusia patrzała na nie z niepokojem.

Nie wiedziała narazie, jak tej rozmowie przeszkodzić — nagle przyszła jej na myśl Terenia.

Spacerowała ona właśnie z Alą.

Danusia podbiegła zaraz i, przeprosiwszy tę ostatnią, szepnęła Doleckiej:

— Idź, sprowadź mi koniecznie Dziunię — i to natychmiast!

Widać było, że Róża protestuje — że się gniewa — nic to jednak nie pomogło: Dziunia odwróciła się szybko i przybiegła do Danusi mówiąc:

— Dziękuję ci, żeś mię wezwała! — nie mogłam od niej się wykręcić!

— Pocóż się tak z nią liczysz?

— Niestety.. narazie mi trudno. —

A że naprawdę miała dobre chęci, okazało się z tego, że nawet pensję opuszczała wraz z Danusią pod opieką p. Toskiej.

I dobrze zrobiła, gdyż Róża czatowała na nią przy wyjściu.

Nazajutrz powtórzyło się to samo.

Róża widocznie polowała na Dziunię w każdą przerwę — ale ta ostatnia tak zręcznie jej unikała, że się spotkanie nie udało nawet na chwilę.

— Ona mię łapie na pensji — zwierzała się Danusi — gdyż niema śmiałości przyjść do mieszkania mojej ciotki, gdzie obecnie przebywam.

— Czyli niema tego złego, coby na dobre nie wyszło...

Gołąbska westchnęła.

— Gdybym była wiedziała, że się tak stanie... nigdy nie poznajomiłabym się z Różą... pomyślała z żalem.

— Jak zdrowie matki? — pyta tymczasem Danusia. —

— Trochę lepiej... i to mię umacnia w pobycie u ciotki.

— Dzięki Bogu! —

Dziunia naprawdę miała teraz niewesołe życie... nawet nie mogła wyrwać się na chwilę do Danusi po południu...

Wprawdzie pocieszała się, że uniknie spotkania z Różą, która zapewne starała się gdziekolwiek spotkać — mała to jednak była pociecha.

Miała bowiem nie więcej, niż dwie godziny na przygotownie lekcji — pozatem cały czas musiała pomagać w szyciu.

— Kto nie pracuje, ten niech nie je! — powtarzała ciągle jej ciotka p. Zygfryda: — praca wzbogaca! — bez pracy niema kołaczy!

Te oraz inne przysłowia były w jej ustach stale — i trzeba przyznać, że i sama dawała pod tym względem dobry przykład.

— Ale Janeczka nie bardzo myśli o pracy — rzekła Dziunia pewnego razu.

— Ach, czy ty nie wiesz, że moja córunia tak wątła.. anemiczna... ledwie się lekcji nauczy, już ją główka boli... musi odpocząć, pospacerować...

— Ja również nie mam dobrego zdrowia... lekarz mi kazał brać żelazo...

— O, nawet równać się z nią nie możesz! — ona się ciągle leczy i zaledwie to ją trzyma na nogach...

ho, ho! — gdyby miała zdrowie, zapakowałabym ją do roboty! — byłaby mi prawą ręką dotychczas!

— Szkoda...

— Tak, tak! — bardzo szkoda! — czy nie wiesz, jak bardzo ona się rwie do szycia, jak się nieraz naprasza, aby przyjść do pracowni? — a ja muszę hamować jej zapał, bo wiem, że to zaszkodziłoby jej zdrowiu?

Dziunia słuchała tych wywodów, mocno zdziwiona. Znała dobrze swą cioteczną siostrę — wiedziała, iż lubi się bawić i stroić — zaś o szyciu wspomina ze wstrętem, najdalej dwa tygodnie temu wyraziła się w podobny sposób, a tymczasem matka utrzymuje coś wręcz przeciwnego!

Lecz już ciotki nie było — odeszła do swych pracownic, które wytężały siły nad jakąś ślubną wyprawą.

Westchnęła więc gorzko...

— Nie tak dawno nie chciałam usłuchać mamy i chociaż cokolwiek jej dopomóc, a przynajmniej odnieść zaraz gotową robotę... dziś zaś muszę pracować bez chwili odpoczynku, bo ciotka każe...

— Możesz wyjść na chwilkę — woła donośnym głosem p. Zygfryda — przyszła twoja koleżanka i chce o coś się zapytać...

Dziunia zaniepokoiła się.

— Może Róża? —

Głośno więc dodaje:

— Czy jej cioteczka nie zna?

— Zdaje się Dolecka...

Dziewczę się zrywa natychmiast i biegnie na spotkanie przybyłej.

Chodzi o atlas, który Dziunia pożyczyła i odnieść teraz nie może.

— Bo wiesz — tłumaczy się z przykrością — ciotka mnie zapakowała do szycia tak, że nie mam ani

chwilki czasu, ciągle muszę siedzieć nad tą nudną robotą...

— Ale cię nie bije?

— Jak możesz takie rzeczy mówić! —

— A mama twoja?

— Dziękuję... lepiej...

Terenia wzdycha.

— A kiedy mniej więcej wróci?

— Może za jaki tydzień — tak strasznie długo, tak nudnie ten czas tu się wlecze!

— Moja już nie wróci — szepce Terenia z żalem: a dwie łezki stoczyły się po twarzy.

Dziunia teraz zrozumiała.

Jej matka wróci, a Terenia tego się nie może nigdy spodziewać — i jakkolwiek jest ciężko lecz nigdy tak, jak było Doleckiej, którą stryjenka biła i katowała...

— Masz rację... szepce — i ty i Danusia... ty byłaś w strasznem położeniu... i tylko dzięki szczęśliwemu trafowi los twój się poprawił...

— Och, nigdy nie zapomnę tej chwili, kiedy mię zbiła stryjenka — ja zaś spłakana, obolała skryłam się w ogrodzie... i nagle zostałam otoczona przez te zacne dziewczynki: Krzysię, Ninkę i Cesię... Dziwię się, jak mię wówczas Danusia poznała! Gdy podbiegła i pochwyciła w objęcia, zdawało mi się, że to anieli z nieba spłynęli na mój ratunek.. ach, to nie los — to opieka Bożej Matki i świętej Tereni...

— Dziuniu! — a co tak długo tam robisz? — rozlega się nagle głos ciotki za drzwiami — robota czeka!

— Skaranie z tą robotą! — mruczy ze złością Dziunia: — nawet pięciu minut nie można pogawędzić!

Poczem zaś woła:

— W tej chwili! — już lecę!

— Dowidzenia ci — mówi tymczasem Terenia, jaka ty jesteś szczęśliwa, że twoja matka żyje, będzie widziała! dziękuj Bogu...

— Dowidzenia... szepce Dziunia — tak! masz rację... sądziłam, że jestem najbardziej upośledzoną istotą, — przekonywam się jednak, że i mnie można zazdrościć...

Terenia uśmiechnęła się smutno i wyszła, a Dziunia wróciła do swej pracy, przeprowadzana mruczeniem swej ciotki, w którym dość wyraźnie można było dosłyszeć słowa „próżniak“, „wałkoń“ i tym podobne...

Ale nie robiły one tak wielkiego teraz wrażenia.

Dziunia wiedziała już, iż jej można zazdrościć... że jest szczęśliwą w porównaniu z innymi, że kiedy matka wróci, wówczas znów potoczy się weselsze i milsze życie...

I nagle ogarnia ją tęsknota za matką...

— I ja mogę się do swej tak samo przytulić, jak Krzysia, lub Ninka.. wszak to moja matka! — moja!

Łzy spływają po twarzy.

A ciotka wciąż mruczy...

— A niech tam!.. szepce dziewczę.

— Pocóż zaraz płakać? — mówi już głośno p. Zygfryda, której się żal robi siostrzenicy — wszak się na ciebie nie gniewam!

Ach, czyż ona wie, — jaka przyczyna łzy dziewczęciu wyciska?

Jednak do podwieczorku p. Zygfryda dodaje ciastko ze słowami:

— Masz! niech ci się nie zdaje, że ciotka znów taka niedobra!

XII

OBŁUDNA DZIEWCZYNA

Na trzeci dzień Róża znów „upolowała“ Dziunię. Zamieniła jednak z nią zaledwie kilka zdań. Gołąbska nie chciała jej nawet słuchać, i zaraz odbiegła.

Róża cisnęła na nią spojrzenie, pełne gniewu, i odwróciła się na pięcie. Potem zaś spacerowała z Genią.

Wprawdzie Danusia już dawno zaczęła podejrzewać, że Sterlerówna prowadzi pewną agitację ale nie miała nato żadnych dowodów. Dziuni zaś pytać nie chciała.

Dziś jednak, patrząc na tę scenę, postanawia wybadać koleżankę.

Odkłada jednak na następną pauzę, bo zaraz dzwonek.

Tymczasem Róża, przechodząc obok, ciska i na nią spojrzenie, pełne jadu. Nie spodziewała się widocznie, że Danusia go spostrzeże, gdyż natychmiast spuściła oczy.

— To mi się bardzo niepodoba.. pomyślała dzieweczka: — widocznie jest na mnie obrażona — i wiem dlaczego!

Przejmuje ją niepokój.

Róża się umie mścić...

— Ale nie mogłam przecież pozwolić, aby gubiła Dziunię!

Dzwonek nie pozwala długo się nad tem zastanawiać: zaraz bowiem „idzie“ matematyka, a z nią niema żartów!

Na wielką przerwę chwyta pod rękę Dziunię i po kilku obojętnych zdaniach zaczyna:

— Czy nie mogłabyś powiedzieć, o czem rozmawiałyście z Różą w czasie, kiedy przebywałyście z sobą po całych dniach?

Zagadnięta spojrzała na nią nieco przestraszonym i zaniepokojonym wzrokiem.

— Naco tobie ta wiadomość? — szepnęła zdziwiona: — chciałabym o tem zapomnieć nazawsze!

—Miło mi posłyszeć taką odpowiedź — ale tylko w drugiej części.. może mi jednak zaspokoisz ciekawość i co do pierwszej części pytania?

Dziunia namyślała się chwilę, wreszcie rzekła z wahaniem:

— Nie mogę... nie wolno mi... daruj, ale... dałam uroczyste słowo...

— Jeżeli cię to krępuje — nie wymagam: jednak mnie to dziwi trochę...

— Przepraszam cię bardzo... bądź pewna, że mi to robi wielką przykrość, kiedy nie mogę tego powiedzieć, nie gniewaj się...

Składa przytem ręce błagalnie.

— Ale, skąd taka myśl? — ani odrobiny urazy nie chowam — nie możesz — trudno! — inna rzecz gdybyś nie chciała! — tajemnicę zachować należy, jeżeli do niej się zobowiązałaś!

— Tak... szepce nieco przygnębionym głosem Dziunia: — żałuję teraz, że dałam słowo... ale to poniewczasie, w każdym razie niech to nie wpłynie na naszą przyjaźń; proszę cię bardzo!

— Nie dlatego tak się o nią starałam w ostatnim czasie, aby z błahego powodu z tobą zrywać!

— Wierzę ci... ty jesteś ze wsi: masz stałe przekonania i nie zmieniasz ich... tak, jak ja zrobiłam...

Dzwonek przerywa te wynurzenia — dziewczęta biegną do klasy — ale Danusia ma w duszy jeszcze większy niepokój:

— Widocznie coś tu bardzo w nieporządku — szepnęła sobie, zajmując miejsce przy Geni — kiedy ona nie może mi powiedzieć... niestety nie mam dowodów, aby to była przeciwpaństwowa robota.. zresztą, czy obowiązana jestem ją śledzić? —

Powróciwszy do mieszkania. otwarła, jak zwykle swą teczkę i zaczęła wydobywać książki. Jedna z nich wyśliznęła się z ręki i padła na posadzkę, otwierając się przytem.

Dzieweczka schyla się skwapliwie, szepcąc przytem:

— Niech żyje zgrabność! — naprawdę, nie rozumiem, w jaki sposób mogła mi wypaść! — a szkoda!— może się oprawa zniszczyć zupełnie!

Podnosi książkę, ogląda pilnie...

Jakaś kartka tymczasem z niej się wysunęła i wypadła na ziemię...

Danusia znów się schyla — rzuca na nią zdziwionym okiem — boć przecie nic tu podobnego nie wkładała!

Nagle przejmuje ją zgroza...

Karta wypada jej z ręki...

— Boże... wszak to ulotka... jedna z takich, które mi dawała w swoim czasie Róża Sterlerówna...

Ogląda się z przestrachem wokoło.

Podnosi szybko kartkę, poczem szuka gorączkowo w innych książkach i kajetach...

Coraz większe obejmuje ją przerażenie, kiedy znalazła drugą i trzecią podobną ulotkę...

Włożone były starannie do podręczników i nawet trochę przyklejone do stronic... i to w tych miejscach, gdzie już materjał był dawno przerobiony...

— Tak... zrobiono to umyślnie, abym nie znalazła, a ten tylko, który będzie rewidował...

Cisną się teraz pytania:

— Kto mi to włożył? — co z tem zrobić? — zanieść wychowawczyni? — spalić?

Ten drugi sposób łatwiejszy — ale kto wie, czy się więcej takich ulotek nie znajdzie tak zręcznie ukrytych, że się nie dadzą łatwo znaleźć?

— Niebezpieczenie...

Więc odnieść p. Toskiej? — zaraz rozpocznie się gwałt na pensji! — śledztwo, podejrzenia... może nawet ucierpieć i Dziunia... może i Genia, bo bez tej ostatniej niepodobna byłoby włożyć ulotki do teki...

— Lepiej ubić sprawę cichaczem... i pilnować się bardzo, aby znów czego mi nie podłożono — nikt wówczas nie ucierpi...

Dziewczę decyduje się szybko.

Za chwilę z ulotek pozostał tylko popiół w piecyku, starannie zmieszany z poprzednim... a potem Danusia jeszcze raz przejrzała wszystkie książki i kajety i nic podejrzanego nie znalazła.

— Jak jednak się ustrzec na przyszłość? — zapytuje siebie w myśli — nie chcę, aby znów cokolwiek mi wpakowano!

Chwilę się zastanawia — poczem się uśmiecha:

— Nic łatwiejszego! — będę teczkę zamykała na klucz.. aby zaś one nie domyślały się, jaka tego przyczyna — opowiem, że mi ktoś narobił w niej nieporządku!

Tymczasem służąca poprosiła ją na obiad.

— Cóż taka jesteś zamyślona? — pyta wychowawczyni. —

Danusia spogląda na nią, jak złapana na złem uczynku.

— Może jej wszystko opowiedzieć? — przelatuje myśl nagła — ale nie! — byłoby to zdradzanie koleżanek!

Odpowiada więc wymijająco:

— Tyle mam kłopotów...

P. Toska się śmieje:

— Ach, te wasze kłopoty — gdybyś raz zaznała prawdziwego, wielkiego kłopotu, ludzi dorosłych, nie zwróciłabyś nawet uwagi na takie, jakie miewasz!

— O, gdyby ona nie była nauczycielką! — myśli sobie Danusia: — opowiedziałabym jej o swem zmartwieniu... w takim dobrym jest teraz humorze, wogóle jest teraz o wiele lepszą dla mnie od czasu owej kary, którą odbyłam...

Głośno zaś mówi z uśmiechem:

— Naturalnie... ale ludzie starsi mają więcej środków, aby im poradzić...

— Tak... być może — ale! — czy nie poznałaś niejakiej Róży Meltzówny, uczennicy z klasy szóstej?

— Meltzówny? — nie...

Umyślnie powtarza tylko nazwisko — bo przecież zna tylko Sterlerównę — lecz ją przejmuje lekki niepokój.

— A może wychowawczyni już wie o niej cokolwiek?

— Bardzo uczynna dzieweczka — ciągnie dalej p. Toska — pomaga z matematyki wielu naszym uczennicom nawet i z twojej klasy, naprzykład Geni Orzajskiej, Dziuni, Jasi Wrockiej — trzeba przyznać, że sama zna doskonale ten przedmiot! — a ty nie korzystasz z jej uprzejmości?

— Nie... zaprzecza dzieweczka z pewnym zdziwieniem: — na dostateczny zawsze potrafię zasłużyć...

— Ta Róża jest tu niedawno, a już potrafiła sobie zaskarbić łaski wielu swych koleżanek swoją dobrocią! — rozdaje śniadania, pomaga w lekcjach — naprawdę miła dziewczyna!

Danusia nie wie, co nato odpowiedzieć... ma pewne podstawy, do podejrzeń, że ona prowadzi przeciwpaństwową robotę.. tymczasem słyszy o Róży ta-

kie pochwały, bąka więc jakieś niezrozumiałe słowo, a tymczasem wychowawczyni dalej się unosi:

— Nic nie miałabym przeciw temu, abyś z nią się poznała: skorzystać możesz nieraz z jej uczynności, którą jedna serca koleżanek!

Dzieweczka dziwi się coraz bardziej...

Chciałaby zaprotestować... przychodzi jej bowiem na myśl dzisiejsza rozmowa z Dziunią...

— Nie chciała mi powiedzieć, o czem rozmawiała ze Sterlerówną! — a przecież z matematyki wcale się nie poprawiła... tylko zadania miewa doskonale odrobione... znam to! na poprzedniej pensji Róża wręczała mnie i innym dziewczynkom, zrzeszonym w klubie, gotowe już zadania z matematyki, świetnie odrobione — ale nigdy sama nie przerabiała... niektóre koleżanki twierdziły, że dostarcza jej ojciec, inne zaś, że pewien student z politechniki...

— Nawet i nauczycielstwo poznało się na jej dobroci — dodaje tymczasem p. Toska — prawdziwa bowiem zasługa, zawsze musi być oceniona — ale, co się dzieje z twoją Dziunią: tak źle odpowiadała dziś z przyrody! — a tymczasem już koniec roku! — skarżyła mi się również panna Krzewelska, że z francuskiego może mieć niedostateczną ocenę.. mało, widzę, przy tobie korzysta!

— Matka jej ciężko chora na oczy — mówi Danusia — ona zaś sama teraz mieszka u ciotki, która ją ciągle przynagla do roboty, niema więc czasu nawet lekcji przygotować...

— Przychodzi do ciebie? —

— Nie może... ciągle zajęta szyciem...

— Szkoda... mogłabyś zaprosić i Różę — skorzystałybyście wszystkie, wspólnie przygotowując się do lekcji: ty pomagałabyś z francuskiego, ona z matematyki...

— Ach, nie! — wyrywa się nagle z ust Danusi.
Nauczycielka spojrzała na nią zdziwiona.

— Chyba zazdrość przez ciebie przemawia — rzekła powoli: — lgniesz do koleżanek — bierzesz na siebie ich winy, a teraz, kiedy ci sama proponuję, tak się dziwnie wymawiasz...

— Och, powiedzieć jej wszystko — huczy w główce Danusi: — powiedzieć o tych obawach, o broszurce, ulotkach... ale czy uwierzy? — powie: zazdrość przemawia, a może i prawda? zresztą... wszak to wszystko jeszcze podejrzenia...

— Przepraszam panią... źle się wyraziłam — mówi głośno — ale... niech ona tymczasem pomoże innym — my... to jest ja i Terenia dajemy sobie dobrze radę z matematyką... Dziunia narazie nie przychodzi, bo jej ciotka nie pozwala...

Wychowawczyni patrzy na mówiącą uważnie:

— Coś kryjesz przedemną.. ale już się do tego przyzwyczaiłam — nie, to nie! — nie zmuszam wcale... dobrze jednak, żeś mię powiadomiła o chorobie matki Gołąbskiej — muszę uprzedzić p. Krzewelską...

Głos jej stał się jakiś suchy... twardy.

— Obraziła się... przemyka w umyśle dziewczki: — a może co podejrzewa? —

— Przepraszam raz jeszcze — jeżeli pani uważa, iż przy niej skorzystam — poproszę ją .. ale może to nie wypada? — może raczej pani będzie łaskawa sama się do niej zwróci?

— Masz rację — wypada, abym ja sama zaproponowała: — ale jeżeli sobie dajecie radę, odstąpię od tej propozycji.

Znów przemawia życzliwie, z czego Danusia jest żywo zadowolona — lecz obiad tymczasem się kończy i p. Toska wstaje.

Danusia również się zrywa z ukłonem, ale wychowawczyni tymczasem kładzie rękę na jej ramieniu.

— Jak to byłoby dobrze, gdybyś miała do mnie zaufanie.. mówi przytem łagodnie — nie mogę cię do tego doprowadzić...

— Pragnęłabym tego również... szepce dzieweczka — ale... nie wiem...

— Prawdopodobnie, że cię z początku traktowałam trochę surowo — nawet niedawno cię ukarałam... ale wierz mi, że pragnę naprawdę twego dobra, tak samo, jak Dziuni i Kazi i was wszystkich?

Danusia kłania się powtórnie spuściwszy oczy— a wychowawczyni kończy:

— Spodziewam się więc, że będziesz do mnie miała więcej zaufania — zastrzegam się jednak, że nie pragnę wcale, abyś mi zdradzała tajemnice koleżanek — lub doniosła o każdej z nich — ale zwierzaj mi się ze swoich trosk i kłopotów, — a może znajdę środki, aby je usunąć.

— Dobrze.. szepnęła dzieweczka — od dziś będę się o to starała...

Poczem z nowym ukłonem odchodzi do swego pokoju. —

— Żałuję teraz, żem zniszczyła owe ulotki — przelatuje jej myśl — teraz pokazałabym je... mogłabym nie wspominać o swych podejrzeniach.. tembardziej, że p. Toska nie uwierzyłaby wcale, gdybym przytem wspomniała o Róży...

Znów się dziwi, że jednak ta dziewczynka potrafiła tak bardzo wkraść się w zaufanie nauczycielstwa...

— Sprytna jest bardzo! — znam to nie od dzisiaj — szepce sobie Danusia — jak zręcznie umiała maskować nasz Klub tajemny! — jak potrafiła na nas wpływać — jak zniewalała do posłuszeństwa jej zamiarom i żądaniom!

Przypomina sobie jej wizytę u siebie:

— Umiała mię „wziąć!“ — nawet dałam jej słowo! — zwykle tak robi! — i w ten sposób złapała i Dziunię...

Przygotowuje się tymczasem do spaceru lecz ciągle wraca do swych myśli:

— Jutro należałoby jednak porozmawiać z Różą... jeżeli ona ma takie uznanie, nie wzbudzę więc podejrzenia: muszę jej zaproponować, aby przestała łapać Dziunię, aby zaprzestała agitacji...

Po namyśle jednak odrzuca ten plan:

— Ona mię wyśmieje! — powie, że mię nie zna i dziwi się, iż do niej występuję z pretensjami, które uważa za bezsensowne.. oburzy się na samo wspomnienie o agitacji... gotowa nawet zrobić awanturę — pamiętam, że na tamtej pensji tak się raz zdarzyło; potem ja będę winną — ona zaś zatryumfuje!

Na spacerze z p. Toską spotykają Różę, idącą pod rękę z Genią Orzajską. Sterlerówna dowodziła coś z wielkim zapałem — ale wczas spostrzegła nauczycielkę.

Urwała na jedną chwilkę, poczem znów zaczęła mówić jeszcze głośniej:

— Uważaj więc dobrze, iż Konstytucja Radomska „Nihil Novi“ wydana za Aleksandra, różni się od Statutów Nieszawskich Kazimierza Jagiellończyka...

Tymczasem obie dziewczynki zrównały się z p. Toską, która z uśmiechem zwróciła się do Róży:

— Zamordujesz mi tę biedną Genię swoją historją — nawet na ulicy nie dajesz jej spokoju.

Róża kłania się nadzwyczaj uprzejmie i mówi:

— Natychmiast przerwę to powtarzanie... jeżeli pani każe... ale ona tej kwestji dobrze nie rozumie...

— Ależ nic nie mam przeciw temu! — śmieje się wychowawczyni — proszę bardzo — tylko nie wiem, kiedy masz czas jeść i pić, ucząc ciągle innych!

— Mnie tak bardzo żal tych, co nie mogą sobie dać rady.. odpowiada Róża ze smutkiem — uważam to za obowiązek sumienia pomóc im trochę...

Głos jej brzmi takiem współczuciem, że Danusia, słucha go z niezwykłem zdumieniem.

— Miło mi stwierdzić u ciebie takie kochające serduszko — oświadcza p. Toska — ale nie przeszkadzam: idźmy już każda w swoją stronę...

Po kilkunastu krokach wychowawczyni zwraca się do swej uczennicy:

—Jeżeli jej nie znasz — to ci wystarczy te kilka słów, które od niej posłyszałaś teraz; dziwne naprawdę, jak ona ciągle o wszystkich się troszczy. —

Ale Danusia nie podziela jej zachwytu.

Widziała dobrze Różę wprzód, nim ona spostrzegła nauczycielkę. Zauważyła rozognioną jej twarz— pałające oczy — złożone charakterystycznie usta, a ten obrazek tak dobrze pamięta z dawniejszych czasów, kiedy Sterlerówna przemawiała na posiedzeniach Klubu...

I nagle, gdy jej wzrok padł na p. Toską, wyraz twarzy zmienił się momentalnie, oczy przybrały zwykły wygląd, usta się inaczej ułożyły — a tylko głos pozostał ten sam — gestykulacja stała się sztuczną...

Wówczas Danusia pomyślała: z lekkim uśmiechem:

— Mnie nie zwiedziesz! — znamy się dobrze!

Więc i po słowach p. Toskiej nie może zmienić zdania o Sterlerównie.

Nie podobna jednak milczeć!

— O tak... ona widocznie się troszczy.. mówi powoli tak, aby uniknąć kłamstwa.

— Trochę jej zazdrościsz — zaśmiała się wychowawczyni: — a tego rysu na twem charakterze dotychczas nie spostrzegłam...

— Ach, tyle człowiek posiada ułomności — potakuje jej żartobliwie Danusia: — naprawdę nawet zliczyć trudno!

— Twoja Ninka żadnych z pewnością nie posiada ani wad, ani złych skłonności! — żartuje p. Toska.

W głosie jej czuć dużą dozę niedowierzania.

— Ninka już tyle lat pracuje nad sobą... ja zaś zaledwie sześć miesięcy... marzę tylko o tem, aby do niej być podobną.. ale i ona często przyznaje się do popełnionych błędów...

Teraz na wychowawczynię przychodzi kolej zdziwienia.

— Więc ona tak postępuje? — myślałam, że zawsze się chwali swoją nadzwyczajną cnotą... w każdym razie i twoja Ninka nauczyłaby się wiele u Róży, jak kochać i dobrze czynić bliźnim.

Danusia nic jej nie odpowiada. Boli ją zestawienie ukochanej przyjaciółki ze Sterlerówną. Zna przecież tak dobrze i jedną i drugą.

— Gdzie tu porównanie Ninki, pełnej poświęcenia się, z Różą, która nie wahała się mię fałszywie oskarżyć przed przełożoną! — szepnęła do siebie.

Czuję jednak, że milczeć nie wypada.

Zwraca się więc żywo do p. Toskiej:

— Potrzebny mi jest zeszyt na jutro — pani pozwoli, że wejdziemy do sklepu naprzeciwko...

— Dobrze odpowiada jej nauczycielka, kierując się we wskazanem kierunku.

Jednak zachowanie się Danusi ją zastanawia. Dzieweczka nie umie się maskować — i jakkolwiek uprzejmie odpowiada, czuć można pewien chłód, jakby niechęć jej do Sterlerówny...

— Ona jest widocznie uprzedzona, a może tylko dlatego, że Róża przewyższa jej przyjaciółkę? — wprawdzie i tej ostatniej nic nie mam do zarzucenia, ale jej nie znam tak dobrze...

Więc po wyjściu ze sklepu zaczyna znów mówić w tonie lekkiego żartu:

— Słyszałam, że Dziunię spotkał zaszczyt: zaproszono ją wraz z tobą do podmiejskiej willi twoich znajomych — gdybyście poprosiły kiedykolwiek Różę, mogłabyś przekonać się, jaką jest ta dziewczynka — nieraz bowiem uprzedzamy się do kogoś zupełnie bezzasadnie.

Danusia uśmiecha się:

— Wątpię, aby kiedy to nastąpiło! —

— Ty chyba coś wiesz o Róży! — zawołała nagle p. Toska, tknięta nową myślą: — może zechcesz mi to zakomunikować?

Dzieweczka jest złapana.

Powiedzieć? — niepodobna...

Kłamać — nie chce!

— Nie stwierdzonych podejrzeń rzucać nie mogę... przyznaje się szczerze: — kiedy się przekonam, wówczas, kryć się nie będę...

— Nie wymagam — odrzekła jej p. Toska — i ja nie znam tak bardzo Róży: co widzę dobrego, muszę stwierdzić, — a jeżeli spostrzegę strony ujemne, będę musiała uznać.

Lecz oto kamienica, w której mieszkają. Rozmowa musi się przerwać ku zadowoleniu obu stron.

Wychowawczyni ma nad czem się zastanawiać.

Nie przypuszcza wcale, aby na charakterze Sterlerówny były jakieś ciemne plamy — ale zastanawia ją mocno zachowanie się i wyrażanie Danusi.

— Nie jest to zwykła niechęć do koleżanki — jakaś musi być głębsza przyczyna — zresztą może się mylę? — w każdym razie trudno mi wątpić w szczerość Skielskiej; naprawdę, trafiłam na jakąś zagadkę!

Danusia zaś jest z siebie mocno niezadowolona. Trochę za wiele się wygadała. Czuje również, że nie mogła inaczej postąpić...

— Ale prawo klasowe mnie potępiłoby...

Jednak od czasu otrzymanej kary za kłamstwo jest ono jej naprawdę niezmiernie wstrętne.

— Mogę czuć uzasadniony żal do p. Toskiej, że się obeszła ze mną, jak z małym dzieckiem — ale ma słuszność, utrzymując, że taka kara musi wpłynąć.

Była jednak w położeniu bez wyjścia...

— Jeżeli trafi mi się to powtórnie — zwrócę się do wychowawczyni z prośbą, że mi trudno dawać szczere odpowiedzi, jeżeli się zagniewa — nic nato nie poradzę; koniec roku szkolnego bliski, skończy się więc i ten kłopot...

X

WYZNANIE

Przeszło dni parę.

Danusia mimo postanowienia, teczki nie zamyka.

Zdradziłabym się... wolę być ostrożna!

Po każdym więc dzwonku po lekcji uważa pilnie, kto zostaje w klasie — w teczce zaś wszystko ma w nadzwyczajnym porządku, aby zaraz spostrzec, gdyby ktokolwiek do niej zajrzał... sprawdza najstaranniej książki i zeszyty, kiedy wróci do mieszkania...

Nie dostrzega jednak nic podejrzanego.

Baczna jest także na korytarzu.

Genia jednak rzadziej przestaje z Różą — natomiast Jaśka Wrocka często się do niej zbliża — jak również i Zenia Kojdecka. —

Pewnego razu otoczona niemi Róża spaceruje po

korytarzu w czasie wielkiej przerwy i głośno wyjaśnia reguły matematyczne.

Mijając Danusię, głos podnosi.

Sama również odwraca się w stronę przechodzącej obok dzieweczki, ale umyślnie na nią nie patrzy.

W ten sposób podchodzą do p. Toskiej, która dziś ma dyżur.

— Bardzo to ładnie z twej strony — mówi ta ostatnia — zrzekasz się paru chwil odpoczynku, aby dopomóc koleżankom.

— Ach, dla mnie to drobiazg, nad którym się wcale nie warto zastanawiać! — odpowiada zagadnięta.

Idą potem dalej wzdłuż korytarza, a tymczasem na twarzy Sterlerówny zjawia się uśmiech, pełen szyderstwa, który nie uchodzi uwagi Danusi.

Róża spostrzega to poniewczasie.

Twarz jej natychmiast przybiera zwykły wygląd — z ust zaczynają padać słowa, które mają wyjaśniać matematykę.

Są jednak bez związku!

Lecz Róża zawraca tymczasem na pięcie i znika zaraz w umywalni...

Wybiega stamtąd po chwili — ale bez książki, którą trzymała w ręku, chodząc po korytarzu...

Danusię ten szczegół mocno zastanawia gdyż nie był to żaden podręcznik, a widocznie jakaś powieść, czy opowiadanie...

Niedługo potem wychodzi z umywalni Genia z tą samą książką w ręku, przemyka się po korytarzu i wbiega do sali klasy piątej, tak aby jej wychowawczyni nie zauważyła.

— Muszę również udać się za nią! — pomyślała Danusia — trzeba się dowiedzieć, co będzie robiła...

Wzywa ją jednak do siebie wychowawczyni:

— Poproś do mnie z kancelarji nauczycielskiej mademoiselle Łucję — mówi do niej — zaznacz przytem, że jako dyżurna nie mogę się do niej pofatygować.

Danusia spełnia polecenie — ale oto już dzwonek na lekcję...

Właśnie jest francuski. —

Dzieweczka wbiega do klasy. Genia siedzi już na swojem miejscu i pilnie powtarza coś z podręcznika.

— Dziwne... myśli sobie Danusia — zeszłej lekcji była wyrywana — mimoto dziś jest tak gorliwą. Pod otwartą książką wyziera jednak inna... zdaje się ta właśnie, którą miała Róża...

— Czy będziesz dziś w domu o czwartej? — mówi śpiesznie Dziunia, zbliżając się do Danusi. —

— Naturalnie.. odpowiada zagadnięta.

Orzajska korzysta z tej chwili i szybko chowa książkę znajdującą się pod podręcznikiem.

Ale przytem wypada z niej kartka.

Na twarz Geni buchnął płomień rumieńca.

Danusia schyla się by go podnieść — ale Orzajska ją uprzedza gwałtownym ruchem i, zmiąwszy zadrukowany papier, chowa go ze złością do kieszeni.

Jednak Danka zapamiętała dobrze kilka słów odbitych mocniejszym drukiem...

— Poco interesujesz się cudzemi tajemnicami?— pyta Genia, głosem drgającym tajonem oburzeniem — lepiej pilnuj swego nosa!

— Chciałam być uprzejmą—tak nakazywał obowiązek grzeczności! —

— Nie wykręcaj się mokrem sianem! — syczy z wściekłością Genia — znam się na twojej grzeczności! — podpatrujesz cudze tajemnice, aby potem wydawać je wychowawczyni! — jesteś obrzydliwym szpiegiem!

Rumieńce biją na twarz Danusi.

— Daj dowody.. mówi z godnością, wstrzymując wybuch gniewu, jakkolwiek ma łzy w oczach.

Nie kończy jednak, gdyż tymczasem wchodzi do klasy nauczycielka.

— Zdradzasz się haniebnie! — myśli tymczasem Danusia: — widać masz nieczyste sumienie, kiedy cię tak to obeszło!

Zaczyna się lekcja.

Orzajska po chwili wstaje.

— Nie dobrze mi.. mówi przyciszonym głosem.

— Możesz wyjść do umywalni — Skielska cię przeprowadzi.

— Ach, nie:... dziękuję...

Poczem szybko wybiega z klasy.

— Tę książkę Róży jednak zabrała z sobą! — szepce Danusia — i tak sprytnie, że mademoiselle nie mogła zauważyć.. ach, gdybym tak mogła wyjść z klasy! — one zapewne się umówiły!

Drzwi w pośpiechu zamykane przez Orzajską odskakują i otwierają się powoli. Danusia się zrywa i zamyka je dokładnie. Jednak przez szparę spostrzegła Różę na korytarzu...

— Teraz wiem wszystko! — myśli Danusia — książka była pozorem... wewnątrz były...

Jednak zaraz siebie karci.

— Nie wolno podejrzewać, póki się nie przekonam! — nie wiem, jakiej treści była zadrukowana kartka...

Następna lekcja była geografja.

Danusia wstaje, kiedy p. Toska zapisuje lekcję do dziennika.

— Może pani pozwoli — mówi powoli i spokojnie, — abym siedziała przy jakiej innej koleżance...

Wychowawczyni kładzie pióro i pyta:

— A dlaczego? — pokłóciłyście się?

Na to zrywa się również i Genia:

— Proszę również o przeniesienie...

P. Toska uśmiecha się:

— Zadziwiająca jednomyślność! — w takim razie Danusia usiądzie obok Skielskiej, a Genia przy Orzajskiej...

Huragan śmiechu obejmuje klasę.

Gdy się trochę uciszyło nauczycielka znów głos zabiera:

— Właściwie powinnam poprzestać na tem zarządzeniu, ponieważ jednak Ala mię ciągle męczy, że nie może siedzieć blisko okna — pozwalam Danusi usiąść na jej miejscu obok Janki Wrockiej, Blatowska zaś pójdzie na jej miejsce.

— Skarżypyta!... skarżypyta.. szepce złośliwie Genia, kiedy jej koleżanka zabierała swoją teczkę — należało już przy całej klasie powiedzieć, że dowiedziałaś się parę słów prawdy odemnie! —

Danusia ucieka, aby jej nie odpowiedzieć, jak zasługuje, bo p. Toska patrzy...

Przed obiadem wedle zwyczaju dzieweczka robi staranną rewizję w swoich książkach.

Tak! — dziś znów znajduje się ulotka...

Przygląda się jej bacznie:

Są te same słowa, które odczytała na kartce u Geni...

— A więc to była ulotka!.. była zaś ona w książce Róży.. a wobec tego ta ostatnia niewiątpliwie zajmuje się karygodną agitacją...

Pomimo danego słowa... pomimo wyrażonego żalu...

Wszelkie wątpliwości muszą teraz ustąpić!

— Co jednak robić? — zapytuje siebie ze strachem — jak przeciwdziałać?

Łatwo sobie odpowiada, że niema żadnego sposobu...

— Więc pokazać ulotkę p. Toskiej? — a tem samem wydać koleżanki?

Nie dalej, jak dziś posłyszała hańbiące słowo: „szpieg!“

A co będzie, kiedy cała klasa się dowie?

Mało niezmiernie jest przychylnych dla Danusi — Genia zaś ma dużo sympatji koleżanek...

— Co robić?

Na pytanie niepodobna zupełnie znaleźć odpowiedzi..

Chyba znów zniszczyć i tę ulotkę?

I znów się narażać na prowokacyjne wkładanie ulotek do książek?

A może i na co gorszego?

Widocznie bowiem Róża chce ją zgubić z zemsty za Dziunię; zresztą, kto przeniknie jej zamiary?— ale te zamiary mogą być tylko złowrogie...

Teraz można w to wierzyć!

Należy więc się bronić!

Tymczasem wchodzi służąca:

— Obiad na stole!

Trzeba iść! — p. Toska nie lubi spóźnienia!

Szybko wydobywa ulotkę z książki, chowa do kieszeni i poprawiwszy włosy, wchodzi do jadalni.

Przy obiedzie bardzo jej trudno nadrabiać miną i prowadzić obojętną rozmowę.

— Na spacer pójdziesz z p. Albecką — oświadcza wreszcie nauczycielka, — jestem dziś bardzo zajętą.

Nie tylko jest zajętą, lecz ma swój kłopot, gdyż się dowiedziała o złem zachowaniu się pewnej swojej uczennicy, i dlatego nie zwraca uwagi na zmartwienie Danusi.

Dziewczka jednak jest z tego bardzo zadowolona. Już przy obiedzie męczarnią było podtrzymy-

wać obojętną rozmowę — a cóż dopiero pod czas dłuższego spaceru?

A tymczasem głowa jej ciągle pracowała nad rozwiązaniem dręczących pytań:

— Jak się bronić? — kogo się zaradzić? —

To ostatnie pytanie nasuwa jej myśl zbawienną:

— P. Felicja Izalska może mi dopomóc!

Zna ją tak dobrze z czasów podróży po Włoszech, ufać może jej dobroci i zacnemu sercu...

W czasie obiadu już powstawał zamiar, aby napisać do niej — a tymczasem dowiaduje się, że pójdzie na spacer z p. Albecką!

— Poproszę jej, abyśmy pojechali tramwajem do ulicy Piusa XI i wpadnę do p. Felicji.

Przeprowadzić ten plan nie stanowiło wcale trudności — w pół godziny potem Danusia dzwoniła już do mieszkania p. Izalskiej.

Niestety, zdziwiona nieco służąca zakomunikowała, że p. Felicja pojechała zrana do swej willi i nie wiadomo, kiedy powróci...

— A panienka Cesia? — pyta dalej dziewczę.

— Podobno pobiegła do panny hrabianki — wyszła zaraz po obiedzie.

Danusia ze zwieszoną głową wracała do domu, zastanawiając się nad swem położeniem.

Gdy wchodziła do bramy kamienicy, spotkała policjanta, który wychodził właśnie z wnętrza domu.

Serce jej zabiło trwożnie.

— Może w mieszkaniu jest rewizja? — od Róży można się wszystkiego spodziewać... jaki cel bowiem ma to wkładanie ulotek do moich książek? — zapewne, aby mnie oskarżyć przed władzami!...

Nogi jej zdawało się uginają, kiedy wchodziła na schody. —

Przypominały się jej straszne chwile, kiedy w mieszkaniu rodziców robiono rewizję, poszukując kompromitujących papierów...

Na szczęście wówczas wycofała się była dawno z Klubu i nic nie miała podejrzanego. Dziś jest gorzej...

— Mam przy sobie przeciwpaństwową ulotkę!...

Przy drzwiach blada ze strachu, zwraca się do p. Albeckiej:

— Może pani będzie łaskawa zajrzy do mieszkania.. i przekona się, czy przypadkiem niema tam... osób postronnych...

Zdziwiona mocno jej towarzyszka spełnia żądanie i po chwili wraca, mówiąc:

— Służąca oświadczyła, że niema nikogo.

W swoim pokoju Danusia decyduje się szybko:

— Idę do p. Toskiej. Oskarżać nikogo nie będę, a tylko pokażę ulotkę.

Wychowawczyni przyjmuje ją niezbyt chętnie:

— Na każdą sprawę musi być czas odpowiedni. Dlaczego nie załatwiłaś swego życzenia w czasie obiadowym i przerywasz mi w zajęciach?

— Znalazłam ten druk w mojej książce — zdaje mi się, że powinnam go pokazać natychmiast...

— Mówiłam ci, że jestem zajętą — nie zawracaj głowy błahostkami!

— Jestto jakaś przeciwpaństwowa ulotka...

— Nie może być! — zawołała p. Toska, zrywając się z krzesła: — daj mi, muszę się przekonać!

Zaznajamiając się z treścią ulotki, nauczycielka bladła i czerwieniła się naprzemian.

— Gdzie to znalazłaś?

— W podręczniku do języka francuskiego...

— Zapewne leżał ten papierek od czasu, kiedy

należałaś do swego tajemnego Klubu? — mówi ostro wychowawczyni.

— Tam miałyśmy inny podręcznik...

— Chyba więc kupiłaś go z tą ulotką?

— Nie... w tem miejscu miałam zadawaną lekcję... był zaś lekko przyklejony, aby nie wypadł od razu...

— Pokaż mi tę książkę!

Danusia spełnia polecenie.

— Tak... przyznaje p. Toska: — znać nawet trochę zdartego papieru, który tu na kartce pasuje... w jaki sposób dostał ci się do książki?

— Jest to dla mnie zagadką...

Wychowawczyni spojrzała jej prosto w oczy.

— Wiem, że coś kryjesz przedemną. Od pewnego czasu jesteś nieswoją. Znasz zapewne nazwisko sprawczyni!

Danusia się miesza.

— Pani mię zapewniła.. .że mogę jej wszystko powierzyć w zaufaniu.. więc powiem tylko w zaufaniu... prosząc, aby nie wyszła z tego żadna sprawa..

— Słucham...

— Ulotka pochodzi... od Róży...

— Na czem opierasz swoje przypuszczenie?

Dzieweczka jeszcze bardziej się miesza.

— Jeżelibym powiedziała wszystko — wplątała bym i Genię.. myśli tymczasem: — zresztą musiała bym powiedzieć, że Róża tu jest pod fałszywem nazwiskiem, a dałam słowo...

— Widzę, że tobą powoduje zazdrość! — dodaje p. Toska po chwili: — nie chcesz mi wyjawić całej prawdy i rzucasz tylko nieuzasadnione podejrzenia!

— Póki ją podejrzewałam, nie chciałam pani mówić.. dziś przekonałam się...

— Jakie masz dowody?

— Niech pani mi daruje.. ale nie mogę o nich mówić.. wszak ona jest koleżanką.. i inne...

— Tak... byłaś zawsze skrytą... ponieważ jednak nie chcesz mówić, muszę cię uważać za wspólniczkę! — Idź teraz do swego pokoju i nie wydalaj się nigdzie.

Wyrzekłszy te słowa, odwróciła się do biurka, dając do zrozumienia, że rozmowa jest skończona.

Dzieweczka wybiegła ze łzami w oczach.

— Przynajmniej tyle zyskałam — pocieszała siębie — że niema już ulotki — że nie jestem za nią osobiście odpowiedzialna...

Po chwili posłyszała w przedpokoju głos wychowawczyni:

— Wyjdę na godzinkę — jeżeli kto będzie miał do mnie interes, niech poczeka.

— W każdym razie muszę lekcje przygotować... szepnęła dzieweczka — blisko koniec roku... nie wolno się zaniedbywać!

Niebawem ozwał się dzwonek i do pokoju Danusi weszła p. Felicja.

Z okrzykiem radości dzieweczka rzuciła się jej na szyję.

— Jaka pani dobra! — szepnęła ze łzami -- jak się cieszę!

— Byłaś u mnie — sądzę więc, że coś musiało zajść bardzo ważnego?

— Tak! — nadzwyczaj ważne wypadki...

— Nie traćmy więc czasu — słucham!

Danusia pokrótce opowiada wszystko — nic nie ukrywa — bo przecież p. Izalska ma złote serce, a przytem nie jest nauczycielką, przed którą nie można zdradzać koleżanek...

— Tak.. sprawa nadzwyczaj poważna — oświadcza wreszcie p. Felicja: — musimy chyba zaraz się udać do przełożonej twego zakładu.

— Jakto? — pyta zdumiona dzieweczka.

— Czy masz adres jej mieszkania?

— Zamieszkuje w gmachu gimnazjum...

— Jedziemy tam natychmiast!

— Czyż mogę zdradzać koleżanki? — wybucha dzieweczę.

— A gdyby tak Róża chciała zamordować twoją matkę na współkę z Genią — czy nie zawiadomiłabyś wówczas policji?

Danusia patrzy przez chwilę zdumiona, wreszcie mówi:

— Ależ... bez wątpienia!

— Polska jest naszą matką. Czy się zgodzisz, aby w jej serce wbijano miecz?

— Nie! — odpowiada z mocą Danusia.

— Zbrodni tolerować i ukrywać nie wolno. Tu niema mowy o zdradzie koleżanek, jeżeli one zdradzają Ojczyznę. Czy to rozumiesz?

— Tak!

— Czy powiesz wszystko przełożonej bez względu na następstwa? — czy chcesz ratować Ojczyznę?

— Niech pani nie pyta. — Jedziemy. Był czas że mało nie zdradziłam Polski — ale bezwiednie... teraz przyszedł czas ratować ją. Jestem gotowa! — Niech mnie szykanują — niech odtrącą!

Wypowiedziawszy te słowa prawie jednym tchem, otworzyła drzwi do przedpokoju, dając przejście p. Felicji.

Służąca jednak próbowała oponować.

— Pani wyraźnie zabroniła panience wychodzić gdziekolwiek.

— Nie twoje rzecz! — rzekła jej ostro p. Izalska.

Po chwili samochód szybko się toczył ku gmachowi pensji — Danusia zaś z bijącem mocno sercem wyglądała przez okno.

Na rogu jednej z ulic dojrzała Różę w towarzystwie.. Jaśki Wrockiej, pod pachą trzymała tę samą książkę, którą miała ona, a potem Genia w gimnazjum...

XIV

ZDECYDOWANA

P. Toska, otrzymawszy ulotkę od Danusi, przeraziła się nie na żarty. Udanym gniewem na dzieweczkę dodawała sobie odwagi.

Opowiadaniu jej nie wierzyła, ani trochę. Róża umiała tak zręcznie się maskować udaną dobrocią i pozorami pomocy koleżankom, że mogła być śmiało uważaną za wolną od wszelkich podejrzeń.

Po wyjściu Danusi z pokoju postanowiła udać się do przełożonej.

P. Płochocka, poznajomiwszy się z treścią ulotki, oraz dowiedziawszy się szczegółów rozmowy z Danusią, również zaniepokoiła się poważnie.

Zwraca się więc żywo do nauczycielki:

— Więc pani uważa, iż Skielska posiadała tę ulotkę z dawniejszych czasów?

— Tak przypuszczam. Jej wierzyć trudno. Złapałam ją niejednokrotnie na poważniejszym kłamstwie. Zrobiła to przez zazdrość.

— Istotnie nie łatwo sobie wyobrazić, w jaki sposób Meltzówna mogła włożyć tę kartę do jej książki?... Pani dziś była dyżurną — czy nie widziała przypadkiem, aby Róża wchodziła do sali klasy piątej?

— Tego się nie zdarzyło. Miałam ją na oku. W czasie większej przerwy spacerowała z dziewczętami z klasy piątej, wyjaśniając im algebrę.

— Istotnie... podejrzenie, rzucone przez Skielską, jest tak fantastyczne, że tylko może być wytłumaczone przez zazdrość.

— Z którą ona parę razy się zdradziła.

— Tak? — ciekawe! — nie przypuszczałam.

— Mam dowody. Skielska lubi uchodzić za osobę dobroczynną. Rozdaje swoje śniadania, pożycza pieniądze, dopomaga koleżankom w łekcjach. Tymczasem zjawia się inna pensjonarka, która ją zaćmiewa. Upokarza to naturalnie dziewczynkę. Zauważyłam u niej wzrastającą niechęć do Meltzówny, której przecież nie zna; rzuca więc oskarżenie, aby ją unicestwić.

— Jeżeli to się sprawdzi, należałoby ją przykładnie ukarać.

— O tem myślałam. Zresztą najważniejszym dowodem kłamstwa ze strony Skielskiej jest ta okoliczność: dla jakiej racji Meltzówna wkładałaby jej ulotkę do książki? — wszak jej wcale nie zna! — mścić się niema powodu! — tu zachodzi tylko jedno wytłumaczenie tego faktu: Skielska pokazała dawniejszą ulotkę, lub w dalszym ciągu należy do pewnej tajnej organizacji, i stamtąd otrzymuje nielegalną bibułę.

— Tak! — rozumiem! — więc, aby się lepiej zamaskować, rzuca podejrzenie na inną! znamy to! — jestto zrobione przezornie, gdyby bowiem się kiedykolwiek złapała, może łatwo winę złożyć na koleżankę!

— W ten sposób i ja rozumuję!

— Dziękuję więc pani za wiadomości. Niech pani starannie uważa na Skielską. Narazie puścimy tę sprawę płazem. Pani ją tylko trochę wykrzyczy.

O ile stwierdzimy powtórnie dowody winy — usuniemy ją z zakładu.

Nauczycielka pożegnała się i wyszła.

Ponieważ miała interes w mieście udała się inną ulicą, wobec czego nie spotkała ani Róży z Jaśką, ani też Danusi.

Przełożona przyjęła tę ostatnią z wielkim chłodem.

— Nie mamy tego zwyczaju, aby pensjonarki zjawiały się w prywatnem mieszkaniu — rzekła z wymówką — i może na przyszłość o tem zechcesz zapamiętać.

— To jest moja wina — jeżeli tak można się wyrazić — wtrąciła p. Izalska: — Danusia ma złożyć niezmiernie ważne zeznanie, i dlatego ją wzięłam.

— Nadaremnie się fatygowała — wiem o wszystkiem.

— Czy i również i o tem, że Róża Meltzówna uczęszcza na pensję pod fałszywem nazwiskiem? — zapytała p. Izalska cokolwiek urażona zimnym tonem przełożonej.

— Sterlerówna — Danusia ją zna dobrze z pensji poprzedniej: — zna nawet jej rodziców!

— Dlaczego więc z tem się taiła?

— Na pensji tak! — ja jednak wiedziałam jej prawdziwe nazwisko, ale w zaufaniu.

— Nie rozumiem, co znaczy ta mistyfikacja?

— Pani pozwoli, że Danusia wszystko opowie zupełnie szczerze. —

— Słucham — rzekła p. Płochocka, zwracając się do dziewczęcia.

— Róża Sterlerówna na poprzedniej pensji była duszą tajnego Klubu, do którego i mnie zwerbowała. Kierowali nią rodzice, należący do pewnego zakonspirowanego związku przeciwpaństwowego. Kiedy się sprawa cała wydała i zawieszono nas w prawach uczę-

szczania do zakładów naukowych — ją jedną tylko Ministerjum wyłączyło w przywróceniu tych praw.

— Dlaczego? — zapytała przełożona.

— Bo miała bezpośredni kontakt z organizacją, działającą na szkodę naszej Ojczyzny — i była świadomą wszystkich jej celów, czego my nie znałyśmy...

— Cóż dalej? — rzuciła krótko p. Płochocka.

— Kiedy więc Róża zjawiła się u nas na pensji, wówczas na drugi dzień przyszła sekretnie do mnie; zaczęła płakać i prosić, abym jej nie wydawała, gdyż się chce zupełnie poprawić — i tylko się uczyć, a nie agitować... musiałam jej dać słowo...

— Którego teraz nie dotrzymujesz. —

— Tak, lecz mi nie wolno milczeć! — już sprawa z Dziunią dała mi wiele do myślenia...

Dzieweczka po chwilowem milczeniu opowiada znane już fakty — co potwierdza p. Felicja — poczem przechodzi do dzisiejszych wypadków.

P. Płochocka, która z początku z największą nieufnością traktowała dzieweczkę —zaczęła słuchać coraz uważniej — w końcu jęła zapisywać ważniejsze fakty w notesie.

— Wnioskuję więc z tego, że Orzajska, a nawet Wrocka i Kojdecka są pod wpływem Sterlerówny- — zapytała wreszcie.

— Nie chcę nikogo okarżać — wyjaśnia dziewczę — opowiadam tylko tak, jak było.

Przełożona pomyślała chwilę, poczem oświadczyła:

— Musisz to wszystko zachować w najgłębszej tajemnicy. Gdyby cokolwiek ważniejszego się stało— przyjdziesz natychmiast do mnie i wszystko wyjawisz. Nawet po południu możesz wpaść do mnie. P. Toską uprzedzę, aby ci nie robiła przeszkód. Sama zajmę się tą sprawą.

Danusia wracała do mieszkania podniecona i rozgorączkowana.

— Bardzo panią proszę — mówiła niespokojnie p. Felicji — niech pani zostanie do przyjścia wychowawczyni: ona bowiem może mię ukarać, że się wydaliłam z mieszkania w czasie jej nieobecności...

— Dobrze — nie zależy mi na czasie.

Lecz pani Toska już się znajdowała u siebie, bardzo zagniewana na swą uczennicę.

W pewnej chwili przyniesiono jej z poczty bilecik, w którym widocznie zmienionym charakterem wypisane były tylko te słowa:

„Proszę przeszukać dobrze podręczniki Skielskiej — są tam rzeczy straszne!“

U dołu było dodane: „życzliwa pani uczennica z klasy piątej“.

— Hm... anonim — mruknęła nauczycielka: — warto wrzucić do kosza... mimoto zrobię, co mi radzi.

Udała się więc zaraz do pokoju Danusi i przeszukała starannie wszystkie książki. Znalazła tam i drugą ulotkę zupełnie taką samą, jaką otrzymała od dzieweczki, a więcej nic podejrzanego nie mogła wykryć.

Tymczasem przyjechała Danusia wraz z p. Felicją i ta ostatnia zaraz wyjaśniła wychowawczyni:

— Pani daruje, że nie czekałam na nią i pojechałam do przełożonej, zabierając ze sobą Danusię, gdzie ona przyznała się najszczerzej do wszystkiego. P. Płochocka nakazała w dalszym ciągu zachować to w tajemnicy.

— Żałuję mocno, że jednak mnie nie chciała się przyznać — rzekła z ironją w głosie p. Toska.

— Nie chciała wydawać koleżanek. Ale przekonałam ją, że w podobnych wypadkach nie wolno milczeć!

— Teraz więc chyba i mnie wszystko opowie?

— P. Płochocka poleciła jej zatrzymać to w tajemnicy. Z panią się porozumie. Oświadczyła przytem, że się sama zajmie tą sprawą.

Poczem pożegnała nauczycielkę i odjechała.

P. Toska zaś, zaleciwszy Danusi, aby zajęła się przygotowaniem lekcji na jutro, udała się powtórnie do przełożonej.

— Musimy dobrze tę sprawę zbadać — rzekła ta ostatnia — zeznania Skielskiej są bardzo ważne. Przed chwilą byłam w gabinecie pensji, gdzie przekonałam się, iż mamy okólnik kuratorjum, w którym ono nakazuje nie przyjmować niejakiej Sterlerówny w poczet uczennic — a z wyjaśnień Danusi okazuje się, że Meltzówna jest nią właśnie i występuje pod fałszywem nazwiskiem. Musimy zbadać starannie jej dokumenty — zapytać zakład naukowy, gdzie je wydano.

— Mnie się wydaje, że Skielska nie zasługuje na wiarę.

— Wszystko jest możliwe, — trudno jednak przejść nad tem do porządku dziennego. Wszystkim nauczycielkom zalecę, aby zwracały baczną uwagę na obie.

— Musimy zdobyć dowody i to oczywiste. Dotychczas takich przeciw Róży Meltzównie nie posiadamy.

— Wobec tego należy zachować do czasu tajemnicę. Skielskiej o nic nie pytać. Umieścić ją w klasie obok takiej uczennicy, która nie przestaje z Meltzówną. Nie może więc siedzieć ani z Orzajską, ani z Kojdecką, ani też z Wrocką.

— A z jej przyjaciółką Dolecką?

— Również nie powinna siedzieć.

P. Toska, wysłuchawszy jeszcze kilku zarządzeń ogólnej natury — pożegnała przełożoną.

W czasie kolacji wydała Danusi rozporządzenie:

— Wracając z pensji będziesz odnosiła teczkę odrazu do mego pokoju, nie otwierając jej u siebie. Natychmiast skontrolujemy całą jej zawartość.

W czasie jedzenia odzywała się bardzo mało, jadła prędko, i jak tylko ukończyła, natychmiast wstała i wyszła.

Przeczytawszy powtórnie anonimowy bilecik, szepnęła:

— Jednak on przemawia za Skielską. Widocznie kartki w jej książkach są prowokacją. Trudno bowiem przypuszczać, że ona włożyła kartki, idąc na pensję, jeżeli miała oskarżyć Różę... zresztą kto wie?— może była tyle naiwna? — a Wrocka lub Orzajska, spostrzegłszy ulotkę, zaraz zawiadomiły mnie o tem.

Poprawianie zeszytów dziś nie idzie, bo ciągle wraca myśl do całej sprawy.

— Zaiste trudny to orzech do zgryzienia! — trzeba będzie staranną zwracać uwagę na wszystkie dziewczynki.. licho nie śpi!...

A Danusi jeszcze trudniej było zająć się pracą. Myśl, że oskarżyła swe koleżanki, nie dawała jej spokoju.

— W każdym razie prawo klasowe...

— Ojczyzny zdradzać nie wolno! — odpowiadał jej zimny nieubłagany rozum: — niech się dzieje, co chce!

Lecz właśnie teraz dopiero uprzytomniła sobie swe położenie...

Oburzenie klasy..

Pogarda i szyderstwa...

Zupełne odosobnienie...

— Wprawdzie koniec roku bliski — i pożegnam je zupełnie... ale ciężko będzie wytrzymać...

— Szpieg! — skarżypyta! — huczą w jej uszach słowa, ironicznie wymawiane przez Genię...

Na to wspomnienie rumieniec okrywa lica.

— Ale Orzajska mówiła te słowa, wówczas kiedy nie mogła znaleźć dowodów winy: a teraz nie będzie można zaprzeczyć... a co powie jutro? — a co powie cała klasa?

Uczyć się niepodobna...

— Muszę się trochę uspokoić — szepce do siebie — przeczytam trochę z „Potopu“ Sienkiewicza...

Już książka w jej rękach.

Otwiera ją na chybił trafił i zaczyna czytać opis bitwy pod Wołmontowiczami...

Pysznie odtworzony obraz bitwy, jakby malowany przez wielkiego pisarza - patrjotę chwyta ją za serce...

Jednem tchem zda się pochłania wiersze — drży z radości, kiedy wataha Sakowicza zostaje zaatakowana przez wojska Kmicica — cieszy się szczęściem uratowanych od napadu...

A potem w duchu robi przegląd oddziału pana Andrzeja, rośnie w dumę wraz z nim na widok wyćwiczonych, a dzielnych wojaków...

Wreszcie oto scena pod krzyżem.

Zawsze serdeczenie żałowała Kmicica, że już, już miał ujrzeć narzeczoną — miał zażyć zasłużonego odpoczynku i szczęścia, a tymczasem w ostatniej chwili został powołany rozkazem w inne strony.

Teraz jednak uderza ją niezmiernie jego walka z sobą samym...

Opóźnić spełnienie rozkazu tylko na dwa tygodnie... Ojczyzna nie zginie za ten czas krótki!...

„Małom się natłukł, nakołatał... nocy bezsennych na kulbace spędził, krwi swojej nie żałował“...

Tak... miał rację ten rycerz, który z takiem poświęceniem walczył dla Ojczyzny...

Ale oto sumienie — głos obowiązku woła, „jakby głos niezmierny z całego nieba płynący...“

„Ginie matka... nowe miecze jej pierś przeszywają, a ty się od niej odwracasz... za własnem szczęściem gonisz...“

Danusia ze łzami odkłada książkę.

— Krwią, ranami tych bohaterów Polska uratowała swoje istnienie, a teraz tak samo wstała z niewoli, wywalczona krwią... śmiercią tych, co z gołemi rękami szli na działa i bagnety w owe szare dnie listopadowe...

Jakże przemawiają takie pamiątki!

Ulica Franciszka Ratajczaka w Poznaniu...

A był to szary nic zda się nie znaczący żołnierz... zabity właśnie na tem miejscu, jako pierwsza ofiara za Ojczyznę...

Ulica Księdza Skorupki, który wraz z dzieciakami idzie uzbrojony tylko w krzyż naprzeciw straszliwego ognia kul.. oddaje swą żywą krew... a ona staje się potężnym bodźcem dla jego chłopaków: idą i zwyciężają, a ilu to ich swoją krew zmięszało z krwią kapłana - bohatera...

— A ja się będę obawiała ponieść trochę przykrości dla Ojczyzny? — szepce z mocą — ja, córka tego, który również walczył za Ojczyznę- — precz ze łzami! — precz z babskim strachem!

„Potop“ wędruje na swoje zaszczytne miejsce w etażerce, Danusia natomiast otwiera ową suchą geografję, której nie podobna jej było się nauczyć.

— Co mnie obchodzi Genia, lub Róża, ich niemądre sądy lub szyderstwa — myśli tymczasem — co znaczą: pogarda klasy — zarzut niekoleżeństwa? — zaniosę to na ofiarę Ojczyźnie: szczęśliwa, że widzę ją wolną — to jeszcze nie krew, co przelewali nasi bracia, ojcowie i dziadowie!

Wstaje przytem i szepce słowa pozdrowienia Matce Najświętszej, które Anioł przyniósł z nieba i bierze się do roboty...

Nazajutrz, w poczuciu spełnionego obowiązku, śmiało wchodziła w progi pensji.

Zdziwiła się jednak.

Dziewczynki na korytarzu i w klasie witały ją obojętnie, jak codzień, zajęte swemi banalnemi rozmowami na temat strojów, rozrywek i chłopców...

Również się zdziwiła, gdy jej wychowawczyni nakazała usiąść obok Ali Blatowskiej...

— Nikt tak nie podróżuje po klasie — śmiała się Lonia Grzebiecka — Danka ma osobliwe szczęście!

— Ja trzeci rok siedzę z Kazią — darła się Kasia Krzypczykówna.

— Ach, ona nie tylko zmienia miejsca w klasie, ale i pensje — śmieje się ironicznie Wiśka.

— Czy i chłopców? — pyta Kazia.

— A tak! — musi przecież być konsekwentną krzyczy Wiśka — zapewne Jar jest już wolny! — możesz go znów złapać!

— Dziękuję uniżenie! — mówi z szyderczym ukłonem zagadnięta — mam coś lepszego: wiecie, piękny Apollo, zgrabny jak panienka, miły...

— Jak lukrecja! — podchwytuje Ala.

— Cudowny jak meduza! — dodaje inna.

— Co wy wiecie! — złości się Kazia.

— Nic na świecie! — tylko śmiecie! — myśli krecie! — trzepie Lonia, która ma pretensje do rymów.

— Już się zaczyna — woła Kazia — panie rymarzu! — moja ciocia ma taką przedpotopową kanapkę, w której wszystkie sprężyny postawały dęba!— żaden rzemieślnik nie podejmuje się reparować tego grata — ale z twoimi zdolnościami możesz śmiało brać się do tego dzieła!

Tymczasem Lonia wydobywa jakiś papier i czyta:

— A zato:

Twoje zdolności
Jakby psu kości
W gardzieli
Stają bez końca
Od wschodu słońca
Do zmroku
Zginąć od tego
Możemy złego
Uroku...
Kiedyż przyleci
Dla biednych dzieci
To lato?
Które od Kazi
Nas jak od mazi
Oddzieli...

Lonia deklamuje ten wiersz z patosem i nadzwyczajną gestykulacją — gdy zaś skończyła, posypały się zewsząd oklaski, śmiech zaś przez dłuższy czas nie dawał możności na jakiekolwiek uwagi. Wreszcie Kazia zapytuje z ironją:

— Ile miesięcy poświęciłaś, aby złożyć te nieudolne wierszydła?

— Mam zwyczaj pisywać jeden wiersz na rok odcina się Lonia — ponieważ jednak masz niedostateczny z matematyki, nie sądzę, abyś była zdolna to obliczyć...

Ale tymczasem wchodzi do klasy nauczycielka. Hałas milknie w jednej chwili.

— Jak załatwiona została sprawa ulotki? — dziwi się Danusia — wszystko idzie zupełnie normalnie: a może zaledwie Róża została wezwana do gabinetu przełożonej, i dopiero na następną pauzę dowiedzą się wszystkie o tym wypadku?

Róża jednak na następne przerwy spacerowała, jak zwykle, z dwoma lub trzema koleżankami ze swej i innej klasy, udając, że im wyjaśnia matematykę...

Jeden tylko szczegół wpadł w oczy Danusi: na każdym korytarzu znajdowały się po dwie dyżurne nauczycielki, baczne na każdy ruch pensjonarek.

— Ach, teraz rozumiem! — szepnęła do siebie dzieweczka: — przełożona chce mieć jeszcze inne dowody winy Róży... dobrze! nie będę narażona na podejrzenia, że zawiadomiłam o ulotkach!

Radość jej jednak nie długo trwała.

Na wielką przerwę podbiegła do niej Genia w towarzystkie Jaśki Wrockiej.

— Wytłumacz mi, jakie znaczenie miała twoja wizyta wczoraj u pani przełożonej?

— Moja opiekunka w Warszawie, P. Izalska, życzyła sobie, abym z nią pojechała.

— To jest bardzo ciekawe! — nasza przełożona nigdy nie przyjmuje swych uczennic w prywatnem mieszkaniu! — są nato wyznaczone godziny po lekcjach!

— Wiem o tem, lecz nie byłam sama.

— Nie zmienia to postaci rzeczy. Cóżeś tak długo tam robiła?

— Zapytaj p. Izalskiej.

— Wszystko to wygląda bardzo podejrzane!

— Ach, więc robicie ploteczki na ten temat — zaśmiała się Danusia: — jaka szkoda, że nie macie innego zajęcia.

Przytem odwróciła się od nich i pobiegła do Dziuni.

W drodze zaś przyszło jej na myśl, że tak samo ją szpiegowano, kiedy na poprzedniej pensji bywała u przełożonej, wstawiając się za koleżankami...

— Wówczas także podejrzewano mię, że zdradzam Klub tajemny... więc i teraz prawdopodobnie Róża postanowiła mię śledzić... i robi to przez oddane jej dziewczynki.

Dziunia zaraz ją poprosiła o przetłumaczenie pewnego zdania francuskiego, któremu nie mogła dać rady — ale Danusia nie mogła zapomnieć zainteresowania się Orzajskiej jej wczorajszą wizytą.

— I przybiegła do mnie w towarzystwie Jaśki! — to znamienne! — chciała mieć świadka! — sądziła, że się wygadam!

Wczasie lekcji następnej dzieweczka otrzymała liścik.

Umieściła go, nie czytając, w podręczniku i dopiero na przerwę zaznajomiła się z jego treścią.

„Czy cię obowiązuje dane uroczyście słowo?"

Widoczne było, że pisała to Genia — można było poznać z charakteru pisma — ale Danusia zrozumiała dobrze, iż był on przepisany...

— Dała go Róża!... ach, mniejsza z tem!

Orzajska zaś uwijała się wśród koleżanek, coś im tłumaczyła z niezmierną gestykulacją, one zaś podejrzliwie spoglądały na Danusię.

Wreszcie podbiegła do niej Terenia.

— Ta Genia jest niemożliwa! — szeptała śpiesznie — opowiada naszym dzieweczkom, że wczoraj byłaś u przełożonej, gdzie z pewnością opowiadałaś o naszem zachowaniu! — twierdziła, że musisz mieć nadzwyczajne fory, kiedy tak długo bawiłaś — wskutek czego należy ciebie się strzec.

— Zaczyna się! — pomyślała Danusia — ale „nic to!", jak mówił pan Wołodyjowski swojej Basi... wszystko w ofierze dla Ojczyzny! — milczeć nie miałam prawa!

— Posłyszałam to przypadkiem — ciągnie dalej Terenia — ona bowiem nie zwróciła uwagi, że przed nią idę... zaledwie w końcu korytarza spostrzegła omyłkę.

— Ach, one będą i ciebie namawiać, abyś ze mną zerwała!

— To się nie uda! — zapewniła gorąco Dolecka — tyś dla mnie tyle zrobiła dobrego! — jeżelibyś nawet opowiedziała cokolwiek przełożonej, to wpływałoby tylko ze szlachetnych pobudek! — jestem tego pewna!

— Dziękuję ci za zaufanie... przekonywam się, że jesteś szczerą przyjaciółką!

Terenia uścisnęła jej dłoń serdecznie.

— Jestem i będę!

Dzwonek tymczasem wzywa do klasy...

Danusia rychło spostrzega, że jej koleżanki unikają — nawet i Dziunia spojrzała pewnego razu z żalem; była jednak życzliwą, jak zwykle.

Szepnęła tylko, kiedy już się rozchodziły po lekcjach:

— Ufam ci, że o mnie nic złego nie powiesz...

— I nie zawiedziesz się! — zapewniała ją Danusia gorąco.

XV

PRZYKROŚCI

Minęło dni parę.

Dziwczynki trochę się boczyły na Danusię, ale ona zajęta bardzo nauką, mało nato zwracała uwagi. Mało ją również obchodziło, że po dwie nauczycielki dyżurowały teraz na korytarzach, które zdawały się tylko pilnować porządku.

Nieprzyjemne były jednak liściki, których czasem otrzymywała po kilka na dzień — zawierały one bowiem uszczypliwe uwagi na temat zdradzania koleżanek...

— „Warto cię za język powiesić w środku klasy" — czytała pewnego razu.

— „Jesteś podła, a najpodlejszy jest twój jęzor stokilometrowy!“ — dowiedziała się z innej kartki.

— „Jesteś patentowanym lizusem!“

— „Kiedy będę musiała zamiatać schody, pożyczysz mi swego ozora!“

Były często nawet i niecenzuralne wyzwiska...

Niektóre zaś poruszały inny temat:

— „Kiedy masz następną randkę z Jarem?

— „Czy jeszcze Jar jest w twoich sieciach? — odpisz mi, kiedy cię rzuci!“

Nieraz Danusia, odczytując te kartki, miała palące łzy pod powiekami, które usiłowała powstrzymać — nieraz gorycz zalała serce...

Ale się zmagała i nie pokazywała na zewnątrz, co się z nią dzieje.

Spostrzegła to jednak Terenia.

— Bo i poco czytać takie gryzmoły? — rzekła ze współczuciem — pewnego razu, jeszcze przed Bożem Narodzeniem, zawzięły się koleżanki na mnie w podobny sposób, — zaczęłam drzeć natychmiast każdy list bez czytania i to je uspokoiło!

— Dziękuję ci! — rzekła Danusia — poprobuję w ten sposób postępować.

Zaraz na następnej lekcji zastosowała radę przyjaciółki: na oczach kilku koleżanek, ukryta dobrze za plecami innych dziewcząt, podarła na drobne kawałeczki jeden liścik — a potem drugi nie odwijając ich wcale.

— I naprawdę to jest dobre! — pomyślała przytem — poco mam się denerwować?

Sposób ten okazał się skuteczny, gdyż jeszcze potem jedną tylko kartkę otrzymała, która uległa takiemuż losowi, jak poprzednie — co do reszty zniechęciło autorki do układania nowych.

Wyładowały więc złość w inny sposób.

W czasie przerwy „porządkowa“, która musiała pozostawać w klasie, umalowała jej pulpit atramentem.

Danusia nie spostrzegła tego zaraz i fatalnie zbrukała sobie ręce — a nawet dostało się fartuszkowi.

Wiśka, która właśnie spłatała tego figla uśmiechała się triumfująco — Danusia zaś musiała milczeć, gdyż w tej chwili wszedł matematyk...

— Byle tylko mnie nie wyrwał... przemknęło jej przez myśl.

— Skielska! — zabrzmiał jednocześnie głos nauczyciela.

Nie było rady — należało iść.

— Może mię teraz oskarżysz! — syczała tymczasem Wiśka, blisko której wypadało przechodzić — no, dalej! — pozwól sobie jeszcze raz! — nie wiele już ci zaszkodzi!

— Dziwię się, że Roziemska już podpowiada koleżance, kiedy nawet nie wie, jakie będzie zapytanie? — ozwał się ironicznie nauczyciel, który nie dosłyszał słów Wiśki.

Jakkolwiek Danusia manewrowała przy tablicy bardzo umiejętnie, aby matematyk nie dojrzał plam na rękach — nie udało się jej tego ukryć.

— Zdawało mi się, że jestem w piątej klasie — rzekł wreszcie — a tymczasem okazuje się, iż trafiłem chyba do podwstępnej, gdzie sport malowania sobie rąk atramentem kwitnie nadzwyczajnie! — i to jeszcze u tak pilnej i starannej zazwyczaj uczennicy!

Danusia spłonęła.

— Przepraszam... nie miałam czasu umyć...

— Ależ nie gniewam się! — i daję nato czas nie dłużej, niż dziesięć minut. Dokończy to zadanie Blatowska.

Dzieweczka z ukłonem opuściła klasę, dążąc do umywalni — a tymczasem Ala znalazła się na jej miejscu.

Nie spodziewała się wcale, że jej ręce też się spokrewniły z atramentem... i właśnie wspaniałą plamę zaraz przedstawiła nauczycielowi, który teraz naprawdę zaczął się śmiać:

— A to się ubrały! — czy może jadłyście dziś na przerwę zupę atramentową? — a może tam waszą ławkę nawiedził potop, lub inna czarna klęska?

Przy tych słowach zeszedł z katedry i zbliżył się do ławki, gdzie siedziały dziewczęta wyrwane dziś do tablicy.

Wysychający atrament wskazywał wyraźnie, że pulpit Danusi był wysmarowany...

— Hm... hm... widzę tu nadzwyczajne malarskie zdolności... wątpię jednak, aby ten talent mógł być przypisany Skielskiej, dotychczas jednak nie wykazała zdolności w tym kierunku, a tu widzę duże zaawansowanie artystyczne...

Po tych słowach wyprostował się — a brwi jego lekko się zmarszczyły.

— Bardzo pragnę przekonać się, ile z was zrobiło dziś manicure... proszę więc podnieść rączki do góry...

Żadna z pensjonarek nie odważyłaby się nie usłuchać tego wezwania — i zaraz nad głowami ukazały się ręce.

— Ach... tak! — ozwał się zimno nauczyciel — poproszę Roziemską do tablicy...

Wybrał jej zaraz zadanie, było bardzo trudne...

Dziewczynka pociła się i kręciła, ale nawet podpowiadanie jej nie pomogło, bo żadna nie mogła wpaść na pomysł rozwiązania...

Potrzymał ją jednak z pół godziny — pomagając czasami...

— Wystarczy — rzekł wreszcie — bardzo mi przykro, że Roziemska wykazuje tak wielkie zdolności artystyczne, a zato mało się interesuje matematyką...

Danusia nie mogła zrozumieć jego słów, gdyż nie była w sali w czasie badania.

Widziała tylko pełne wściekłości spojrzenie Wiśki, gdy wracała na swoje miejsce.

Ta zaś ostatnia posłała znienawidzonej koleżance kartkę z jednym słowem tylko:

— „Podła!"

Ale los kartki był ten sam, jak i poprzednich...

Zato na pauzę zerwała się burza.

Dziewczynki krzyczały, obwiniając i Danusię i Wiśkę.

— Niezgrabjasze! — ślamazary! —

— To trzeba mieć pecha! — wrzeszczała Roziemska — kto tego mógł się spodziewać?

— Mnie się zdaje, że Skielska szepnęła chyba matematykowi, że to Wiśka zrobiła!

Oskarżenie to jednak było tak nieprawdopodobne, że nie zwrócono nawet uwagi. Jednomyślnie zaś stwierdzono, że wszystkie trzy dziewczynki czyli Danusia, Ala i Wiśka zasługują na miano „ślamazary".

Danusia jednak nie czekała na wyrok.

Wybiegła wraz z Dziunią z klasy, pytając, jak zwykle, o zdrowie jej matki:

— Dziękuję! — zawołała radośnie zagadnięta — wczoraj ją odwiedzałam i doktór oświadczył, że jutro będzie mogła już powrócić do mieszkania — taka jestem szczęśliwa! — czy wiesz, jak mi tęskno do kochającego jej serca? — czy przypuszczasz, jak pragnę serdecznie wrócić do mego pokoiku?

— Wierzę ci — i cieszę się z tobą!

— Lekarz wprawdzie zabronił jeszcze jej pracować przez parę tygodni — ale postanowiłam poma-

gać: zastąpię ją w szyciu, ona zaś zajmie się tylko gospodarstwem domowem — mogę to zrobić śmiało, gdyż ze wszystkich prawie przedmiotów stoję nienajgorzej...

— Tylko francuski...

— Wiem, że utyka... niestety nie będę mogła do ciebie przychodzić, aby go trochę przerobić... nie będzie na to dość czasu...

— Pomogę ci na przerwach.

— Wdzięczna ci jestem... ach, naprawdę bardzo wiele tobie zawdzięczam! — sama nawet nie wiesz tego...

Łzy się zakręciły w jej oczach — przyczem ucałowała serdecznie przyjaciółkę.

— Ale innych przedmiotów także nie zaniedbasz — szepce Danusia — wszak to już koniec roku...

— Naturalnie! — liczę się z tem, że i dla mnie i dla mamy byłby to cios bardzo przykry, gdybym pozostała na rok drugi w tej klasie — dbać będę o tyle, aby mieć przynajmniej dostateczne oceny... a na to potrzeba będzie jakie dwie godziny dziennie; teraz nie mam nawet półtorej...

— Naprawdę nieco zamało...

— Całe szczęście, że nauczycielki zapomniały teraz o mnie, i prawie nie wyrywają do lekcji... dziś naprzykład z matematyki byłabym oberwała murowaną niedostateczną ocenę... — jednak już się to kończy!

— Tylko mademoiselle Łucja tobie się przypomina!

— Tak... ale od jutra inne lekcje będą już przygotowane, wobec czego będę mogła wczasie przerw zająć się francuskim — i jeżeli mi dopomożesz...

— Och, naturalnie...

Lecz już trzeba iść do klasy — dzwonek przebrzmiał na korytarzach i one już są ostatnie — biegną więc co tchu i lokują się na swoich miejscach.

Mademoiselle się spóźnia.

Danusia nie zagląda nawet do książki, bo dzisiejsza lekcja dla niej to fraszki — przytem przerobiła ją w czasie większej przerwy z Terenią i Dziunią.

W sercu jej radość.

Koleżanki zajęte świeżą ploteczką o niejakim studencie, którego nazywają ogólnie „Kociem“, a który podobno kogoś uderzył w twarz — nie zajmują się więc wcale Danusią, która się może tymczasem cieszyć radością Dziuni.

Wie, że to jej zasługa — lecz tyle razy słyszała od Ninki, że nie należy wynosić się ze spełnienia dobrego uczynku, — nie przypisuje więc go sobie, ale swym przyjaciółkom.

— I Dziunia poznała wreszcie — myśli sobie zadowolona niezmiernie — że się nie ceni matki, póki się jej nie straci... było tak w swoim czasie ze mną.. straciłam ją, gdy mnie bandyci porwali w Neapolu*) i wówczas zrozumiałam dobrze, czem jest dla mnie ukochana mateńka.. teraz i ona to pojęła..

Lecz oto już i nauczycielka wchodzi do klasy. Jak zwykle uśmiechnięta i miła — rzuca na klasę spajrzenie, pełne sympatji — przy czem zatrzymuje wzrok na Danusi.

Dzieweczka uśmiecha się do niej — wzajemnością za życzliwość płaci.

Zapomina łatwo o doznanych przykrościach — nauczycielka bowiem prowadzi wykład bardzo żywo i umiejętnie.

---

*) Patrz „Z pamiętnika Ninki i Danusi“, str. 340.

Niestety nie był to koniec jej utrapień.

Przed obiadem p. Toska weszła do jadalni nachmurzona z twarzą surową.

— W swoim czasie proponowałam tobie, abyś zaprosiła kilku znajomych studentów na wieczorek, który sprawiałaś swym koleżankom. Nie chciałaś jednak skorzystać z zezwolenia. Tymczasem pozwalasz sobie przyjmować pewnego młodego człowieka w czasie mojej nieobecności!

Danusia zrobiła wielkie oczy ze zdumienia.

— Ja?! — ależ nigdy to się nie zdarzyło!

— Otrzymałam widomość.

— Komuś zależy na tem, aby mię zniesławić... mówi ze smutkiem — ale nie poczuwam się do żadnej winy...

— Więc się stanowczo nie przyznajesz?

— Nie mogę! — nigdy bowiem tego nie było!

— Dobrze! zbadam tę sprawę starannie. Bardzo mi byłoby przykro, gdybyś mię oszukiwała; co niestety nieraz się już zdarzyło!

Danusia ze wstydem spuszcza głowę.

Zaprzeczyć nie mogę...

Lecz niepodobna się przyznać do niepopełnionego czynu!

— Sama jestem winna... myśli z goryczą — pragnąc się wkupić w życzliwość koleżanek, kłamałam świadomie — a teraz nie zasługuję na zaufanie

Obiad przechodzi w milczeniu. P. Toska przegląda gazety.

Ale one jej nie interesują.

Pochłania ją bowiem sprawa Danusi.

Parę dni temu może nawet nie zwróciłaby uwagi na taki list, jaki dziś otrzymała z poczty. Obecnie jednak robi na niej wielkie wrażenie.

— Wprawdzie jestem pewna, że to anonim — myśli sobie tymczasem — jakkolwiek jest tam podpisana pewna p. Niezygrycka... która się tytułuje ciotką Jarosława Kielowskiego — wrzuciłabym go do kosza — ale może naprawdę Skielska przyjmuje jakiego agitatora, który zręcznie umie się do niej przedostać? — może od niego otrzymuje nielegalne druki i ulotki?

Spogląda z ukosa na Danusię.

Legumina stoi nietknięta.

Dzieweczka patrzy uporczywie w okno, w oczach zaś ma łzy, które lada chwila stoczą się po policzkach...

— Ile to kłopotu z jedną dziewczyną — snuje dalej swe myśli — gdybym była wiedziała, nigdy nie zgodziłabym się wziąć ją na stancję pod swoją opiekę...

Przejrzała znów parę artykułów, wreszcie odkłada gazetę.

Danusia ma teraz oczy spuszczone — ale leguminy nie trąciła jeszcze...

— Proszę kończyć obiad. Już późno. Muszę wstać.

— Nie widzę racji dąsania się. Masz skończyć obiad.

Dzieweczka jest posłuszna, jakkolwiek jedzenie nie chce jej przechodzić przez gardło...

Wreszcie wstają.

Nauczycielka dzwoni na służącą i, po wyjściu Danusi, zwraca się do niej ze słowami:

— Mam wiadomość, że w czasie mej nieobecności przychodzi tu pewien student, aby widzieć się z moją wychowanką. Proszę mi powiedzieć zupełnie szczerze — zato sowicie wynagrodzę.

Służąca zaprzeczyła stanowczo — tembardziej, że żałowała Danusi, widząc, ile ma ciągłych przykrości.

— Możesz iść — rzekła jej wreszcie p. Toska. Jeszcze tę sprawę zbadam.

— Dozorczyni będzie szczerą — pomyślała sobie tymczasem — trzeba będzie jej zapytać.

Lecz i ta ostatnia nie wydała złego świadectwa:

— Wypadałoby z tego, że Skielska jest niewinna! — rzekła do siebie wychowawczyni po skończonem badaniu — ach, gdybym jej mogła wierzyć! — ale wydaje mi się niemożliwością! — i służąca i dozorczyni mogą być dobrze opłacone, aby milczały!

Wróciwszy do swego pokoju, jeszcze raz odczytuje list owej Niezygryckiej, poczem go chowa starannie:

— To jeszcze jeden dowód winy Skielskiej. Teraz jestem zupełnie przekonana, że to ona zajmuje się przeciwpaństwową robotą!

Kazia, pisząc ów list, ani się spodziewała, że trafi w taką odpowiednią porę..

Mimoto zacierała radośnie ręce:

— Pół godziny myślałam, aby wynaleźć tak cudaczne nazwisko, by takiej osoby nie można było znaleźć w Warszawie!

Biedna zaś Danusia długo nie mogła przyjść do równowagi:

— Nie wyobrażałam sobie, że złość ludzka może się posunąć aż do takiej podłości...

Ale była pewną, że p. Toska ani na chwilę nie wierzy owemu listowi.

— Wie przecież, że przyjmować kogokolwiek, byłoby dla mnie absolutnie niemożliwe! — jestem pilnowana, jak więzień za kratami!

Uspokojona tem rozumowaniem zabrała się raźno do pracy, szepcąc:

— Bądź wola Twoja...

XVI

ZEMSTA

Nazajutrz, zaledwie zaczęła się pierwsza lekcja, Danusię wezwano do gabinetu przełożonej.

Serce jej zabiło trwożnie, jakkolwiek nie miała powodów do obawy.

P. Płochocka powitała ją skinieniem głowy i rzekła napozór zupełnie obojętnie.

— Masz tu kawałek czystego papieru i podpisz na nim swoje imię i nazwisko.

Dzieweczka spojrzała pytająco, ale spełniła zaraz polecenie.

Przełożona porównuje jej podpis z innym znajdującym się na sporej broszurce, poczem podaje ją Danusi ze słowami:

— Czy poznajesz tę książeczkę? —

Dziewczę, spojrzawszy na broszurę, zaprzecza stanowczo.

— Jednak to jest twoja. Sama podpisałaś.

— Takiej nie miałam.. nie przypominam... odpowiada zdziwionym głosem.

— Pocóż udawać — patrz tu jest twój podpis.

Istotnie... na pierwszy rzut oka nawet i Danusia musiała przyznać w duchu, że to jej ręka skreśliła wyrazy: „Danuty Skielskiej".

— Ależ nigdy tak książek nie podpisuję — zawołała zdumiona niebywale dzieweczka — używam stale: „Danusi Skielskiej..." — a czy podpisano na ostatniej stronicy?

P. Płochocka sprawdza. Podpisu tam brak.

— Zawsze to robię...

— Mogłaś zapomnieć.

— W każdym razie nie posiadałam takiej książki...

— Poco się wypierać? — kto ją raz miał w ręku i przejrzał tylko, do niej się nie przyzna, gdyż treść jest przeciwpaństwowa i to w najwyższym stopniu! — wczoraj przyniosła mi ją jedna z twoich koleżanek, oświadczając, że znalazła w umywalni!

— Ależ to nie moja książka! — zaprzeczyła stanowczo Danusia, przerażona nie na żarty.

— Być może... ale była w twych rękach, przez ciebie podpisana i przypadkiem zapomniana. Teraz rozumiem, dlaczego okarżyłaś inną swoją koleżankę, Różę Meltzównę — chciałaś jej się pozbyć, aby ci nie przeszkadzała w niecnej robocie!

— Ona się nazywa Sterlerówna! — znam ją dobrze.. jęknęła dzieweczka, przed której oczami jakby się otwierała przepaść straszliwa...

— I to być może.. mimoto jednak ona nie zajmuje się żadną przeciwpaństwową robotą! — to już zostało stwierdzone. Weźmiesz natychmiast wszystkie swoje książki i udasz się do mieszkania. Rada Pedagogiczna zdecyduje o tem wszystkiem.

Danusia była zdruzgotana...

Nie wiedziała, jak wyszła z gabinetu.

Przed jej oczami stanął zbolały ojciec, jak go widziała, gdy pierwszy raz była oskarżona... a potem matka...

Ból straszny przeniknął serce...

Szła bezmyślnie w kierunku swej klasy, a na usta cisnęło się okropne pytanie:

— Jak oni to zniosą?...

O sobie narazie nie myślała...

W oczach jej robiło się żółto, a chwilami ciemno...

O parę kroków od drzwi piątej klasy zimny pot wystąpił jej na czoło...

Ze słabym jękiem obsunęła się na ziemię.

* *
*

Terenia, która siedziała najbliżej drzwi, posłyszała jęk i poznała głos przyjaciółki.

— Proszę mi pozwolić wyjść... rzekła do nauczycielki, zrywając się z miejsca.

Ta ostatnia skinęła głową.

Na korytarzu spostrzegła zaraz leżącą Danusię, przy której znajdowała się już woźna.

We dwie przeniosły zemdloną do umywalni, gdzie wprawna kobieta, niebawem przyprowadziła nieszczęsną dzieweczkę do przytomności.

Ujrzawszy przyjaciółkę, Danusia załkała rozpaczliwie:

— Wszystko skończone... jęczała — ktoś podrzucił książkę ze sfałszowanem moim podpisem... przełożona mię usuwa; pomóż mi... zaraz pojadę...

Była jednak tak osłabiona, że trudno było jej powstać — próżno ją zatrzymywano. —

— Pomóżcie: muszę zaraz... koniecznie!...

Nie chciała, by ją kto widział w tym stanie — w stanie hańby i strasznego skandalu...

Ostatkiem sił zrywa się z sofy.

— Już jestem silna... i mogę!...

Przeprowadzono ją do dorożki.

Ale na schodach mieszkania znów zesłabła, tak, że ledwie ją Terenia doprowadziła...

Z bezładnych słów biednej dzieweczki dowiedziała się całej prawdy.

— Jedź na ulicę Piusa XI., rzekła wreszcie Danusia wśród łez — proś p. Izalską, aby tu zaraz przyjechała...

Poleciwszy więc ją opiece służącej, Terenia co tchu zbiegła po schodach i udała się do p. Felicji.

Ta ostatnia zaniepokoiła się nie na żarty.

— Musi to być sprawka Sterlerówny — Danusia ją chciała oszczędzić, — a ona nie przebiera wcale w środkach. Przekonawszy się, że ulotki nie odnoszą

skutku, poprobowała innego sposobu. A też może być niebezpieczny...

Natychmiast wybrała się do nieszczęsnej dzieweczki.

Po drodze wstąpiła na pensję, gdzie się uczyła Ninka i poprosiła, aby ją zwolniono na dzisiaj.

Zatrzymawszy samochód przed mieszkaniem Danusi, odprawiła Terenię na pensję. —

— Miałabyś nieprzyjemność, gdybyś więcej czasu straciła. Narazie wytłumaczysz się, żeś odwiozła chorą koleżankę.

Poczem pośpieszyła na górę.

W pokoju biednego dziewczęcia zastała p. Albecką. Służąca bowiem musiała wyjść do miasta i poprosiła sąsiadkę do mieszkania.

Ta zaś ostatnia, dowiedziawszy się przyczyny płaczu dziewczyny, postanowiła ją ratować:

— P. Gołąbska musi wiele wiedzieć... rzekła do siebie.

Zaraz jednak wyszła, gdy się p. Felicja zjawiła w pokoju.

Danusia nie zwracała uwagi, kto się przy niej znajduje. Leżąc na kanapce, łkała rozpaczliwie.

Zdawało się jej, że się znajduje na dnie straszliwej przepaści, z której już niema wyjścia.

— Złapano mię powtórnie: nikt więc już nie uwierzy, że jestem niewinna... huczało w jej skołatanej główce: — teraz jestem zgubiona bez ratunku...

Najbardziej było jej żal rodziców... ich ufności i nadziei, że tu w Warszawie zdobędzie dobrą sławę, poprawi opinję...

— Ruina ostateczna, jak im się na oczy pokażę?... co powiedzą?...

Na myśl jej przychodzi, że lepiej byłoby dla niej, aby żyć przestała...

— Nie! — byłoby to tchórzostwo!... dla rodziców zaś cios jeszcze straszniejszy...

Już nic nie może myśleć, wkoło czarna przyszłość... i wielkie, okropne... nic!

Czuje, że zapada w przerażającą otchłań...

— Czy już wszystko stracone, Danusiu? — pyta ją z największem spółczuciem Ninka, łącząc te słowa z pocałunkami.

—A niebo?... cierpisz niewinnie — a tam zato nagroda! — tak wspaniała, tak wielka, tak radosna!... Tak Jezus mówi: będziecie płakać i lamentować wy, a świat się będzie weselił... ale smutek wasz w radość się obróci... (Jan 16, 20), a wyrzekł to nasz ukochany Zbawca, który sam wiedział, jaką nam da nagrodę i zaco...

— Ale tak straszne spadło na mnie nieszczęście— jęczy ze szlochem dziewczę: — a najgorzej... że niesprawiedliwie...:

— A On zniósł jeszcze cięższe pohańbienie, skazanie na śmierć... a potem katusze okropne na krzyżu — niewinny! — i konał w hańbie i męce — niewinny! — a Bóg Ojciec, który patrzał na te Jego katusze, nie ulżył ani minutę Synowi Najukochańszemu...

Ninka widzi, że jej przyjaciółka zacina usta i usiłuje nad sobą zapanować. Przerywa na krótką chwilę i znów ciągnie przez łzy:

— A nasza Mateńka najdroższa z pod krzyża wyciąga ręce.. i woła: chodź do mnie.. razem będziemy płakały.. nad męką Bożą, nad grzechami ludzkimi, bo i ty cierpisz niewinnie...

Danusia się zrywa i pada w objęcia przyjaciółki... płacze jeszcze,, jak dziecię, co to się zaraz ukoić nie może, tylko, że łzy nie są gorzkie...

— Uspokój się — moja droga — dodaje p. Felicja — na świecie nie znajdziesz sprawiedliwości — zwrócimy się do Tronu Bożego — będziemy prosiły

przez Najświętszą Panienkę — wszystko Wszechmoc Boża zmienić potrafi — ufaj! — pamiętasz, jak wówczas zdawało się, że wszystko przepadło: Bóg dobry jednak odmienił! —

— Dobrze... dobrze — szepce udręczona dzieweczka — lecz... nie podobna mi... zebrać myśli...

— To nic — mamy czas.. tymczasem pojedziemy sobie stąd,,, w drodze się zastanowimy. —

— Dobrze! — jedźmy! — zaraz jedźmy! — wybucha dziewczę nie chcę tu się znajdować ani chwili!

— Weźmiemy tylko parę twoich drobiazgów, które ci będą potrzebne — Ninuś! — ubierz ją, a przygotowanie sama załatwię.

Danusia gorączkowo podbiegła do umywalni — mokrym ręcznikiem wyciera twarz i szybko się ubiera przy pomocy Ninki.

Niebawem samochód uwoził ją prędko w stronę przedmieścia — wreszcie zatrzymał się w podmiejskiej willi pp. Izalskich.

— Byłam tu taka szczęśliwa w zeszłą niedzielę... szepnęła biedna dzieweczka wśród nowych łez — a dziś...

— Przecierpisz — a potem znów się będziesz weseliła — upomina p. Felicja: — na świecie nic niema stałego! — Bóg doświadcza — Bóg pocieszy!

Poczem zwraca się do szofera i wydaje mu rozporządzenia półgłosem i kończy:

— Po drodze proszę zamówić w pobliskiej restauracji cztery obiady — niech je zaraz przyślą, jak tylko będą gotowe.

W pokoju tuli Danusię z pieszczotą — potem zaś mówi:

— Połóż się trochę — trzeba się uspokoić i przyjść do siebie — a tymczasem powoli mi opowiesz, jak to dziś było...

Dziewczę się wymawia — wreszcie jednak słucha i ulega. —

Opowiadanie przychodzi jej z trudnością i nowemi łzami, jednak koi je Ninka serdeczną pieszczotą, a p. Felicja łagodnemi słowy.

— Teraz więc się pomodlimy wspólnie — zachęca p. Izalska, gdy się wszystkiego dowiedziała, — a potem pojadę do miasta i zacznę starania.

— Czyż pani ma jeszcze jaką nadzieję? — pyta apatycznie Danusia — do tej pory zapewne Rada Pedagogiczna już mnie zwolniła... i...

Przerywa — bo nie może dokończyć z powodu łez...

— Niema nadziei tylko dla umarłych — zapewnia gorąco p. Felicja — pamiętaj, że Bóg wszystkiem rządzi!

Niebawem przyjechała do willi matka Ninki, oraz p. Wacława Izalska wraz z Krzysią.

— Za mało będzie porcji obiadów — zauważyła p. Felicja — nie spodziewałam się was — aż tyle osół — a służącej nie wzięłam dziś ze sobą!

— Nie szkodzi! — zamówiłyśmy, jadąc po drodze obok restauracji.

Panie porozumiały się z sobą krótko — poczem p. Felicja rzekła:

— Jadę więc zaraz do miasta i rozpoczynam starania — ty zaś, Danusiu, nie trać nadziei i nie płacz.

Jednak dzieweczka przyjęła to oświadczenie zupełnie apatycznie. Była pewną, że nic się zrobić nieda... Róża tak sprytnie wszystko obmyśliła i wykonała, że nie pozostawało niczego się spodziewać...

Ninka wraz z Krzysią dokładały wszelkich starań, aby ją cokolwiek rozerwać.

Niebawem przybyła jeszcze Cesia, oraz Terenia ze służącą p. Felicji, aby zająć się kuchnią. Dziewczynki zaczęły się zmieniać przy Danusi, namawiając

ją, aby trochę się zdrzemnęła, — a tymczasem na osobności przygotowywały lekcje na jutro. — Zmartwione niezmiernie takim smutnym wypadkiem szeptały z niepokojem:

— Co będzie, jeżeli Danusia zachoruje?

— Jeżeli wszelkie starania nie odniosą skutku?

— Żal, że nie będziemy mogły z nią uczyć się w przyszłym roku szkolnym!

— I ciągle płacze... twarz ma zapuchniętą...

— I głowę gorącą...

— Nie chce spać... ani jeść...

— Ani przespacerować się... proponowałam do lasu...

— Rozumiem ją: każdy zakątek przypomina jej tu radosne chwile, dawniej spędzone...

Najwięcej żałowała jej Terenia.

— Ach, gdybym mogła oddałabym za nią pół życia... wszak ona mię tu pocieszyła, jak anioł z nieba, kiedy w straszym smutku tonęłam...

Lecz kiedy tylko dziewczęta zjawiły się przed Danusią — nie zdradzały się ze swemi niepokojami i wytężały wszelkie starania, aby Danusię pocieszyć.

W czasie podwieczorku dzieweczka, po dłuższym milczeniu, zaczęła mówić powoli:

— Nie chciałabym teraz już nigdzie wracać... ani do rodziców.. ani do Warszawy...

— Może zagranicę pojechałabyś chętnie? zapytała Ninka.

—I to nie... chyba do klasztoru... zawielkie to dla mnie nieszczęście...

— Sądzę jednak — odpowiedziała jej nato p. Wacława — że nawet, gdyby się nie udało ciebie obronić, mogłabyś uczyć się dalej prywatnie z naszemi dziewczynkami, tu w Warszawie.

— Nie wiem, czy ojczulek natoby się zgodził...

Znów w jej oczach łzy zabłysły.

Tymczasem ozwał się dzwonek telefonu.

Pani Lubożedzka wstała szybko i udała się do sąsiedniego pokoju.

— Mówi nauczycielka pensji, Toska — posłyszała w aparacie — czy jest tam Skielska, uczennica naszego zakładu?

— Tak...

— Niech przyjeżdża natychmiast — obiad czeka.

— Ona jest już po obiedzie, którego zresztą zaledwie tknęła.

— Chociażby nawet. Powinna przybyć natychmiast. Muszę ją przesłuchać: skąd dostawała broszury i ulotki...

— Zaświadczam słowem honoru, że ona jest niewinna: podpis na książce jest sfałszowany.

— Nikt w to nie uwierzy. Twierdzenie podobne jest śmieszne. Ona musi stawić się natychmiast.

— Daruje pani, ale jestto niewykonalne. Ona jest w takim stanie rozpaczliwym, że obawiamy się zapalenia mózgu. Wszelkie badanie obecnie mogłoby sprowadzić nieobliczalne następstwa.

— Mimoto żądam, aby natychmiast przyjechała — potrafię wypytać z największą ostrożnością, — zresztą, sądzę, że obawy są nieuzsadanione: Skielska cieszy się takim zdrowiem, że podobny wypadek nie może na nią tak dalece wpłynąć.

— Pani mię obraża. Twierdzić zaś tak może, bo jej nie widziała. Czy mam przysłać zaświadczenie lekarskie?

— Zdaje mi się, że będę musiała sama się wybrać. Koszta jednak będzie musiała pani zwrócić...

Matka Ninki, oburzona takiem postawieniem sprawy, nie chce dalej słuchać i zamyka aparat. Poczem prosi do innego pokoju p. Wacławę, gdyż tele-

fon dzwoni. Widocznie nauczycielka chce mówić w dalszym ciągu.

Panie porozumiały się prędko.

— Trzeba Danusię stąd wywieźć.

— Tembardziej, że się tu nie uspokoi.

— Ale dokąd?

— Wyjaśnimy w rozmowie — gdzie jej będzie się podobało. Chociażby do Poznania.

— Samochód może być potrzebny p. Marcelemu.

— Pojedziemy koleją. Trzeba jej umysł czemś zająć.

Stan jej budzi naprawdę obawy. Jest strasznie przybita.

— Nadchodzi noc.

— I właśnie ona powinna się trochę zmęczyć w takim razie uśnie. Sen zaś pokrzepi i ukoi.

— Dobrze. Więc idziemy do niej.

Danusia w dalszym ciągu mówi o klasztorze. Twierdzi, że tam dopiero byłaby spokojna.

— Przekonałam się... że na mnie polują, aby mnie zgubić... więc się usunę z życia: zresztą ono mię już nic nie nęci...

— Pomyślimy o tem — mówi żywo p. Wacława — mamy czas. — obecnie jednak możebyśmy pojechały gdziekolwiek. Samochód czeka.

— Dziękuję — wszystko mi jedno...

— Chciażby do Łowicza. Byłybyśmy tam na nieszporach. Znasz to miasto?

— Nie...

— Mogłabyś tam się wyspowiadać — a jutro przyjąć Pana Jezusa, na intencję twojej sprawy.

Danusia machnęła ręką...

— O mnie już nie chodzi... byleby rodzice się nie martwili...

Ciężkie westchnienie wyrywa się z jej ust.

— Właśnie — podchwytuje p. Łubożedzka — możesz to zrobić na ich intencję. Bóg może się przychylić do twoich modłów i ofiar.

Twarz Danusi lekko się ożywiła.

— Ach, gdyby tak w Częstochowie... ale wiem, że to niemożliwe...

— Dlaczego? — jedziemy do Częstochowy! — zawołała p. Wacława — robimy tę ofiarę — i to natychmiast! — Matka Najświętsza wysłucha! — pocieszy twoich rodziców!

— Jaka pani dobra... szepce Danusia: — już mi to parę razy przychodziło na myśl — ale nie uważałam to za możliwe...

— Skończ więc podwieczorek i zaraz pojedziemy — Krzysiu, pobiegnij do szofera, i powiedz, aby podjeżdżał. Wieczorem są pociągi w tę stronę i nawet dość liczne.

Biedna dzieweczka zmusza się tymczasem do przełknięcia parę łyżek kawy — wreszcie odstawia filiżankę.

— Przepraszam... więcej nie mogę...

— To nic — kolację zjemy w pociągu, lub w Częstochowie — a tymczasem się zbieramy.

Zaczyna się ruch — przygotowania jednak trwają krótko. Tymczasem wbiega Krzysia, wołając we drzwiach:

— Samochód czeka!

— Kto jedzie? — pyta Cesia.

— My obie — odpowiada p. Łubożedzka—a także Ninka z Danusią.

— Czyli, że Krzysia, Cesia i Terenia pozostaną — dodaje p. Wacława: — auto zaraz wróci po was. Zabierze i służącą. Narazie jedziemy do mieszkania twojego stryja, Krzysiu, a stamtąd już na kolej taksówką. O ile sobie przypominam pociąg odejdzie za pół godziny czyli mamy dość czasu, by zdążyć.

— A jeżeli kto będzie was pytał, gdzie udałyśmy się — przestrzega przezornie matka Ninki — powiecie, że wyjeżdżamy z Warszawy, gdyż tego koniecznie potrzebuje zdrowie Danusi. Zresztą idźcie do ogrodu — służąca sama to załatwi.

Przezorność ta była na miejscu. Na przedmieściu bowiem spotkały dorożkę z p. Toską. Nie mogła ona zauważyć Danusi, która siedziała w głębi szybko mknącego samochodu.

P. Lubożedzka kazała się zatrzymać przy spotkaniu z pierwszą wolną taksówką, co nastąpiło w kilka minut potem.

— Przesiadamy — rzekła do p. Wacławy — a nasze auto niech natychmiast wraca i zabierze wszystkich z willi. Nie należy, aby dawano jakiegokolwiek wyjaśnienia.

Radę tę wykonano bezzwłocznie, a tymczasem p. Wacława nakazała szoferowi, aby co prędzej wracał i przywiózł dziewczynki pozostałe w willi wraz ze służącą do mieszkania pp. Izalskich.

Zarządzenia powyższe dziwiły mocno Ninkę — spoglądała niespokojnym wzrokiem na starsze panie — ale Danusia pogrążona w apatję niczem się nie przejmowała.

— Byle prędzej do Częstochowy.. myślała sobie... byle prędzej: Matka Boska wysłucha.

Ale był to prawie pusty dźwięk... powtarzając te słowa, nie mogła przejąć się ich treścią...

XVII

NA JASNEJ GÓRZE

W trzy kwadranse potem pośpieszny pociąg uwoził małą grupkę pielgrzymów w kierunku Częstochowy.

W zacisznym przedziale Danusia przytulona do

swej przyjaciółki słuchała jej słów łagodnych, a mocnych:

— Trzeba, abyś z ufnością poleciła swą sprawę opiece Bożej Matki... „ufaj córko, wiara twoja ciebie uzdrowiła“ (Mat. 9. 22) — tak nas uczy Jezus...

— Bo mnie się zdaje, że Bóg wymaga odemnie jakiegoś wielkiego cierpienia.. i to długiego — wzdycha udręczona dzieweczka.

— Lecz może je skrócić! — posłuchaj: Pan Jezus nie miał zamiaru uczynić cudu w Kanie Galilejskiej, a jednak na prośbę swej Matki zmienił wodę w wino! — tak może być z tobą! — zbliżasz się do Niej, a Ona już może składa ręce przed swym Synęm i wzrok błagalny wznosi... a tobie mówi tak, jak w Kanie: „Cokolwiek wam rzecze czyńcie!“ (Jan 2. 11) słudzy jej usłuchali z ufnością i cud ujrzeli...

— Może to być... szepce — ale..

— Żadnego ale! — no, spojrzyj na mnie... o, tak! — i powiedz z serca, że ufasz — bo i ja głęboko w to wierzę!

— Jeżeli ty wierzysz... ty, Ninko, to i ja również — szepce z przekonaniem — poczem się rzuca na szyję przyjaciółce: — a twarz jej roszą łzy... łkanie zaś pierś rozrywa...

Gdy się cokolwiek uspokoiła zabiera głos p. Wacława:

— Przypomnij sobie, Danusiu, iż Bóg chce, aby Go prosić: „tak się modlić będziecie: Ojcze nasz... (Mat. 6. 9) gdzie nie tylko każe nam prosić o dobra wiekuiste, ale nawet i ziemskie.

— Więc będę...

— A tembardziej, że przedewszystkiem tobie chodzi o rodziców, a nie o siebie: — Bóg cię łatwiej wysłucha, że się powodujesz miłością rodziców, a nie samolubstwem!

— Ach, co zato dałabym, żeby im oszczędzić tego bólu...

— W ten sposób więc proś Maryę — ona, jako Matka Jezusowa, zmiłuje się nad tobą...

Od tej chwili Danusia nabrała pewnej otuchy — wprawdzie łezki nieraz toczyły się po jej twarzy — nie była jednak w stanie tak wielkiej rozpaczy i przygnębienia.

— A czy prędko przyjedziemy — zapytała — chciałabym już tam się znajdować...

— Z Warszawy mamy dwieście trzydzieści kilometrów — mówiła p. Wacława — przyjedziemy około ósmej godziny wieczorem — kościół jednak będzie już zamknięty.

— Szkoda... dziś więc trudno będzie myśleć... by się pomodlić w cudownej Kaplicy...

— Naturalnie — dziś jedziemy do hotelu, aby tam przenocować — jutro możemy się wybrać bardzo rano.

— Przynajmniej na szóstą... prosi biedna dzieweczka.

— O szóstej odsłaniają obraz święty — jestto bardzo rzewna ceremonja i należałoby na niej się znajdować!... oświadcza p. Wacława.

— Jeżeli tak — to koniecznie! — chcę swoją modlitwę zanieść jedna z pierwszych...

— Łatwo to będzie uskutecznić, gdyż staniemy w hotelu blisko Jasnej Góry, gdzie się zwykle zatrzymujemy.

— A kolację możemy zjeść w pociągu w wagonie restauracyjnym, aby zaraz można było iść spać! — dodaje hrabina.

Rozmowa urywa się na chwilę.

Słychać tylko przez otwarte okno sapanie parowozu, który widocznie pnie się pod górę, gdyż pracuje z wytężonym wysiłkiem.

Na twarzy Danusi znów biegną szybko łzy...

— Czy pamiętasz — szepce przyjaciółce — jak

zeszłej jesieni jechałyśmy również w tę stronę... jeszcze nie byłyśmy znajome... wówczas tyś płakała! — ach, jakie to były inne czasy... inne! Szczęśliwa jechałam do Włoch wraz z mamusią... tobą zaś wzgardziłam... tak mi teraz żal tego...

— Miałam to także na myśli — odpowiada jej Ninka: — ale się pociesz: wszystko mija — i radość, i smutki! — przeminie i ten ból — i ta udręka!

— Och, wątpię.. wyrywa się nowy szloch z piersi udręczonej dzieweczki...

— Więc ufności, Danusi! — uspokaja ją łagodnie p. Izalska: — lepiej się pomodlimy do Najświętszej Panienki — przecież to pielgrzymka do jej ołtarza...

— Nie wiem, czy wzięłam książeczkę do nabożeństwa... szepce zagadnięta.

— To nic — zaczniemy różaniec — pozdrawiając z najgłębszym uczuciem Bożą Mateńkę, będziemy błagały o ratunek...

Różaniec wnet się zaczyna: p. Izalska przoduje— dziewczynki powtarzają z serdecznem przejęciem...

I teraz dopiero Danusia zaczęła rozumieć piękno tej krótkiej modlitwy, którą przyniósł z nieba Archanioł Gabrjel — zrozumiała, ile czci i hołdu oddać można w tem krótkiem: „Zdrowaś Marya...“ a ile też może łask uprosić w zakończeniu: „Święta Marya...“

Odmawiała więc coraz z większem uczuciem te święte słowa — a z niemi spływała na jej duszę jakaś dziwna ufność do tej Matki Niepokalanej, jakaś rezygnacja i oddanie się woli Bożej...

— Bóg wie... co czyni... przebiegało w jej myśli.

Najwięcej zaś ją uspokaja widok modlącej się Ninki: — jej wiara, jej ufność, była tak wielka, że niepodobna wątpić o skuteczności... podobnego błagania...

— A przecież ona prosi za mnie — uprzytomnia sobie Danusia.

Nikt jej wprawdzie tego nie powiedział — Ninka wcale o tem nie wspomniała — ale Danusia wierzy, iż inaczej być nie może...

Tymczasem pociąg pędził...

Mijał szybko mniejsze stacje, tak, że nawet czasem niepodobna było odczytać nazwy — na większych zaś kilku zaledwie parę chwil się zatrzymał. —

Przelatywał zaś jak zjawa przez pola, pokryte dojrzewającemi kłosami, co się chyliły przed przejeżdżającymi — przez łąki z bujną trawą, ukwiecone, a wonne...

Przebiegał w pobliżu mniejszych i większych osiedli, skąpanych w obfitych promieniach słońca, kłoniącego się ku zachodowi...

Wreszcie te promienie zaczęły się zmieniać w kolorze, coraz bardziej na szkarłat, a czerwień — coraz ich było mniej... a wkońcu znikły zupełnie — bo ich źródło skryło się za horyzontem...

Lecz i p. Felicja kończy już modły — ostatnie już prośby zaniesiono przed tron Boży — i krzyż Pański je wieńczy...

Właśnie mijają pewną stację.

— Rudniki! — oznajmia Ninka.

— Widać stąd już wieżę na Jasnej Górze — dodaje p. Felicja.

Danusia zrywa się jak zelektryzowana.

— Gdzie? — gdzie? — woła, biegnąc ku oknu.

Nie trzeba jednak jej wskazywać.

Na różowym tle nieboskłonu wyniosła wieżyca rysowała się zupełnie wyraźnie, strzelając śmiało w przestwór nieba...

Dzieweczka wyciągnęła ku niej ręce:

— O, Matko Boża... powtarzała gorąco — o Najświętsza Matko Boża... ratuj!...

Niebawem zabłysły liczne światła wielkiego miasta i stacji — a pociąg wpada w labirynt zwrotnic

i sygnałów — skacze i pochyla się w szybkim jeszcze biegu — wreszcie słychać zgrzyt hamulców i staje.

— Częstochowa! — Częstochowa! — wołają konduktorzy.

W oczach Danusi świecą łzy.

Ale jakieś inne, niż dotychczas...

Przejmuje ją rozrzewnienie.

Żywo wyskakuje z wagonu.

Lecz na drodze przeszkoda. Jakaś pielgrzymka znajduje się na peronie: stoją feretrony, powiewają bogato szyte sztandary, błyszczą instrumenty muzyczne.

Widocznie wyszli z pociągu, który przed chwilą przybył tu od strony Katowic i przygotowują się do pochodu.

Już przewodnicy ustawiają ludzi.

Niektórzy z pobożnych zdejmują obuwie.

Chcą widocznie iść w większej pokorze...

— A możebym i ja tak zrobiła — przebiega w myśli udręczonego dziewczęcia — większa byłaby ofiara...

Lecz niema czasu nad tem się zastanawiać...

Oto dziewczęta w bieli, osłonięte długiemi welonami, podnoszą feretrony — ujmują wstęgi przy chorągwiach...

Muzykanci biorą instrumenty...

Danusia się zatrzymuje.

— Pójdziemy za nimi — szepce, zwracając swą wybladłą twarz ku p. Wacławie.

A któżby się jej teraz sprzeciwiał?

— Dobrze — odpowiada skwapliwie p. Izalska— nie zależy nam tak bardzo na czasie...

Przyczem stwierdza z radością, że dziewczka zaczyna się interesować otoczeniem.

— Najgorsza bowiem była u niej ta apatja — ta

beznadziejna rozpacz — która ją mogła doprowadzić do jakiej ciężkiej choroby... szepce do siebie.

Postępują więc wolno za procesją, która mija dworzec, formując się w szyk pochodu, wyszedłszy na ulicę.

Nagle zgodnym akordem zabrzmiała muzyka.

Z piersi pielgrzymów popłynęła pieśń:

Zdrowaś Maryo, Bogarodzico...
Błagamy Ciebie, Święta Dziewico
Niech łaska Twoja, zawsze nam sprzyja
Módl się za nami — Zdrowaś Marya!...

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Danusia płacze — bo ją coraz większe opanowuje rozrzewnienie — ale nie zwraca to niczyjej uwagi, bo niejedna osoba ma wówczas łzy w oczach.

Bo i po twarzy Ninki biegną perełki, a panie ocierają łzy co chwila...

Pieśń się kończy — pani Izalska zaś proponuje samochód, który tu stoi wolny.

Wszyscy w milczeniu wsiadają — a niebawem auto zatrzymuje się przy jednym z hotelów u podnóża klasztoru.

— Teraz kolacja — a potem spać — zapowiada p. Lubożedzka, gdy tylko towarzystwo zajęło pokoiki — jutro bowiem trzeba wstać o piątej!

— I ty, Danusiu, zaśnij! — mówi serdecznie Ninka — tu należy złożyć wszelkie troski w ręce Najświętszej Panienki — i nie myśleć o nich wcale!

— Dobrze... posłucham...

I naprawdę posłuchała — zasnęła zaraz, chociaż sen był niespokojny i często się budziła — ale sobie powtarzała radę przyjaciółki:

— Nie myśleć! —

A przytem dodawała sobie:

— I nie zaspać!

I rzeczywiście: już o pół do piątej rozwarła szeroko oczy.

Ninka wstała już bezszelestnie i, klęcząc jeszcze niezupełnie ubrana, modli się ze złożonemi rączkami.

Danusia żywo uprzytomnia sobie chwile z podróży do Włoch. Nieraz patrzała i podziwiała swą towarzyszkę, zatopioną w serdecznej modlitwie.

Zawsze tak samo!

Czy to w wagonie — czy w hotelu — a nawet, gdy była uwięziona przez bandytów...

Ach, jakie to straszne były chwile: zdane na łaskę i niełaskę okrutnych ludzi, którzy mogli je pomordować, a nawet męczyć przedtem straszliwie...

— Gorzej było wówczas, niż dziś... przelatuje jej w myśli — a jednak ona tak samo się i w tych zbójeckich rękach modliła... i wybłagała ratunek...

Nie może oderwać oczu od tej twarzyczki — od tych ust, co lekko się poruszają...

— Czy ona sama będzie się modliła! — szepce i zrywa się z pościeli — trzeba powitać Najświętszą Panienkę w tem miejscu, gdzie zwykła swe łaski rozsypywać...

W kwadrans potem obie, przywitawszy się na dzień dobry, zaczynają kończyć swe toalety. Uważają jednak, by starszych pań nie obudzić. —

Ale Ninka pierwsza posłyszała, że i w sąsiednim pokoiku zaczął się dyskretny ruch.

— Mama już wstaje! — szepnęła — a zapewne i p. Felicja! — ach, nie! tak mi się zdało, że podróżujemy po Włoszech, z panią Felicją!

— I mnie tak się zdawało... odpowiada Danusia — ach, jak to dawno... jaka byłam wówczas lekkomyślna...

Ninka delikatnie puka do drzwi, a stamtąd odzywają się przyciszone głosy powitania:

— Dzieńdobry wam! — trochę jeszcze jednak zawcześnie!

— Nim się ubierzemy i zajdziemy do kościoła będzie szósta! — odpowiada Ninka.

Danusia jednak, mimo że ciągle powtarza upomnienie Ninki: „nie myśleć o nieszczęściu“ — nie może zapomnieć o strasznem swem położeniu. Usiłuje jednak nadrabiać miną, jakkolwiek często ma łzy pod powiekami.

Pośpiesza jednak, ile może...

Wreszcie, oto już gotowa.

— Czemu nie wkładasz bucików? — pyta jej Ninka.

— Może pójdę boso... pamiętasz, jak wówczas w Neapolu... a tu... widziałaś wczoraj, jak wielu szło w podobny sposób.. aby wybłagać łaski...

— W Neapolu zrobiłaś ofiarę... tam było to usprawiedliwione!

— Zapytam twej mamusi.

Puka i wchodzi do drugiego pokoju.

Panie ją całują na powitanie bardzo serdecznie — a na zapytanie odpowiadają:

— Jak chcesz... zresztą idź — tylko przy wejściu do kościoła obujesz się.

Niebawem idą. Ninka też zdjęła pantofelki. —

— Pójdziemy, rzekła do przyjaciółki — jak w Neapolu... tam dziękowałyśmy Bogu — tu będziemy Go błagały o zmiłowanie...

Przy wejściu do kościoła krótki przystanek. Dziewczynki wkładają obuwie.

— Ale tam... szepce Danusia — wstydziłam się iść boso... mało nie płakałam... chciałam wrócić do hotelu — dziś zniosłabym największe nawet upokorzenie, bylebym mogła uprosić dla siebie tę łaskę...

Wreszcie już są w kościele.

Wspaniała świątynia o ścianach, wykładanych marmurem, nie robi większego wrażenia na Danusi— dąży śpiesznie do cudownego obrazu, który się znajduje w kaplicy.

Ach, oto już...

Potężna żelazna krata oddziela ołtarz oraz małą część kaplicy — przed której drzwiami mimo wczesnej pory już się tłoczą ludzie.

Danusia czuje się tu, jakby była rzeczywiście przed obliczem Królowej Nieba...

Nieznany, niewytłumaczony lęk przejmuje duszę; zdaje się jej, że jest tak malutka, tak nędzna, że ta Pani nawet jej dojrzeć nie zechce...

Ze łzami upada na kolana...

— O Matko Boża — szepce ulituje się, ulituj!...

I nie śmie nawet podnieść oczu...

Bo jest przekonana, że urazi Tę, co tak wspaniała, tak czysta, tak święta stoi przed tronem Wszechmocnego...

Nie znajduje słów czci... prośby...

Więc tylko płacz ze szlochem...

— Ratuj, o Najświętsza!...

Wreszcie cisną się słowa na usta:

— Zdrowaś Marya... łaskiś pełna...

Z głębokiem szacunkiem je powtarza — powoli i coraz wolniej...

Sama się dziwi, że zawierają one tyle czci i chwały dla tej Pani świata...

I znów się czuje bardzo — bardzo niegodną odmawiania słów, które wymówił pierwszy raz jeden z najwyższych Aniołów...

— Pan z Tobą...

Tak... tyle łaski nikt nie posiada, co Ona — bo z Nią jest Pan...

Pan — Najwyższy... Pan panów...

Tego Pana posiada łaski... Ona...

— O, daj najmniejszą... zrywa się korne błaganie w jej duszy, a uszczęśliwiwszy mnie zupełnie.. Ty.. błogosławiona między niewiastami...

— Te łaski przez Jezusa tu rozsypujesz między ludzi... tu właśnie... w tem miejscu...

I gdy to sobie uprzytomniła, gdzie się znajduje, porywa ją huragan płaczu.

— Święta Maryo... módl się... chociaż tak bardzo jestem grzeszna, tak bardzo...

Czas tymczasem leci — już otwierają żelazną kratę — Danusia się nie tłoczy, aby wejść za nią... rozumie, iż nie jest godna.

— Nie warta jestem tej łaski, o którą żebrzę!... Daj moim rodzicom... im oszczędź łez... niech sama cierpię... ukarz za moje winy... mnie tylko...

Nagle — co to?

Srebrny głos trąb! — hejnał!

Wstrząsa się dziewczę...

— Królowa idzie... przelatuje jej myśl...

— Królowa... Pani!

Łzy przestają płynąć — otwiera szeroko oczy...

Kotły... bębny, warczą...

Jakaś groza przejmuje duszę...

— Królowa... łaski... miłosierdzia już idzie!

Łoskot kotłów nie ustaje... coraz mocniejszy, coraz groźniejszy...

Zasłona cudownego obrazu zsuwa się do dołu powoli... powoli...

— Łaski nie dla mnie... Królowo... tyś miłosierna... wybłagałaś wino w Kanie... nie dla siebie! — dla innych...

Przypomina słowa Ninki:

— Ufaj... wierz! — Ona może! — chce!

— O tak... Królowo łaski.. bo Syn Ci nie odmówi!...

Coraz potężniejszy odgłos bębnów — już Oblicze wizerunku można całe widzieć...

Tak dobrze znane z tysiąca reprodukcyj, — a pierwszy raz przez Danusię oglądane...

Całą swą duszą — całem jestestwem w Niem tonie... wyciąga ręce...

— Łaski... zmiłowania!...

Potężny, ostatni łoskot kotłów — pełen grozy i mocy...

— O Maryo!... woła dziewczę i słania się bez czucia na ziemię...

Panie ją podchwytują.

Obcy nawet śpieszą na pomoc.

Przenoszą ją do zakrystji...

Jednocześnie wbiega służąca z hotelu.

— Depesza od pani — mówi, zbliżając się do p. Wacławy. —

Służba bowiem w hotelu była już uprzedzona, że mają zaraz odnieść każdą wiadomość do kościoła.

Zjawia się zaraz i pocztyljon.

Ze drżeniem rąk p. Izalska kwituje — rozrywa papier:

„Wracajcie — sprawa pomyślnie załatwiona — Felicja".

Danusia, dzięki energicznemu ratunkowi, otwiera oczy.

— Uspokój się mówi jej powoli p. Wacława oskarżenie już cofnięte...

Danusia uśmiecha się przez łzy:

— Tak... szepce byłam tego pewna... tam jeszcze w kaplicy... pójdę podziękować...

Siły jej jednak odmówiły...

Nie chciała mimoto pić wody:

— Pragnę przystąpić do komunji...

— Zaraz będzie komunja — oświadcza braciszek

zakonny — proszę tu przejść bocznem wejściem z zakrystji.

— Prosiłabym jednak o spowiedź...

Zbliża się zaraz jeden z ojców paulinów. — Obecni się usuwają...

Po skończonym świętym obrządku, przy pomocy p. Lobożedzkiej Danusia klęka przy samym ołtarzu, podtrzymywana przez Ninkę.

We Mszy, która się zaczęła zaraz po odsłonięciu obrazu, jest już po podniesieniu.

Dzieweczka ze łzami radości przygotowuje się do przyjęcia Pana Jezusa — który też w chwilę potem jest Gościem w jej duszy...

Osłabłą, a szczęśliwą Danusię z trudem wyprowadzono z kościoła — świeży powiew orzeźwia ją nieco.

Do hotelu blisko — można więc pokrzepić siły śniadaniem...

W chwilę potem Danusia pyta:

— Skąd wiesz, Ninko, że oskarżenie przeciwko mnie jest cofnięte?

P. Izalska podaje jej w odpowiedzi depeszę, któ rą dziewczę oblewa łzami szczęścia.

— Cieszę się radością rodziców... szepce wzruszona. —

Poczem zwraca się do starszych:

— Pójdziemy jeszcze do kościoła?

— Naturalnie.. odpowiada p. Wacława — o ile będziesz miała dość sił.

— Muszę je mieć — odpowiada energicznie: — należy podziękować za tę łaskę!

Wstaje — jakkolwiek z trudem — poczem wszyscy udają się do kaplicy — gdzie już trzecia Msza się odprawia...

Radość przepełnia tę małą grupkę pielgrzymów — uszczęśliwiona przedewszystkiem jest Ninka, któ-

ra również ze łzami radości modli się gorąco — jak przedtem błagała narówni z przyjaciółką o zmiłowanie i ratunek dla niewinnie pokrzywdzonej.

P. Izalska widzi, że Danusia ledwie się trzyma Wacława w obawie o siły Danusi, chciała ją zabrać zaraz do hotelu.

Ale dziewczęta proszą chociaż na chwilę przyjrzeć się tym fortyfikacjom, z których bronił Kordecki Jasnej Góry...

— Tu przeczytać Sienkiewicza! — woła zachwycona Ninka — kiedyś muszę to wyprosić u mamusi!

— Dobrze, moje dziecko — odpowiada z uśmiechem p. Lubożedzka — może w czasie wakacji?

— Będziemy nad morzem — ale w końcu, jeżeli mamusia zechce, może parę dni poświęcić, wracając do domu.

— Wprawdzie to nie po drodze — uśmiecha się jej matka — ale czyż nie jest możliwe?

— Mama jest zawsze tak kochana — szepce Ninka, całując jej rękę.

P. Izalska widzi, że Danusia ledwie się trzyma na nogach — proponuje więc powrót do hotelu. Poczem każe jej się położyć.

— Musisz spocząć trochę — sił nabrać przed podróżą — a i lekcje na jutro przygotować.

— Tak! tak!... na jutro! — powtarza uszczęśliwiona — muszę przygotować! — ale chciałabym obejść wokoło te mury...

— Zabrałoby nam to z godzinę czasu! — zrobisz to innym razem — przypuszczam bowiem, że przyjedziesz tu jeszcze podziękować Mateńce Bożej!

— Naturalnie — potwierdza z przekonaniem Danusia: — już to sobie solennie postanowiłam!

— Więc idziemy! — pośpieszny odchodzi stąd o pół do dziesiątej, więc mamy dość czasu, by nań zdążyć, nawet wypocząwszy z małą godzinkę — jest bowiem zaledwie ósma.

Tymczasem zabierają się spowrotem.

Danusię zaraz ułożono na kanapce.

Nieco zaniepokojona p. Wacława mierzy temperaturę, która jednak nie wykazuje nic niebezpiecznego — głowa tylko trochę gorąca.

— Jedziemy więc do domu — oświadcza wreszcie: — tam zaś musisz się dobrze wywczasować. Widocznie jesteś tylko niezmiernie wyczerpana.

Przykłada tymczasem mokry ręcznik do czoła.

— Nie szkodzi — mówi przytem: — a ulży ci bardzo.

Danusia zaraz zasypia, ukołysana pieszczotą i zachętą Ninki.

Powrotna podróż odbyła się bez wypadku — tylko na stacji Głównej Danusia z trwogą zapytała:

— Czy zaraz wrócę do p. Toskiej?

— Ale, skąd takie przypuszczenie! — zaprzeczyła p. Wacława — pojedziesz do mnie: — Krzysia ustąpi ci swoje łóżko, a zadowolni się tymczasem sofą.

Przy pożegnaniu z p. Lubożedzką Danusia tuli się do niej, jak do matki:

— Dziękuję za wszystko... i za Ninkę, że mną się zajęła... ale i pani jestem niezmiernie wdzięczna: — dodała zwracając się do p. Wacławy — niewypowiedzianie!...

Nie protestowała jednak, gdy ją zaraz zapakowano do łóżka — czuła bowiem wielkie osłabienie.

Wkrótce potem wpadła do mieszkania p. Felicja, z urzędowem pismem w ręku.

— Od przełożonej pensji — mówiła szybko: — zawiadomienie Danusi, że może uczęszczać do gimnazjum bez przeszkody.

Dzieweczka zerwała się i pochwyciła kartę.

— Naprawdę! — naprawdę! — wołała uszczęśliwiona, odczytując ją po kilka razy — dzięki ci Matko święta... z Jasnej Góry...

XVIII

STARANIA.

Danusia, wyjeżdżając z Warszawy, miała słuszność, wyrażając się, że Rada Pedagogiczna już się odbyła.

Przełożona bowiem wezwała zaraz po lekcjach wszystkich nauczycieli i nauczycielki i przedstawiła im sprawę Danusi.

Jednak w ocenianiu tego faktu nie znalazła wcale jednomyślności.

Wprawdzie p. Toska ją poparła oraz paru nauczycieli — ale matematyk i francuska sprzeciwili się stanowczo:

— Trudno znaleźć podobnie szczerą i miłą dziewczynkę — dowodziła p. Łucja: — jestem pewna, że to jest prowokacja! — ona się bowiem naraziła klasie, że nie pisuje liścików i nie podpowiada!

Matematyk zaś stwierdził, że niejednokrotnie płatano Danusi brzydkie psikusy — że widział to nieraz, ale nie chciał robić sprawy, wiedząc, że się dziewczynki jeszcze bardziej będą mściły.

Przyczem przytoczył sprawę z umazaniem ławki atramentem i inne wypadki.

Inni z nauczycielstwa również się z tem zgodzili. —

Wreszcie zabrał głos poważny profesor łaciny:

— Obawiałbym się wierzyć naślepo Szymowskiej, która jakoby znalazła książkę z podpisem Skielskiej w łazience. Znam ją. Jestto kłamczuch, i szachraj, jakich mało. Ona jest zdolna do wszystkiego — a Skielskiej nie cierpi! — proponuję sprawę zbadać starannie, nim się załatwi.

— Ale przecież podpis rozstrzyga całą kwestję— upierała się p. Toska — w prawdziwość jego nie można wątpić.

— Proszę mi go pozwolić... widziałem tylko zdaleka.

Otrzymawszy broszurkę, profesor wydostał zeszyt z wypracowaniami łacińskiemi Danusi i porównując litery rzekł:

— Proszę patrzeć: Skielska inaczej zupełnie pisze literę „t" — a podpisała na zeszycie „Danusi" — a przytem i „s" niezupełnie podobne... wcale mi się nie zdaje, aby to kreśliła ta sama ręka...

Inni nauczyciele zaczęli również podzielać jego zdanie, jakkolwiek nie wszyscy.

— Wobec rozbieżnych zdań — ozwała się przełożona — odkładam decyzję do następnego dnia. —

W ten sposób Rada nic nie postanowiła — a p. Toska otrzymała zarządzenie dodatkowo wypytać Danusię, oraz Kazię.

Przełożona zaś na swoją rękę miała zdobyć pewne informacje.

Tymczasem p. Felicja przystąpiła również energicznie do wyjaśnienia sprawy.

Przedewszystkiem postanowiła zbadać Dziunię oraz jej matkę, która na szczęście już powróciła ze szpitala.

Wprost więc z willi udała się do jej mieszkania.

Dziunię oraz jej matkę zastała pogrążone w smutku. Wiedziały już dobrze, iż Danusia oskarżona

jest o rozpowszechnianie przeciwpaństwowych druków i że zato grozi jej wyrzucenie z zakładu.

Powitanie więc odbyło się w przykrym nastroju.

— Pani pragnie ratować tę zacną dzieweczkę — pytała p. Gołąbska — ależ moja córka wie bardzo wiele i obawia się mówić! —

— A dlaczego?

— Związana jakąś przysięgą, czy coś podobnego...

P. Izalska zwraca się do Dziuni:

— Więc pozwolisz, aby niewinna dziewczynka została okryta piętnem hańby i wyrzucona z zakładu — przyczem wzbronione jej będzie prawo wstąpienia do jakiegokolwiek gimnazjum w Polsce!

— Czyżby? — szepce zagadnięta z przestrachem.

— Naturalnie! — gdybyś ujrzała jej rozpacz: — jej łzy gorzkie, nie zawahałabyś się ani chwili, aby ją ratować!

Dziunia zaczyna płakać.

— Co ja zrobię — mówiła z żalem: — przysięgłam na swoje zbawienie, na życie matki... och, nie mogę... nie mogę!

— W takim razie udamy się do proboszcza, nasz czcigodny ksiądz prałat niech zadecyduje — jeżeli ci powie, że masz przysięgi dotrzymać — nie będę cię wówczas namawiała!

Dziewczę się waha.

— Zrób, moje dziecko, jak pani radzi! — któż ci lepiej wyjaśni, jak nie kapłan? — jeżeli nie posłuchasz — będziesz miała wieczne wyrzuty sumienia!

Dziunia się zgadza. —

Pani Felicja zabiera ją ze sobą — i w pół godziny potem już stają przed proboszczem, poczem pokrótce zostaje wyjaśniony cel przybycia.

— Czy mogłabyś swem zeznaniem uratować posądzoną? — pyta proboszcz.

— Tak — szepce Dziunia: — ale inne na tem ucierpią, a ja przysięgłam...

— Opowiesz więc mi ogólnie — na osobności, ja zaś daję ci słowo, że to, co posłyszę, będzie tajemnicą, jak na spowiedzi — potem zaś ci powiem, czy obowiązana jesteś do zachowania przysięgi.

Tymczasem wstaje i ciągnie dalej z powagą:

— Pójdziemy do kościoła — zaniesiemy modły do Boga, aby cię oświecił i natchnął swą łaską — radziłbym jednak, abyś odbyła raczej spowiedź — będziesz wówczas szczerą i bez obawy, że twe tajemnice się wydadzą — a przytem jak wiesz, kapłan na spowiedzi ma władzę zamieniać śluby i postanowienia na inne dobre uczynki.

— Byłoby to dobrze... ale nie jestem przygotowaną...

— W takim razie przygotuj się — przyjdę do kościoła za kwadrans.

Dziunia spowiadała się długo — ze łzami wyznawała swe przewinienia — wreszcie, skończywszy, modliła się serdecznie przed ołtarzem św. Tereni...

Wyszedłszy z kościoła, oświadczyła p. Felicji:

— Opowiem pani wszystko...

— A może odrazu przełożonej pensji?

Dzieweczka spojrzała z pewnem wahaniem.

— Czy ja wiem?... zresztą, jeżeli to ma uratować Danusię... ale w takim razie wstąpimy do mego mieszkania, muszę tam wziąć jedną książeczkę...

Niebawem obie znalazły się w gabinecie przełożonej, gdzie musiały długo czekać, gdyż ta ostatnia konferowała z pewnym panem.

Zaledwie około szóstej godziny interesant wyszedł i można było z nią rozmawiać.

ną karę! — teraz idź do domu — jutro się dowiesz, co cię czeka!

Spóźnione, a nadzwyczajne posiedzenie Rady Pedagogicznej przeciągnęło się do późnego wieczora. Sprawa Danusi nie budziła już wątpliwości. Natomiast trzeba było zająć się Sterlerówną i innemi dziewczętami.

Zaledwie o jedenastej p. Izalska otrzymała urzędowe pismo z podpisem przełożonej i p. Toskiej, że Danusia może nazajutrz zgłosić się na pensję, jako wolna od podejrzeń.

Natychmiast więc wysłała depeszę. Nie chciała jednak opatrywać jej dodatkiem „terminowa".

— Zbudzonoby je w nocy — i poco? zrana, gdy wstawać będą, otrzymają miłą wiadomość.

Z adresem nie miała kłopotu. Jeździły bowiem nieraz do Częstochowy i zawsze stawały w tym samym hotelu. Przytem się umówiły, że w razie gdyby tam nie było miejsca — ze stałego hotelu depeszę przekazanoby według adresu.

Depesza jednak nieco się spóźniła, i zastała już wszystkich w kościele.

XIX.

NIEZASPOKOJONA CIEKAWOŚĆ

— Co się stało z Danusią?

— Podobno chora?

— Mniejsza o nią! — podobno Kazię zwolniono?

— Jakto zupełnie?

— Co tam Kazia! — gorzej jest z Genią i z Kasią!

— A co się stało?

— Czy ja wiem? — mówią... że wyrzucono zupełnie! — Ale nie rób tajemnic! —

— Podobno rewizja była w mieszkaniu jej rodziców!

— Nie może być! — a kiedy?

— Dziś w nocy! — zresztą nie wiem, tak mówią!

— Woźna opowiada, że przełożona dziś całą noc nie spała!

— Podobno w nocy była konferencja?

— I to wszystko musimy zawdzięczać Skielskiej!

— A dlaczego?

— Naplotkowała!

— Lecz ona sama też została wyrzucona!

— Cóż z tego! — dla niej to nie nowina! — ale naszych koleżanek szkoda!

— Ale o co poszło?

Takie pytania krążą w klasie piątej już wcześnie przed pierwszą lekcją. Wszystkie wiedzą coś — wszystkie się denerwują, — nikt zaś nie może dać wyczerpujących odpowiedzi.

Niektóre wybiegają z klasy, aby na korytarzu „zasięgnąć języka“ — inne nawet przed gmach, patrząc pilnie, czy nie idzie jakakolwiek koleżanka, któraby zaspokoiła ciekawość.

Ale i tamte nic nie wiedzą...

A przytem i szósta klasa ma swoją sensację.

Tam również podobno:

— Ondulecka i Meltzówna są zwolnione?!

— Róża nie nazywa się Meltzówną!

— Była jakaś rewizja...

— Rada Pedagogiczna odbyła konferencję późno w nocy...

— Policja kogoś poszukuje?...

Najgorzsze było to, że nie zjawiły się te pensjonarki, o których krążyły nadzwyczajne wieści...

Wreszcie przychodzi Wiśka, jak zwykle dość późno.

Ta również coś słyszała, ale i widziała:

— Danusia wczoraj wyjechała wieczorem w kierunku Krakowa!

— Też coś — krzywi się Ala — wszak rodzice jej mieszkają w okolicy Lublina, czy Chełma...

— Nie mówiłam wcale, że z rodzicami — miałam spotkać swoją ciotkę na stacji Głównej — patrzę: podjeżdża eleganckie auto, a z niego wysiadają panie wraz z niemi i Danusia — była bardzo zapłakana i jakaś zupełnie nieswoja... podtrzymywała ją jakaś dziewczynka...

Dziunia słyszała to opowiadanie — ale nie chciała się zbliżać nawet — wogóle trzymała się dziś zdaleka od wszystkich, udając że bardzo jest zajęta przygotowaniem geografji...

— Nawarzyła piwa — niech też go wypije! — mruknęła jedna z pensjonarek.

— Cicho! — przestrzegła druga: — są takie, które zaczynają iść w jej ślady...

— A, no... przykład bywa zaraźliwy...

Dziunia się rumieni... wie, że wczoraj była zmuszona wyznać prawdę przed przełożoną — wprawdzie uważa, że spełniła obowiązek — ale czy kto w klasie przyzna jej słuszność?

Obawia się Loni...

Trzeba „pecha“, że właśnie wczoraj Grzebiecka szła obok gmachu pensji wówczas, kiedy Dziunia wsiadała do samochodu po skończonem posłuchaniu u przełożonej...

Była z nią jeszcze i koleżanka z klasy szóstej... widziały ją i obrzuciły pytającymi i mocno zdziwionymi spojrzeniami...

A zresztą Róża! — ta będzie napewno miała bardzo ścisłe wiadomości...

Dziewczęta zebrane w grupy zaczynają szeptać, niektóre rzucają spojrzenia na Dziunię...

Lecz ona w dalszym ciągu pilnie powtarza geografję...

Chyba ją będzie umiała na bardzo dobry!

Jakkolwiek jednak obawia się koleżanek, żal jej bardzo Danusi. Wszak jej tyle zawdzięcza!

— Jeżeli nawet Roziemska zauważyła, że to biedactwo takie było spłakane, nieswoje... to naprawdę powinnam była ją ratować... zresztą... kapłan mi wytłumaczył mój obowiązek... i nakazał ...sumienie mam w porządku....

Właśnie wchodzi Lonia.

Naturalnie sypią się zaraz zapytania ze wszech stron — ale i ona nie potrafiła zaspokoić ciekawości...

Zato jej uwaga o Dziuni jest sensacją:

— Nie wiem, co robiła u przełożonej...

Śmielsze atakują Gołąbską:

— Jaki miałaś interes?

— Czy cię wzywała?

— To jest tajemnica... nie byłam sama, jak wiecie...

— Mnie jednak powiesz? — podsuwa się Zenia Kojdecka z filuterną minką — tak na uszko.. bądź pewna, że nie zdradzę!

— W każdym razie ja zasługuję na zaufanie— szepce z drugiej strony Zula Łowiska — u mnie jak w studni! — nikt się nic nie dowie!

— Nie mogę! —

— Zapewne! — uśmiecha się ironicznie Lonia: — miałaś minę wówczas jakbyś była złapana na gorącym uczynku! — czegoś tak szybko zmykała do samochodu?

— Bo i towarzyszące mi panie śpieszyły bardzo..

— Ani trochę! — „potrzebujesz się pomylić!" —, a pamiętasz, jak kiedyś przyjechałaś tym autem do zakładu i stałaś przy nim dłuższą chwilę umyślnie, aby cię widziano! — teraz się wstydziłaś!

— Tak ci się tylko zdaje!

— W każdym razie coś kręcisz!

— Nie byłaby ona przyjaciółką Danusi! — dodaje szyderczo Wiśka.

— Naturalnie! — dobrały się! — może jednak was obie wyrzucą!

Gorycz przejmuje jej duszę.

— Co wam ona zawiniła? —

Dziewczęta zaczynają się śmiać.

— Spadłaś dziś z księżyca!

— Udajesz niewiniątko!

— Przyjechałaś z Honolulu?

— Nas wyrzekłaś się, — a znalazłaś sobie ładną przyjaciółkę!

— Kazia mię sama zdradziła! — broni się dziewczę.

— Tak! — mało to miałaś „rodzonych" koleżanek do wyboru po stracie Kazi?

Już dzwonek—najbardziej oczekiwanych dziewczynek niema...

Matematyka! — to zimny strumień wody na najbardziej zaintrygowane głowy...

W dodatku nauczyciel przychodzi zaraz po dzwonku do klasy!

Dziewczęta rozrzucone po całej sali — rozgorączkowane nadzwyczajnemi wieściami — pobudzone do najwyższego stopnia niezaspokojoną ciekawością— pędzą, co tchu, na swoje miejsca: tłoczą się i przepychają...

Lonia w pośpiechu daje niezwykłego susa — jednak zawadza fartuszkiem o ławkę i rozdziera go

w niemożliwy sposób — Kojdecka zaś, poślizgnąwszy się, rozciąga się na posadzce, jak długa.

Matematyk zatrzymał się — pokiwał głową, i wzruszył ramionami.

Poczem zaczął zwykły wykład — jakby nic się nie stało...

Do tablicy powołał... o złośliwości! — Lonię.

— Nawet wróg najzawziętszy zmiłowałby się — szepce dzieweczka: — a ten umyślnie wyrywa!

Naturalnie o prawidłowym rozwiązaniu zadania niema mowy.

— Roziemska! — pada z wysokości katedry — proszę dopomóc!

Próżne wysiłki! — ani z miejsca!

Cóż może sucha, ścisła nauka znaczyć wobec wybujałej ciekawości, pobudzonej fantazji, niezmiernego zainteresowania się wypadkami nadzwyczajnej wagi?

— Skielska! — rzuca wreszcie z lekkiem nieukontentowaniem.

— Niema w klasie! — odpowiada dyżurna...

— Szkoda! —

Dziewczynki robią wielkie oczy.

Wszak wczoraj była wyrzucona.

Nauczyciel o tem wiedział!

P. Toska ogłosiła przecież o tem w klasie!

Serce Dziuni zabiło radośnie:

— Ach, więc do nas wróci!...

Inna pensjonarka ją zastępuje przy tablicy.

— Cóż to jesteście dziś obecne, a nieprzytomne? — pyta wreszcie matematyk — wszak podobne zadania rozwiązywałyście na poprzedniej lekcji, i nie było dla was nic trudnego? — spodziewałem się, że nawet słabsze uczennice dadzą sobie radę!

— Bo dziś jesteśmy zdenerwowane nieobecnością kilku koleżanek.. mówi Ala Blatowska.

— Aż tak dalece, aby stracić możność logiczne-

go myślenia? — więc mamy dziś przez to zmarnować sobie godzinę? — popsuć ocenę na rocznem świadectwie ?

— Proszę nam powiedzieć, co się z niemi stało... wówczas przyjdziemy do jakiejkolwiek równowagi.

— Jeszcze sam dobrze nie wiem... brzmi sucha odpowiedź, — przynajmniej co do wszystkich — zresztą, jak sobie kto pościele, tak się wyśpi... w każdym razie nie czas na próżne żale — co się stało — to nie wróci, — a czasu nie możemy marnować, gdyż inaczej poproszę przełożonej, aby piątej klasie dodała dziś szóstą lekcję matematyki.

— Mamy dziś sześć...

— Nic to — będzie w takim razie siódma.

Taka uwaga skutkuje — dziewczynki wiedzą, że t. nie są próżne strachy. Przytem do tablicy idzie jedna z lepszych w tym przedmiocie: Ala Blatowska, która nieźle wywiązuje się z zadania.

Po lekcji śmielsze opadają nauczyciela:

— Co się stało z Kazią Szymowską?

— A co z Orzajską i Krzypczykówną?

— Ze Skielską?

Po lekcji matematyk nie jest zwykle tak „zawzięty“, można porozmawiać — nawet pożartować...

— Ze Skielską — powtarza z nastroszoną miną — nie wiem, co jej przeszkodziło przyjść do klasy — chyba jest chora...

Poczem odwraca się i wychodzi z sali. —

A ciekawość jeszcze więcej przezto jest pobudzona.

— Słyszycie? — więc Skielska wróci! — krzyczy Wiśka, — a o Kazi, ani słowa!

— Można oszaleć! — wydziera się Zenia Kojdecka. —

— Zapytamy naszą wychowawczynią — radzi Łowiska. —

— Ba, kiedy jej nie widać dziś wcale!

Tymczasem wchodzi do klasy panna Łucja.

— Dlaczego nie wychodzicie? — już dawno po dzwonku. —

Zaraz ją opadają ze wszech stron. —

Znów sypią się zapytania przymilne, natrętne, błagalne...

— Żal mi Danusi — odpowiada nauczycielka — podobno chora — o innych nie mogę mówić narazie... tajemnica... szkoda dziewczynek, ale cóż poradzę, same sobie piwa nawarzyły... mimo to wychodźcie z klasy — nie wolno się tu znajdować w czasie przerwy...

Ciekawość więc dziewcząt narazie nie była zaspokojona, — a to tembardziej je pobudziło.

Lonia Grzebiecka nie mogła wytrzymać.

Pod pozorem bólu zębów zwolniła się na trzecią lekcję...

Pozostałe z niecierpliwością wyglądały jej powrotu...

Wróciła jednak w czasie czwartej — która już się kończyła.

Wiadomości jednak nie były pocieszające...

Wpadła tylko do Kazi, która mieszkała najbliżej i do Jaśki Wrockiej. —

Jednak tej ostatniej nie zastała w domu.

Matka zaś zapłakana nic nie chciała wyjaśnić...

Kazia zaś zła, nieprzystępna, burknęła na powitanie jakieś przekleństwo...

— Co się stało? — zapytała niezrażona Lonia — dlaczego nie zjawiłaś się w szkole?

— Wszystko to przez tę podłą Skielską! — wybucha zagadnięta — zato, żem odniosła jej książkę przełożonej, zostałam wezwana przez tę ostatnią do gabinetu o godzinie ósmej wieczorem — kiedy właśnie był czas iść do kina — tam mię badała i p. Płochocka i wychowawczyni, jakoby o jaką zbrodnię..

— Żeś książkę odniosła? — dziwi się Lonia. —

— Chyba nie ogłuchłaś! — najwięcej mi żal kina! — ostatnie przedstawienie po zniżonych cenach! — takie pyszne obrazy! — takie nadzwyczajne przeżycia!

— Więc o książkę cała awantura? — dopytuje się Grzebiecka.

— Tak, jak słyszysz! — ze złością odpowiada zagadnięta — nie wolno nawet tknąć książki jej wysokości panny Skielskiej, która się przyjaźni z hrabiankami!

— Nie rozumiem! —

— Ja zaś jeszcze mniej! — badano mię z pół godziny — poczem przełożona oświadczyła, że nie mogę przyjść do klasy, aż Rada Pedagogiczna zadecyduje o takiem strasznem przestępstwie!

— No, wiecie co!? — tego się nigdy nie spodziewałam! — cóż to? — czy Skielska jest jaką królewną z... krainy Botokudów, czy jej książki są zarażone!

— Chyba to drugie! — bo tę książkę obracano na wszystkie strony — zaglądano... przecież Skielską wyrzucono z pensji! — może się raz to skończy!

— Mylisz się! — panna Łucja oświadczyła, że ona nie przyszła dlatego tylko, że jest chora!

— No, to się świat kończy! — a sprawiedliwości za grosz niema! — teraz już zupełnie nic nie pojmuję...

— Nie wiesz, co się dzieje z Jaśką i z innemi dziewczętami, o których również chodzą pogłoski, że są usunięte czasowo z lekcji?

— Każda tyle wie, co i ja! — badają, pytają robią rewizje...

— Może u ciebie także?

— Nie — przeprowadzono ją w mieszkaniu Róży... ona się nie nazywa Meltzówna...

— Naprawdę?

— Tak! — wczoraj podobno przyjeżdżała przełożona tej pensji, gdzie ona się wprzód uczyła i poznała ją...

— A cóż się stało z Różą?

— Znikła, jak kamfora.. .nikt jej nie może znaleźć — nawet policja, która ją podobno poszukuje bardzo gorliwie!

— Zaczynam rozumieć!

— Ale ja nic nie pojmuję!

Tymczasem Kazię zawezwał ojciec do siebie. Dziewczynka się zerwała i rzuciła krótko:

— Dowidzenia! — To jest nieszczęście! — rodzice mi zapowiedzieli, że o ile mię z pensji przełożona wyrzuci — zabiorą mię do sklepu, gdzie będę sprzedawała jarzyny...

— To byłaby katastrofa! — zawołała Lonia.

Ale już Kazi nie było...

Wiadomości, przyniesione przez Lonię, zelektryzowały pensję. Krzyczano, dyskutowano, szeptano— wyciągano domysły, podejrzenia — tworzono na prędce fantastyczne plotki...

Najwięcej się dziwiono, że Danusia nie ponosi kary!

— Książka z jej podpisem, rewizja u Róży — a ona wolna?

— Widocznie ma fory u przełożonej!

— I zapewne nadzwyczajne!

Ale Wiśka była przeciwnego zdania:

— Zdradziła Różę i nasze koleżanki!

— To więcej niż pewne!

— Tylko w ten sposób się uratowała!

Plotka ta znalazła ogromny posłuch. Tembardziej, że już był przygotowany do niej grunt przez Lonię.

Obsypywano więc ją wymysłami.

Zaczęto robić postanowienia bojkotu klasowego — planować zemstę...

— Ale i Dziuni nie zapomnijcie! — syknęła Wiśka — ta poczciwa przyjaciółka tyle samo warta, co Skielska!

— Ale ona nasza... od dawna! — próbowała ją bronić Ala Blatowska.

— To gorzej: nasza i zdradza! — powinna znać prawa koleżeńskie!

Po dzwonku, a jeszcze przed nadejściem — nauczycielki Wiśka ogłosiła:

— Jeżeli jutro od pierwszej przerwy Dziunia nie usprawiedliwi swego postępowania: — będzie uważana za współwinną w zdradzaniu koleżanek i poniesie zasłużoną pogardę klasy!

Dzieweczka zadrżała, ale nim zdołała cokolwiek odpowiedzieć, nauczycielka weszła do sali.

XX

DWIE WIZYTY

Następny dzień nie przyniósł zupełnego wyjaśnienia sprawy.. dla zainteresowanych dziewcząt.

Posiedzenie Rady nie odbyło się — a przynajmniej nie podobna było się dowiedzieć o tem nic pewnego.

Wszystkie jednak już wiedziały, że Róża „znikła jak kamfora bez pieprzu“, — że w jej mieszkaniu policja robiła rewizję, — że nic tam nie znaleziono.

Dziunia siedziała cicho — oczekując z niecierpliwością, czy nie przyjdzie Danusia.

Ale napróżno biegła wzrokiem ku drzwiom, kiedy wchodziły koleżanki...

Wreszcie wpadłą do klasy, jak bomba, Zenia Kojdecka.

— Czy wiecie, co się stało? — nasza przełożona jeździła odwiedzić Skielską, która podobno jest bardzo chora?

— To niesłychane! — chyba blagujesz! — zawołała Wiśka ze złością.

— Bajesz! — śmiała się ironicznie Lonia Grzebiecka.

— Dziś nie mamy prima Aprilis!

— Wcale nie blaguję! — zaperzyła się Zenia:— jeżeli jednak mi nie wierzycie — nic więcej nie powiem.

— Ależ wierzymy tylko, że tak nieprawdopodobne wiadomości...

Kojdecka się nadąsała.

— Jeszcze nie powtórzyłam geografji! — mruknęła, udając się do swojej ławki.

— Poco się gniewasz? — mówiła pojednawczo Zula Łowiska: — jeżeli one nie chcą wierzyć, to powiedz mnie...

Dziunia zbladła na tę wiadomość i podbiegła do Zeni:

— Mnie powiedz! — prosiła — nie żartowałam z ciebie wcale!

— Więc jak to było? — może przełożona odwiedzała p. Toską i przy sposobności weszła do pokoju Skielskiej? — pytała Zula.

— Nic podobnego! — Danusia teraz nie znajduje się wcale u naszej wychowawczyni, a przebywa u znajomych... i tam właśnie była p. Płochocka! — podobno ją całowoła i serdecznie wypytywała o zdrowie, o rodziców i tak dalej!

— A cóż jest Skielskiej?

— Nie wiem... podobno tak bardzo się przejęła tem, że ją posądzono fałszywie o podpisanie książki, której nigdy w ręku nie miała...

— Tak! — to prawda... wyrwało się z ust Dziuni.

— Ech, ja w to nie wierzę, aby można było z takiego błahego powodu zachorować! — wtrąciła lekceważąco Wiśka, która się tymczasem do nich przysunęła: — jej się nie chce przychodzić do klasy, skąd została sromotnie wypędzona! — paniusia! — arystokratka! — obrazili ją — i muszą przeprosić!

— To być może! — lub też nie zjawia się z obawy, że zbyt wiele doniosła o naszych koleżankach, przezco zostały usunięte z pensji!

— Masz rację! — zawołała Kazia Szymowska, wbiegając do klasy — słyszałam na korytarzu twoje wywody i podzielam je najzupełniej!

Wszystkie rzuciły się zaraz do Kazi:

— Jak dobrze, iż przyszłaś! —

— Tak przykro było bez ciebie!

— Dlaczego nie byłaś wczoraj?

— Ach, czy można na wszystkie pytania wam odpowiedzieć? odrazu? — śmieje się Szymowska — nie byłam, bo się do mnie przyczepiono o mały drobiazg — teraz zaś przychodzę, gdyż uznano mię za zupełnie niewinną!

— A któż winien?

— Naturalnie Skielska, która narobiła plotek!— cała ta sprawa nie warta funta kłaków, — a przez nią zrobił się skandal!

— W każdym razie słyszałam, że Skielska jest chora! — upierała się Zenia.

— Od kogo taka wiadomość? — pytała drwiąco Kazia.

— W naszej kamienicy, jak wiadomo, mieszka młodsza woźna z pensji... ona zaś to słyszała od przełożonej...

— Ech, czy zawsze jej można wierzyć...

— Kłamstwo jednak trudno jej zarzucić! — oświadczyła Ala Blatowska: — zwykle dobrze jest poinformowana!

— W takim razie Danka ma fory! — wtrąca Wiśka.

— Nadzwyczajne! — drze się Zenia.

— Nie spodziewałam się tego nigdy! —

— I zaco? —

— Za języczek! — drwiła Kazia.

— Za wsypywanie koleżanek! — stwierdziła Grzebiecka.

Lekcja wprawdzie przeszkodziła gawędom — ale następne przerwy były poświęcone również tym samym tematom.

Zlekceważono zupełnie wiadomość Zeni o chorobie Danusi, — nie wierzono wcale wyjaśnieniom o jej przyczynie, bo rej wodziła teraz Kazia — tembardziej, że była poszkodowana — że jej wczoraj ogólnie żałowano...

Pod jej przewodnictwem ogłoszono wyrok Dziuni, że wykluczają ją z koleżeństwa klasowego.

— Jeżeli tylko wychowawczyni będzie o tem wiedziała, wówczas nigdy ci nie darujemy!

Dziunia nie mogła się bronić — ponieważ niedawno odbyła szczerą spowiedź, — nie chciała więc kłamać, — pobudek zaś nie mogła wyjawić...

Ze łzami więc przyjęła wyrok — postanawiając sobie, że na przyszły rok przeniesie się na inną pensję.

— A jutro nie przyjdę, dużo mam w domu szycia, które muszę ukończyć: mama nie może jeszcze wcale pracować, przytem muszę wpaść do Danusi...

Położenie jej rzeczywiście było bardzo przykre: — od chwili wyroku nie podeszła do niej żadna dziewczynka, tembardziej, że nie było i Tereni — żadna nie przemówiła ani jednego słowa, — a wszystkie od niej ostentacyjnie się odwracały.

— W każdym razie będę miała Danusię — bo niema wątpliwości, iż one i ją również wykluczą...

Jakkolwiek woźna, od której Zenia dowiedziała się niektórych szczegółów o Danusi, umiała niekiedy zrobić ploteczkę — mimo to w danym wypadku powiedziała prawdę, że przełożona odwiedziła swoją uczennicę.

P. Płochocka od początku tej przykrej sprawy żałowała Danusi. Znała ją jako pilną i staranną uczennicę, ceniła w niej dobre serce — ale wobec wyraźnego dowodu winy nie mogła inaczej postąpić i musiała usunąć z pensji. Odżyły w niej wówczas wszystkie podejrzenia, jakie dawniej miała przeciw Danusi, a które nieraz podsycała p. Toska.

Kiedy się jednak dowiedziała, że dzieweczka tak bardzo odczuła usunięcie z pensji, — że nawet omdlała na korytarzu, — żal jej było jeszcze więcej. —

Ale nie miała narazie innego wyjścia.

— Trudno — powtarzała sobie: — obowiązek spełnić muszę. —

Zeznanie Dziuni ucieszyło ją bardzo — jakkolwiek nie pokazywała tego po sobie — przedewszystkiem dowiedziała się, w jaki sposób można będzie wyświetlić całą sprawę.

Wezwała więc zaraz Kazię i Genię do siebie, — a tymczasem przybyła i p. Toska.

Ta ostatnia jednak nie podzielała zdania przełożonej.

— Kto wie, czy p. Izalska niema łączności z tajną organizację i dlatego broni Skielskiej? — Gołąbską mogła sobie zjednać, zaprosiwszy do swej willi i obdarowawszy prezentami! —

— Ale za Danusią świadczyła i p. Albecka — pani sąsiadka!

— Ciekawe... szepnęła zdumiona wychowawczyni.

Po zeznaniu Kazi — a wreszcie Geni — nietylko przełożona, ale i nauczycielka przekonały się ostatecznie o niewinności Danusi.

— Fatalna omyłka! — powtarzała p. Toska — nie rozumiem, jak mogłam tak się dać oszukać!... należałoby Skielską o tem powiadomić... niestety, podobno wyjechała...

— Dokąd? — zapytała żywo p. Płochocka.

— Nie mogłam się dowiedzieć; podejrzywałam, że ją ukryto przed dalszem badaniem, przekonywam się jednak, że ta biedna dziewczyna naprawdę była zrozpaczona...

— I pani twierdzi, że wyjechała? — powtarza przełożona: — to przykre — gdyż zapewne udała się do rodziców. —

— Naprawdę mi jej bardzo żal! — pani pozwoli, że się udam zaraz do pp. Izalskich i przedstawię całą sprawę...

— To niemożliwe! — zaraz się zbiera Rada Pedegogiczna, gdzie obecność pani jest koniecznie potrzebna!

P. Toska była niepocieszona. — Ale i przełożona również zmartwiła się bardzo.

Pamiętała więc, aby po skończonem posiedzeniu natychmiast zawiadomić pp. Izalskich, że Danusia uznana została za zupełnie niewinną.

Nazajutrz dowiedziała się, że ona jeździła do Częstochowy i wróciła chora.

Postanowiła więc ją odwiedzić.

Znaleźć adres było dziełem jednej chwili. P. Felicja miała telefon w mieszkaniu — wystarczyło więc tylko poszukać w księdze abonentów.

P. Izalska zdziwiła się mocno, gdy ją ujrzała w swoim saloniku.

— Jak się ma Danusia? — pytała przełożona:— podobno bardzo chora?

— Lekarz określił, że narazie nie widzi nic groźnego — odpowiedziała zagadnięta — a tylko wielkie wyczerpanie nerwowe po przebytych moralnych katuszach.

— Żal m ijej bardzo... stała się omyłka; — chciałabym ją ujrzeć...

— Proszę panią!

Z temi słowami powstała i uchyliła drzwi sypialni.

Danusia leżała na łóżku — z oczami przymkniętemi — obok niej siedziała na małym stołeczku Ninka i czytała półgłosem zajmującą książkę. Opodal zaś znajdowały się przyjaciółki: Krzysia, Cesia i Terenia.

Ta ostatnia zmieszała się bardzo na widok przełożonej i zerwała się z krzesła.

— Śpi? — zapytała szeptem p. Płochocka. —

— Nie... odrzekła jej Ninka, wstając z ukłonem. Nie znała wprawdzie przybyłej — ale się domyślała, że chyba jest osobą znaczną, kiedy p. Izalska ją poprosiła do chorej.

Danusia otwarła ociężale oczy. —

Wyraz zdumienia i strachu odbił się na jej bladej niezwykle twarzy.

Drgnęła i chciała się podnieść.

Ninka jednak na to nie pozwoliła, kładąc rękę na ramieniu.

Jednocześnie p. Płochocka zaczęła żywo:

— Leż, moje dziecko — nie wstawaj! — przyszłam ci tylko zakomunikować miłą nowinę, że Rada Pedagogiczna uznaje całkowicie twoją niewinność i przywraca wszystkie prawa!

Blady uśmiech zjawił się na ustach dziewczęcia.

— Dziękuję... niech mi pani wierzy, iż nigdy nie wystąpię... przeciw Ojczyźnie...

— Wierzę ci — i ufam całkowicie!

Przy tych słowach pochyliła się nad chorą i ucałowała serdecznie.

— Tylko się nie wzruszaj kochanie — dodała — leż spokojnie i o niczem nie myśl — nawet gdybyś nie mogła do końca roku zjawić się na pensję. otrzymasz świadectwo promocji do szóstej klasy — gdyż nato zasłużyłaś swoją nauką i pracowitością!

— Dziękuję... jeszcze raz...

— Posiedziałabym dłużej przy tobie — ciągnęła przełożona — ale nie chcę ci mącić spokoju — który ci tak bardzo teraz potrzebny — ale gdy tylko wyzdrowiejesz, przyjdziesz do mnie do mieszkania. Będę bardzo ci rada.

Znów się pochyla i całuje jej twarz.

— Dowidzenia, Danusiu! — szepce.

— Dowidzenia — powtarza dziewczę, jak echo.

W duszy ma radość.

— I ojczulek i mama ucieszą się, gdy dowiedzą... bo z zarzutów oczyszczona i promocja jest pewna... i miły stosunek zawarty z przełożoną...

— Dzięki Ci, Matko Święta...

Przełożona wyszła, żegnana ukłonem obecnych, a Ninka pyta:

— Kto to był?

— Nasza przełożona — podchwytuje Terenia.

— Bardzo to zacnie z jej strony — szepce Krzysia —

— Ale ja się obawiam — wtrąca Terenia — nie byłam dziś na pensji...

— Szkoda, żeś nie przeprosiła — zresztą wybiegnij do saloniku — jeszcze tam się znajduje!

Terenia słucha dobrej rady.

Staje we drzwiach z ukłonem.

— Czego sobie życzysz? — pyta p. Płochocka.

— Przepraszam panią... dziś nie byłam na pensji, pragnęłam być przy Danusi...

— Dobrze — powie:.ı p. Toskiej, że jesteś usprawiedliwiona — i owszem póki Danusia będzie chora, możesz, co drugi dzień lekcje opuścić. Uczysz się starannie, więc nic tobie to nie zaszkodzi.

Dziewczę dziękuje — poczem odchodzi.

Przełożona zabawiła jeszcze z pół godziny. Skarżyła się, że teraz ma wiele zmartwienia z powodu tej smutnej sprawy.

— Dziwne, jak mogła Sterlerówna tak się sprytnie maskować, tak się wkraść w łaski — a jednocześnie obrzucać podejrzeniami i oskarżać niewinne dziewczęta!

— Złe wychowanie domowe — podaje przyczynę p. Izalska.

— Jak się okazuje z zeznań jednej z moich uczennic, Orzajskiej, ona tu podobno umyślnie wstąpiła na pensję, aby się zemścić na Danusi! —

— Naprawdę? — to ciekawe!

Najwięcej mi przykro, że niektóre moje nauczycielki tak się dały wprowadzić w błąd — naprzykład p. Toska, co tyle lat już pracuje na polu szkolnictwa, także uwierzyła w dobre intencje tej przewrotnej dziewczyny.

— Widocznie była to mistrzyni udawania!

— Nieinaczej — ale większość nauczycielstwa nie miało jednak do niej zaufania — naodwrót Danusia pozyskała u wielu serca — niektórzy są naprawdę zmartwieni jej chorobą, a przedewszystkiem niesprawiedliwem posądzeniem.

— Mam do pani prośbę — zaczęła p. Wacława: — czy nie byłoby możliwe, aby Danusia u mnie zamieszkała do końca roku szkolnego?

— Ależ naturalnie! — nic nie będę miała przeciw temu! — wprawdzie będzie to nieprzyjemnie p.

Toskiej, że się na niej tyle czasu nie mogła poznać — ale prośbom pani nie mogę odmówić!

— Wdzięczna jestem bardzo — Danusia bowiem przyszedłszy do zdrowia będzie przez pewien czas potrzebowała starannej opieki — a przytem serdecznego stosunku, jakie tu ma z przyjaciółkami, — a to wpłynie bez wątpienia na poprawę zdrowia.

— Ponieważ zaś ufam jej teraz zupełnie, nie mam nic przeciw zamieszkaniu jej u państwa — przyznam się, że z początku jej się obawiałam, i dlatego postawiłam jako warunek, że musi znajdować się na stancji jednej z moich nauczycielek.

— Nie tyle mi przyjemnie, iż pani zezwala na mieszkanie u mnie, jak zapewnienie, iż ufa Danusi — dla niej to będzie prawdziwym balsamem, który ją postawi na nogi.

Niebawem panie się pożegnały — a p. Wacława udała się do pokoju, gdzie przebywała Danusia, chcąc jej zakomunikować nową miłą wiadomość.

Ale dzieweczka spała.

Lekki uśmiech na ustach świadczył, że sen ma spokojny i pokrzepi ją znacznie.

Wizyta przełożonej była naprawdę jakby balsasem kojącym dla duszy skołatanego przejściami dni ostatnich dziewczęcia.

Ale najwięcej wpływała na nią jej przyjaciółka najserdeczniejsza — Ninka. —

Umiała przemówić — umiała uspokoić — nie tyle może słowami, jak czarem swych oczu, gdzie słodycz łączyła się z mocą — a współczucie z ufnością i wiarą w prędki powrót do zdrowia:

Tak było i wówczas, kiedy przełożona pożegnała Danusię:

— Widzisz, jak cudne przed tobą ukazuje się życie — jaka radosna przyszłość! — szeptała Ninka przyjaciółce, patrząc nań swemi promiennemi ocza-

mi: — wrócisz na pensję z chwałą, otoczona miłością nikt cię już nie będzie podejrzewał, ani wyśmiewał... sama przełożona będzie cię broniła!

— Ach, gdyby nie to zmęczenie okrutne... brak sił, odpowiada dziewczę — poszłabym nawet i jutro...

— Trzeba więc zasnąć, a spać długo i spokojnie...

— Nie chce mi się...

— Ale na moje prośby to zrobisz... prawda? — czy ci kiedy źle radziłam?

Danusia uśmiecha się.

— No, już! — śpimy! — a prędko, bo szkoda pięknego czasu! — kiedy się obudzisz, zaraz będziesz rzeźwiejsza! —

I dziewczę zasnęło... z uśmiechem na twarzy — ze spokojem w duszy...

Bo sobie powiedziała:

— Trzeba posłuchać.. boć to prosi — moja ukochana Ninka...

P. Wacława więc musiała czekać, a potem odeszła, gdyż sen Danusi przedłużał się...

Dziewczęta tymczasem wzięły się do odrabiania lekcji w sąsiednim pokoju — a jedna na zmianę czuwała przy chorej.

A ona wciąż spała, — aż zaledwie przed kolacją się obudziła.

Czuła się istotnie rzeźwiejszą.

— Czy mi się śniło, szepnęła z pewnem niedowierzaniem, przecierając ponownie oczy — że była tu przełożona pensji...

— Wszystkie to możemy zaświadczyć! — upewnia Krzysia — oświadczyła ci, że Rada Pedagogiczna stwierdziła całkowitą twoją niewinność!

— Ach... prawda! — więc to było na jawie! — sądziłam, że tylko się śniło!

Tymczasem p. Izalska, posłyszawszy rozmowę, wchodzi do pokoju ze słowami:

— Ciesz się, Daneczko, bo przełożona pozwoliła ci po wyzdrowieniu nie wracać na mieszkanie do p. Toskiej.

— Naprawdę? — pyta zdumione dziewczę — a gdzież więc będę mieszkała?

— U nas! — woła radośnie Krzysia — już się o to spieramy! —

— Gdyż ja chciałabym cię zatrzymać u siebie, a ta niedobra Cesia...

— Proponuje wziąć cię do mieszkania p. Marcelostwa — bo najwięcej tam pokoi...

— A moja mama pragnęłaby widzieć cię u nas— kończy Krzysia, — będziesz więc musiała ciągnąć węzełki!

— Naprawdę tak przełożona zadecydowała? — szepce pełna jeszcze niewiary Danusia.

— Czyż mogłabym cię zwodzić nadaremnie! — jutro już poślemy po twoje rzeczy i książki do p. Toskiej!

— Jakże się cieszę! — to istotnie najmilsza dla mnie wiadomość! — i ręczę, że to na prośby pani!

— Oczywiście..

— Nie wiem, jak pani mam dziękować... już chyba zanadto dobrzy dla mnie jesteście.. szeptała dzieweczka, ze łzami w oczach.

— Tylko nie płacz, Danusiu! — zawołała Ninka, podbiegając do niej — złe minęło! — a dobrem się nie przejmuj nadto, — bo ci potrzeba spokoju!

Nazajutrz jednak, nim przywieziono rzeczy Danusi od p. Toskiej — wychowawczyni sama wraz z p. Łucją Krzewelską odwiedziła swą uczennicę.

— Nie miej mi za złe — mówiła do dziewczęcia z wielką serdecznością — nie miej za złe, że do

ciebie odnosiłam się z nieufnością — parę razy bowiem otrzymywałam listy, które przynosiły mi zapewnienia, że wcale nie zaprzestałaś przeciwpaństwowej roboty... — obawiałam się o moje dziewczynki... niestety zło przyszło z innej strony... zgubiło mi Genię, Kasię, które wychowywałam od pierwszej klasy... zatruwało i Dziunię, którą ty uratowałaś... i Jaśkę i inne dzieweczki — i naprawdę teraz mi szczerze żal, iż nie ufałam tobie...

— Tak się wszystko dobrze dla mnie skończyło — odpowiedziała jej Danusia: — że zapomniałam już o tem, co minęło...

— I teraz cię rozumiem dobrze! — ganię zaś siebie, że nie umiałam wówczas dowiedzieć się o Róży od ciebie więcej szczegółów, kiedy mówiłaś ze mną o niej z taką niechęcią — że nie zaczęłam patrzeć na tę przewrotną dziewczynę krytycznie i bacznie, — a w ten sposób sama mogłabym ją złapać na nieszlachetnej robocie!

— Ja zaś dałam słowo, że milczeć będę...

— Tak — i dopóki nie przekonałaś się, że ona się nie poprawiła, czułaś się zobowiązaną — trudno— stało się! — a tylko przezto, że byłam do ciebie uprzedzona! — teraz jednak ci ufam bezwzględnie...

To mówiąc złożyła na jej policzku pocałunek serdeczny.

— Dziękuję pani... szepnęła rozrzewniona dzieweczka...

Przybyłe nauczycielki pogwarzyły z Danusią czas dłuższy, bo ona czuła się już teraz znacznie lepiej, przyczem p. Toska wyraziła żal, że przestaje u niej mieszkać.

— Teraz właśnie, kiedy stosunki między nami stałyby się zupełnie inne — ale nie protestuję — owszem cieszę się, że będziesz przebywała wśród swych serdecznych przyjaciółek.

Żegnając się wreszcie, oświadczyła:

— Odsyłając twe rzeczy, załączyłam ci obrazek z twego pokoju, który ci się tak bardzo podobał — chcę ci zrobić pamiątkę — a jeżeli pobyt u mnie nie należał do najnieprzyjemniejszych w życiu — to sobie przypominać będziesz, że wszystkie przykrości przeze mnie ci wyrządzone, podyktowane były troską, o dobro powierzonych mi uczennic. Zawsze chciałam tylko dobra naszej Ojczyzny!

Poczem dodała ciszej:

— Zrozumiesz to kiedyś, gdy będziesz miała powierzoną sobie młodzież...

— Proszę pani... rozumiem i teraz — a bardzo wdzięczna jestem za pamiątkę!

Ale i ta wizyta nie została w tajemnicy przed wszystko wiedzącą Zenią Kojdecką.

Już nazajutrz zrana wpadła do klasy, obwieszczając nowinę:

— P. Toska wraz z mademoiselle odwiedziły Skielską!

W klasie zawrzało:

— Cóż to, ona śmiertelnie chora?

— Wszyscy nauczyciele będą ją odwiedzali?

— Czy ona jest hrabianką, czy księżniczką?

— W każdym razie tego już zawiele!

— Niesłychane!

— Zdawałoby się, że kiedy Skielska zaledwie tylko przyjaźni się z pewną hrabianką — to nie jest racja, aby takie jej czynić honory — cedziła słowo po słowie Kazia.

— Poślij jej Kielowskiego! — rzekła zjadliwie Zenia — zaraz wyzdrowieje!

— Nie utrzymuje z tym panem stosunków! — odpowiedziała jej pogardliwie Szymowska — może mię wyręczysz?

I zaczęły się kłócić na dobre.

Ale inne dziewczynki interesowały się dalej Danusią. Niektóre zaczęły jej żałować:

— Nigdy nie odmówiła pomocy we francuskiem tłumaczeniu — a posiadała dobrze ten język... rzekła ze smutkiem Lonia Grzebiecka.

— I z łaciny można było od niej skorzystać. —

— A nawet z matematyki! —

Zakrzyczały jednak je głosy przeciwniczek:

— Na lekcji nic nie pomogła!

— Siedziała, jak głucha i niema!

— Ani szepnęła, aby uratować koleżankę!

— Egoistka!

— Sobek — bezwzględny!

IXX

PRZEŁOŻONA

Tymczasem Danusia, otoczona serdeczną opieką, — kochającemi istotami powracała szybko do zdrowia.

Już na drugi dzień po wizycie swoich nauczycielek poraz pierwszy wstała z łóżka — nazajutrz zaś lekarz pozwolił jej wyjść na przechadzkę, — a w parę dni potem wybrała się na pensję.

Odwiozła ją p. Wacława.

Naturalnie udała się wprost do gabinetu przełożonej.

P. Płochocka przyjęła obie z wielką życzliwością. Danusię zaś wypytywała troskliwie o stan zdrowia.

— Niejedna skorzystałaby z mego słowa. — mówiła żartobliwie — i nie pokazałaby się do końca roku szkolnego! — poco się bowiem narażać na niedostateczne oceny!

Po krótkiej rozmowie, Danusia udała się do klasy.

Zdziwiła się jednak, — gdyż nikt nie chciał jej odpowiadać na powitanie. —

Tymczasem podbiegła do niej Terenia i Dziunia.

— Nie chciałyśmy cię smucić — szepnęła ta ostatnia — ale wszystkie koleżanki postanowiły nas bojkotować...

— Ach, wiem dlaczego! — odpowiedziała z żalem Danusia: — cóż robić... rok szkolny kończy się w przyszłym tygodniu...

— My również to sobie powtarzamy — dodała Terenia: — w Warszawie jest niejedna pensja!

— Moja mama już zapewniła miejsce w miejskiem gimnazjum na rok przyszły! — oświadczyła Dziunia.

— A z mieszkania ciotki jest tu zbyt daleko — wyjaśnia Terenia.

— Ja zaś przechodzę do szkoły, gdzie się uczą moje przyjaciółki — dokończyła Danusia, wybiegając z klasy.

Na korytarzu spotyka p. Toską.

Wychowawczyni wita ją również z radością.

— Czy mogłabym panią prosić, by nas umieściła razem: Terenię i Dziunię...

— Na jednej ławce? — uśmiecha się nauczycielka — tak dobrze nie będzie — ale możesz usiąść z Terenią — a Dziunię umieszczę na sąsiedniej ławce.

Zaraz weszła do klasy i wydała odpowiednie zarządzenie.

Gołąbską zaś ulokowała z tyłu za Terenią.

— Będziecie mogły sobie podpowiadać — żartowała — ale to niedługo, bo koniec roku bardzo bliski.

Koleżanki przyjęły te zarządzenia z widoczną niechęcią, a niektóre z wyraźnymi objawami złości.

Dzwonek jednak nie pozwala tego ujawnić, tembardziej, że zaraz do klasy wchodzi p. Łucja.

Spostrzega Danusię przy sprawdzaniu listy.

— Ach, jak dobrze! — mówi rozpromieniona: — wreszcie cię znów oglądamy!

Zajęta jednak kontrolą obecnych, nie zwraca uwagi na złośliwe szepty i wygrażania.

Do uszu Danusi dolatują słowa:

— Skarżypyta!

— Lizus!

— Hańba jej!

— Precz z klasy!

— Bezczelna plotkarka!

— Obleśna żmija!

Ale te ostatnie słowa nie uchodzą już uwagi p. Krzewelskiej.

Marszczy brwi:

— O kim mowa? — pyta sucho.

Dziewczęta milkną natychmiast, przybierając obojętne miny.

— Jeżeli będziecie się kryć — będę musiała wyciągnąć z tego konsekwencje.

Milczenie.

— Roziemską zapisuję do dziennika! — słyszałam wyraźnie jej słowa.

— Proszę pani... wytłumaczę na pauzie...

— Zbyt głośno wyrażałyście się — aby nie słyszało przynajmniej pół klasy — wobec tego niema potrzeby się wykręcać: — zresztą — zgadzam się...

Spojrzała przytem na Danusię, w której oczach zaperliły się łezki.

— Czy Skielska może dziś odpowiadać? — pyta ją zaraz.

Dzieweczka wstała z ukłonem.

— Opowiesz mi treść zadanej na dziś powiastki.

Nie robi to Danusi kłopotu, gdyż przerabiała to Tereni i Dziuni.

Wywiązuje się więc bez zarzutu.

— Très bien... (bardzo dobrze) — może będziesz tak uprzejma i przyniesiesz mi z gabinetu nauczycielskiego mój podręcznik francuski...

Dzieweczka śpieszy wypełnić polecenie.

— Umyślnie ją wyprawiłam — mówi surowo do dziewczynek, kiedy się drzwi za Danusią zamknęły.— Rozumiem dobrze, do kogo stosowały się te szykany. Muszę o tem zawidomić p. przełożoną! Chyba, że ją przy mnie przeprosicie i zobowiążecie się, iż na przyszłość to się nie powtórzy.

Śmiertelna cisza zalega klasę.

— Czekam tylko tyle czasu, nim Danusia wróci!

— Proszę pani... mówi Wiśka, zrywając się, wytłumaczymy to na przerwie...

— Niech i tak będzie — w każdym razie wasze zachowanie się względem niej jest wysoce nieszlachetne i naganne. Bezwzględnie powtórzyć się nie może pod żadnym pozorem!

Danusia wraca — oddaje żądaną książkę, poczem lekcja idzie dawnym trybem.

Uważne jednak oko dojrzałoby niechęć, malującą się na twarzach dziewcząt — suchy wykład lekcji przez nauczycielkę, zamiast zwykłego żywego i zajmującego.

Zdawało się nawet, że z każdą chwilą atmosfera nastroju staje się coraz cięższą...

Dzwonek wyrywa z piersi westchnienie ulgi.

Danusia wychodzi — każda zaś z koleżanek przytem odwraca się od niej ostentacyjnie...

Na korytarzu tymczasem Roziemska się „wyjęzycza" przed p. Łucją.

Pomaga jej Kazia i Lonia.

— Ona postępuje nie pokoleżeńsku! — my nie możemy nato pozwolić! — łamie solidarność klasową!

— Zapewne... jednak prawo klasowe nie może być stosowane nierozsądnie i muszą być wyjątki! — Danusia nie miała złych intencyj, kiedy musiała coś powiedzieć!

— Ale jej właśnie to „coś" zdarza się tak często, jak żadnej z nas się nie trafia!

— A czy zapomniałyście, że nieraz brała na siebie winę, aby odwrócić karę od koleżanki?

— Ach! — mówi z niechęcią i pewną pogardą Kazia — robiła to tak niezręcznie, że się przyczyniała do wykrycia sprawczyni!

— Zawsze jednak miała dobre intencje, — wy ją opacznie sądzicie!

— Skąd pani o tem może wiedzieć! — syknęła przez zęby Kazia.

Lecz inne ją przekrzyczały:

— W każdym razie nie darujemy jej usunięcia naszych koleżanek z pensji!

— Nie darujemy jej Geni!

— Ani Loni — ani Jaśki! — ani Kasi!

— Nawet Róży!

— To skandal!

— Hańba niesłychana!

— Nie znacie przyczyn! — odpowiedziała im niezwykle ostro p. Łucja — wina wyrzuconych tak wielka, że nie wolno było milczeć! — koleżeństwo nie może pokrywać zbrodni! —

— Co za zbrodnia? — że jakąś książkę przyniesiono do gimnazjum?

— Dowiecie się w swoim czasie! — przytem dziwi mię, że napadacie tylko na Skielską, a nie zwracacie uwagi, że Genia wraz z Różą postanowiły przez sfałszowany podpis Danusi, usunąć ją z pensji — czy

tak się godzi? — czy to jest po koleżeńsku? — czy Danusia nie ma prawa się bronić? — czy jej nie wolno ratować?

Wypowiedziawszy te słowa, odwróciła się od zacietrzewionych dziewcząt i udała się do gabinetu przełożonej.

Ostatnie jej słowa wywołały dużą konsternację. Sporo dziewczynek zaczęło się cofać...

— Jeżeli tak było, trudno bronić Geni — ozwała się Ala Blatowska.

— P. Łucja nie mówi na wiatr...

— A może Genia nieumyślnie... bez zastanowienia...

— Poczekajmy na wyjaśnienie sprawy — radziły rozsądniejsze.

— Właściwie do tej pory nic nie wiemy! — oświadczyła Ala: — nie możemy wydawać wyroków!

Ale większość, którym przewodziła Kazia, nie dała się przekonać.

— Niech p. Łucja idzie i skarży! — wołała zawzięta dziewczyna — nas wszystkich nie wyrzucą z pensji!

— Bojkot uchwalony — mysi być przeprowadzony z całą bezwzględnością!

— Wszystko było dobrze w naszej klasie, póki nie przybyła ta przybłęda, Skielska! — biadała Kojdecka. —

— Niech sobie idzie na cztery wiatry.

— Ona nie była i nie będzie naszą koleżanką — dowodziła — Lonia.

Inne ujmowały się za Orzajską.

— Tak wielka kara za głupi podpis...

— Mogliby ją usunąć na jaki tydzień — a nie wyrzucać na zawsze!

— To niesprawiedliwość!

— Musimy pójść do przełożonej z prośbą!

— Dobrze! — dziś na większą przerwę!

— Ale z wychowawczynią! — ona taka dobra, że się wstawi za Genią!

— A nas samych przełożona może nie przyjąć— lub też prośbom odrazu odmówić!

— Skielskiej zaś nasza pani nie lubi!

— Idźmy więc do niej zaraz!

Dziewczęta ruszyły ławą. P. Toska znajdowała się na korytarzu. Ale jakież było ich zdumienie, kiedy spostrzegły, że wychowawczyni podeszła tymczasem do Danusi i położywszy jej rękę na ramieniu zaczęła do niej serdecznie przemawiać, — a uśmiechnięta patrzyła w jej oczy z zaufaniem i życzliwością.

Zacietrzewione pensjonarki stanęły jak wryte:— czegoś podobnego nigdy dotąd nie oglądały...

— Co to ma znaczyć!? — szepnęła Kojdecka.

— Niesłychane... dodała Kazia.

Ale Danusia zaraz odbiegła od p. Toskiej.

Straciły jednak pewność siebie...

Jedna tylko Kazia wystąpiła śmiało:

— Cała nasza klasa chce prosić panią przełożoną, aby darowała Geni, panią zaś prosimy, aby udała się z nami...

— Na mnie nie liczcie wcale! — odpowiedziała im stanowczo wychowawczyni: — Genia dopuściła się tak brzydkiego czynu, że nie mogę jej bronić!

— Ale pani taka dobra!... zawołała Kazia.

— I kochana! — wołała inna.

— Wybaczy... daruje...

— Ona się poprawi...

— Skielską przeprosi...

— To jest niemożliwe! — odrzekła surowo p. Toska — ona skompromitowała nie tylko siebie, ale i was i cały nasz zakład. Nikt z nauczycieli nie będzie jej bronił. Pani przełożona was nie przyjmie!

Dziewczęta pospuszczały nosy.

Przekonały się, że sprawa stoi gorzej, niż przypuszczały...

Dzwonek, nawołujący do klasy, przychodzi w samą porę...

Matematyk się spóźnia... a wszedłszy nie zaczyna lekcji...

Nagle drzwi się otworzyły i weszła przełożona wraz z p. Toską.

Wszystkie dziewczęta zaraz wstały.

Trwożne pytania zamarły im na ustach.

— Moje dziewczynki — ozwała się p. Płochocka — wiecie, iż po Bogu, największym naszym ukochaniem jest wolna, i szczęśliwa Ojczyzna. Dla niej ojcowie, dziadowie nasi zrywali się w powstaniach na krwawy bój beznadziejny — szli na Sybir i katusze...

Przełożona przerwała na chwilę i powiodła oczami po klasie. —

— Dla niej ojciec Roziemskiej poległ w zapasach krwawych w czasie ostatniej wojny broniąc stolicy naszej od wroga... a brat Wrockiej nie szczędził życia, że ma tylko jedną rękę, bo drugą postradał w obronie Ojczyzny... Cześć im, jak i wszystkim bohaterom - obrońcom naszej wolnej Polski! — Cześć!

— Cześć! — powtórzyły dziewczynki głośnym okrzykiem.

— Zdrajców i przeniewierców naszej wolności niech okryje wieczna hańba — jak również tych, którzy prowadzą podstępną robotę w celu osłabienia, zniszczenia i zaprzedania wolności, sławy i rozwoju Ojczyzny! —

Przełożona znów przerwała na chwilę.

Wiśka zarumieniona zpowodu pochwały, ukłoniła się w milczeniu, widząc, że p. Płochocka na nią patrzy.

— Niestety... do naszej pensji wkradła się pod fałszywym nazwiskiem niegodziwa dziewczynka, któ-

ra pracowała w łączności z tajną organizacją, mającą na celu zgubę naszej Ojczyzny — ciągnęła dalej przełożona: — dość wam powiem, że jej ojciec jest aresztowany i między innemi oskarżony nawet o szpiegostwo — i inne machinacje na szkodę naszego Państwa — poznała ją jednak pewna nasza uczennica, lecz narazie nie wyjawiła, ani prawdziwego nazwiska, ani też, czem się zajmowała ta przewrotna dziewczyna, bo zaklęła tę naszą pensjonarkę, że się poprawi, że będzie się tylko uczyła... ale wkrótce okazało się, że to nieprawda... zaczęła bowiem zaraz swą występną pracę, wciągając niektóre wasze koleżanki, — rozpowszechniając karygodne druki...

Przełożona odetchnęła głęboko i zaczęła głosem podniesionym:

— A teraz powiedz mi, Wisiu, czy wolno pozwolić, aby krew twojego ojca była zmarnowana? — czy nadaremnie zostali inwalidami wasi bracia, ojcowie, krewni dalsi, czy bliżsi? — czy napróżno ponosili niezwykłe trudy wojenne, głód, chłód i rany?

— Nie.. szepnęła dzieweczka...

Na twarzach niejednej pensjonarki ukazały się łzy. —

— Tak! — zawołała z mocą p. Płochocka nikt na to nie może pozwolić! — ani ja, ani żadna z was! — nie mogła więc pozwolić, aby gubiono nasz ukochaną Polskę i obecna tu wasza koleżanka Danusia Skielska — jak jej ojciec walecznie bronił Ojczyzny pod Lublinem i Zamościem — tak ona stanęła mężnie w obronie wolności naszego narodu... narażając się wam — prawu klasowemu — opowiedziała mi wszystko — potem jednak tamta przewrotna dziewczynka oplątała ją zato tak podłą intrygą, że zwieść potrafiła nawet i członków Rady Pedagogicznej i mnie... nawet ją usunęłam... na szczęście prawda wyszła na wierzch, lecz Danusia to odchorowała ciężko...

Poczem zwróciła się do Roziemskiej:

— Chodź tu, Wisiu do mnie —

Dziewczę spełnia polecenie.

— Powiedz mi, dziecko, kto nie dopuścił, aby zdeptana była krew twego ojca? — ideały, dla których tę krew wylał? — czy nie Danusia? —

Zagadnięta stała ze zwieszoną głową i mocnemi wypiekami na twarzy...

— I powiedz mi jeszcze, co się Danusi zato należy — czy nie powinnaś czuć dla niej wdzięczności, że w dalszym ciągu zła przewrotna dziewczyna nie będzie siała trucizny w naszym zakładzie? nie będzie wrogo usposabiała do naszej Ojczyzny do naszych odwiecznych praw do wolności, swobody?

Jeszcze większe rumieńce biją na twarz Roziemskiej — ale usta nie otwiera... nie chce wyrzec ani jednego słowa.

— A czy wiesz, że owa podła dziewczyna nie cofała się przed przekupstwem? — że dawała klejnoty za zdradę Ojczyzny — że zapłaciła Orzajskiej kosztowną bransoletą, za sfałszowanie podpisu Danusi? — chciała bowiem w ten sposób zgubić niewinną dziewczynkę, aby później broić bezkarnie! — czy się tak godzi postępować?

— Nie.. szepce Wiśka.

— Czy więc ta Róża Sterlerówna, a nie Meltzówna, warta była nazywać się waszą koleżanką — czy była tego godna?

— Nie... powtarza zagadnięta.

— Tak, mówisz słusznie! — bo taka, co zdradza Polskę, co hańbi zakład naukowy przez czyny nieszlachetne, nie jest was godna! — a teraz mi powiedz, co twój ojciec powiedziałby, gdyby tu przyszedł zza grobu? Kogoby potępił za swą krew przelaną dla Ojczyzny — Danusię, czy Różę?

— Tylko Różę! — jąka zawstydzona niezmiernie dziewczynka.

— A teraz ty przyjdziesz do mnie Danusiu — chcę i ciebie o coś zapytać: — mówi powoli przełożona.

Spłonione dziewczę spełnia życzenie, a tymczasem p. Płochocka ciągnie dalej:

— Jakie miałaś pobudki, żeś oskarżyła Różę?

— Pani wie, nie chciałam zdrady Polski.

— Czy przypuszczałaś, że zato będą ci koleżanki robiły przykrości?

— Tak... spodziewałam się tego... ale nie miałam innego wyjścia...

— Czy czujesz jeszcze urazę do Wiśki?

— Niech jej Bóg przebaczy...

— A ty?

— Już przebaczyłam... szepce dzieweczka, spuszczając oczy.

Przyczem wyciąga do Roziemskiej rękę.

Ta ostatnia waha się chwilę, poczem rzuca się jej na szyję z płaczem.

— Miło mi bardzo — rzecze p. Płochocka — że pojednałyście się z sobą — sądzę, że Danusia i innym swym koleżankom dziś wszystko przebaczy — one zaś również darują z serca wszelkie urazy... czy prawd.., Daneczko?

— Tak...

— A teraz was wzywam, abyście się wypowiedziały — zwraca się przełożona do uczennic — bardzo pragnę, aby w waszej klasie zapanowała zgoda i miłość wzajemna. —

Wszystkie dziewczynki z wyjątkiem Kazi zaczęły wołać:

— Chcemy zgody! — nie będziemy się dalej waśniły! — uważamy Danusię za naszą koleżankę!

— Tymczasem daruję wam dalszą lekcję — gdyż i tak już mało czasu pozostało — może więc pan profesor ustąpi wychowawczyni, która pogawędzi na tematy aktualne ze swemi dziewczynkami, — przyczem oświadczam, że miło mi było przeżyć tę chwilę pojednania w waszej klasie!

Po tych słowach skierowała się ku wyjściu.

Dziewczęta zaczęły wołać:

— Dziękujemy pani! — dziękujemy!

Przełożona skłoniła głową i opuściła klasę.

Jedna tylko Kazia była wielce niezadowolona — zrozumiała, że została odosobniona w klasie.

— Łatwo jej darować winy, wówczas kiedy sama jest przedewszystkiem winna! — mruczała — z tamtą sprawą Róży może być zupełnie w porządku i nie protestuję przeciw słowom przełożonej — ale za zbałamucenie Jara powinnyśmy się jeszcze policzyć. —

Głos jej jednak ginął wśród szmeru uznania dla Danusi.

Wychowawczyni prędko uspokoiła pogawędki— sama zaś zaczęła rozwijać dalej myśli, rzucone przez p. Płochocką.

Dowodziła więc, że każdy, co się splami wykroczeniem przeciw prawu — tem samem wykracza przeciw Ojczyźnie, która to prawo wydała. —

— I Bóg nas tego naucza: „Oddajcie co cesarskiego — cesarzowi, co Boskiego Bogu!“ (Mar. 12, 17) każe nam kochać Ojczyznę i rodziców, spełniać ich rozkazy zgodnie z Jego wolą...

Potem wzięła w obronę Dziunię:

— Kiedy widzicie tonącego — śpieszycie mu z ratunkiem, nie bacząc, że nieraz ratując tonącego, straci się własne życie — tak i ona zrobiła: — ratowała swoją niewinną koleżankę — sama zaś naraziła się na potępienie przez was!

— Dzięki niej jednak i niewinność Danusi została udowodniona i cała sprawa wyjaśniona należycie!

Zaledwie skończyła — zerwała się z siedzenia Ala Blatowska:

— Czy bardzo surową karę poniesie Jaśka Wrocka? — może pani zechce nam powiedzieć?

— Została usunięta z zakładu do końca roku szkolnego — a ponieważ źle się uczyła — pozostawiono ją na drugi rok w klasie — kara jest złagodzona na wstawiennictwo brata, inwalidy...

— A Genia Orzajska? — zawołała Kazia.

— Usunięta nazawsze z naszej pensji! — ona zhańbiła nasz zakład, łącząc się z wrogami Polski, oraz fałszując podpis koleżanki, aby ją zgubić!

— A Kasia Krzypczykówna? — pytała Zenia.

— Również usunięta do końca roku: była tylko na dwu zebraniach u Róży i nie wiedziała dobrze, o co chodziło... zresztą żałuje tego. —

— A Róża? — co się z nią stało? — pytała Zenia Kojdecka.

— Poszukuje ją policja — miała tu swoich wspólników, którzy ją ukryli bardzo sprytnie — ale, gdy wpadnie w ręce władzy, zostanie pociągnięta do odpowiedzialności sądowej. —

— Do nas więc nie wróci? — dowiadywała się Szymowska.

— Ona wogóle pozbawiona jest prawa uczęszczania do średniego zakładu naukowego w Polsce i u nas była tylko pod fałszywym nazwiskiem...

Na przerwę, co zaraz nastąpiła, koleżanki otoczyły Danusię, przepraszając za niewłaściwe swe postępowanie.

— Serdecznie wam dziękuję — mówiła Danusia — i proszę mi wybaczyć, jeżeli się w czem którejkolwiek z was naraziłam...

Nie zapomniały jednak i o Dziuni.
Pojednały się z nią również.
Zgoda i harmonja wróciły do klasy.

XXI

W DOMU

Półtora tygodnia zbiegło, jak biczem trzasnąć...

Wieczorem, przed rozdaniem cenzur rocznych Danusia oczekiwała na stacji przyjazdu swej matki.

Stęskniła się do niej już niezmiernie.

Nie mogła doczekać się pociągu.

Wreszcie nadeszła upragniona chwila...

Z płaczem tuliła się do swojej drogiej mateńki.

— Miałaś dużo przykrości... mówi do niej p. Skielska.

— Tak... ale to wszystko minęło: — rozwiało się, jak mgła — a ja szczęśliwa jestem, że widzę kochaną mateczkę — że powitam ojczulka...

— Przesyła ci pozdrowienia — i oświadczenie, że bardzo tęskni i oczekuje cię najprędzej!

Tymczasem śpieszą do samochodu — naturalnie całe towarzystwo nie może się w jednym pomieścić, — bo czy może tu brakować w tej miłej uroczystości powitania serdecznych przyjaciółek Danusi: Krzysi, Ninki i Cechny? — a starsze panie również w tym czasie nie mogły pozostać w domu! — więc na ośm osób trzeba jeszcze dobrać taksówkę!

I zaledwie w mieszkaniu p. Felicji zaczyna się opowiadanie: więc i o ratunku Tereni, po śmierci jej matki i o podejrzeniach w związku z przybyciem Róży na pensję — wreszcie o potwarzy tej ostatniej i podróży do Częstochowy, a także i o chorobie Danusi.

Wprawdzie p. Skielska wiedziała już potrosze o tem wszystkiem z listów Danusi i nawet p. Felicji—

ale pisane to było wszystko oględnie i ostrożnie, by nie martwić rodziców szczególnie usunięciem dzieweczki z pensji i jej chorobą — teraz dopiero prawda wychodzi zupełnie na jaw bez osłonek.

— Nie może być! — wykrzykuje od czasu do czasu p. Skielska: — więc Róża tak się dalece posunęła w podłości? — więc ty, Danusiu byłaś w Częstochowie zrozpaczona, unieszczęśliwiona? — chorowałaś tak długo?

Tuli więc swą córkę, jakby jej zagrażało jeszcze jakie nieszczęście — i dziękuje pp. Izalskim, oraz matce Ninki za ich zajęcie się całą sprawą:

— Nigdy nie zapomnę!... powtarza niejednokrotnie z prawdziwą serdecznością w głosie.

— Powiem ci niespodziankę — mówi wreszcie swej córce — ojciec twój zapowiedział, że o ile przejdziesz do klasy szóstej bez zastrzeżenia i z bardzo dobrem sprawowaniem, pojedziesz na wakacje na Hel, nad polskie morze!

— To szczyt moich marzeń! — woła Danusia z radością i tuli się do matki — ale... kto wie, jakie mi oceny wystawią...

— Wiem, że pracowałaś sumiennie — chyba więc ciebie nie pokrzywdzą!

— A przytem i druga jest przeszkoda: będzie to duży wydatek, a teraz ojczulkowi ciężko...

— Zrobiliśmy dużo oszczędności: zlikwidowaliśmy mieszkanie w mieście, ojciec zaś twój ulokował się w pokoju przy szpitalu — a najczęściej przyjeżdża na noc do domu — ograniczyliśmy rozchody, — a to wszystko dało nam możność wyjazdu nad morze, — nie licząc spłaconych długów.

— A to wszystko przezemnie... smutno mówi dzieweczka — gdybym nie była lekkomyślna we Włoszech i nie naraziła na takie wielkie wydatki... nieraz żałuję, żem pojechała...

— Gdyby jednak nie ta podróż po Włoszech w towarzystwie poczciwej Ninki — byłoby gorzej — pozostałabyś nazawsze lekkomyślną — nie usunęłabyś się z owego tajnego Klubu i zapewne dotychczas miałabyś w główce bardzo pstrokato!

— Tak... niema tego złego, coby na dobre nie wyszło... prawda, Ninuś?

— Tak... prawda, że jutro sobie pojedziesz, a my będziemy tęskniły za tobą!

— Ale znów wrócę! —

— Tem się pocieszamy! — dodała Krzysia. —

Nazajutrz po uroczystem nabożeństwie Danusia znów się czuła bardzo uszczęśliwiona: dostała bowiem ładną cenzurę — oraz bardzo dobrą ocenę ze sprawowania.

Najmilsze było dla mnie uznanie p. Toskiej, nauczycielstwa, a przedewszystkiem przełożonej — jak również i koleżanek. —

Jedna tylko Kazia boczyła się w dalszym ciągu wraz z kilku jeszcze oddanemi sobie dziewczynkami, do których już nie należała Wiśka. —

Bo ta ostatnia szczerze pojednała się z Danusią i nawet jej okazywała życzliwość.

Ale Roziemska, mimo, że sobie obiecywała, że się jeszcze zemści, nie potrafiła już tego dokonać, zbyt bowiem miała mało czasu — a przedewszystkiem sposobności — zresztą niepokoiła się, czy uda się jej przejść do następnej klasy i wzięła się trochę więcej do roboty.

W parę godzin po rozdaniu świadectw już Danusi nie było w Warszawie, a wieczorem witała się ze stęsknionym ojcem.

I on też się dziwił bezczelności Róży, która nie tylko prowadziła dalej swoją robotę, ale postanowiła się zemścić.

Słuchając przez parę dni opowiadań córki, doktór Skielski nieraz powtarzał:

— Prawdziwy to triumf przyjaźni! — nie spodziewałem się naprawdę, że Ninka może tak dodatnio na ciebie wpływać — widziałem, niestety, bardzo wiele przykładów, jak przyjaźń niszczy i psuje wielu ludzi, a szczególniej kolegów i koleżanek w zakładach naukowych — ale teraz przekonałem się, że i potrafi wznosić do ideałów poświęcenia i ofiarności.

— Ale tam była i Krzysia i Cesia...

— I o tych nie zapominam, — Ninka jednak była pierwszą z nich, którą poznałaś i pokochałaś — zresztą każda z nich wpływa na swą przyjaciółkę — razem zaś tworzą owe kółko ofiarnych i zacnych dziewcząt, co dążą do ideału.

— Łączy zaś to kółko i cementuje miłość Boga— wtrąciła doktorowa: — która daje im podstawę i moc do spełniania ofiar; — bez tej potężnej siły wewnętrznej nie podobna nawet wyobrazić sobie, aby te dziewczęta potrafiły w takiem środowisku, jak Warszawa ustrzec się ujemnych wpływów złych koleżanek, które je otaczają!

P. Skielski uśmiechnął się.

— Nie zaprzeczam — ale mnie się zdaje, że o wiele więcej tu znaczy dobre wychowanie domowe, przykład dobrych matek.

— Zapewne — ale czem wytłumaczysz, że często zacni rodzice skarżą się słusznie, że syn lub córka trafiły w złe towarzystwo, które je przywiodło do zguby? — bez wiary, bez miłości Boga wpływ dobry działa tylko do czasu... naodwrót: masz przykład w Nince, która była rozkapryszonem, zarozumiałym dzieciakiem, w Danusi, nad której lekkomyślnością bolałeś, jak one się zmieniły na dobre dziewczęta — a tylko dlatego, że ostoją i siłą ich była miłość Boga — czy nie prawda, Danusiu?

— Tak — potwierdziła zapytana — największe wrażenie zrobiła na mnie spowiedź w Neapolu, gdzie postanowiłam się szczerze poprawić i codzienna komunja św., do której tam potem przystępowałam wraz z Ninką.. A ona również utrzymuje, że na nią wpłynęła najwięcej pierwsza spowiedź i także częsta komunja, którą przyjmuje wraz z Krzysią...

— Masz rację... rzekł doktór — bez owej siły wewnętrznej niema sposobu utrzymać się na powierzchni życia.. wiara nie tylko utrzymuje — ale daje możność wypłynięcia na nowo, kiedy się zatonęło... nie wiedziałem jednak, że Daneczka tak czesto bywa u komunji...

— Tak — tatusiu! — szczególniej często, bo codziennie, w ostatnim czasie w Warszawie — Krzysia, Ninka, Cechna i ja opuszczałyśmy tę praktykę tylko z ważnych powodów...

— Daj Boże, abyście w tem wytrwały; nie będę obawiał się o waszą przyszłość — wobec tego ponawiam przyrzeczenie, że w jesieni wrócisz do Warszawy uczyć się i różnych mądrości świeckich, jak rówwnież i kochać Boga, a zarazem i ludzi — co jest w życiu najważniejsze — niestety teraz po wielkiej wojnie tak się rozpanoszył egoizm, który jest przyczyną powszechnej nędzy i kryzysu, że trzeba nam najprędzej powracać do umiłowania bliźnich, aby nie przyszła jaka straszliwa katastrofa!...

Danusia nie chce się chwalić — nie wspomina więc o Tereni, którą ratowała od zguby...

— A przecież to również przez miłość bliźniego i przyjaźń... przechodzi jej przez myśl.

Rozmowa na tem się urwała.

— Wszystko do drogi jest już przygotowane — możemy więc jutro jechać.

— Odprowadzę was do Warszawy — oświadczył nato doktór. —

Ucieszona Danusia skoczyła mu na szyję i ucałowała serdecznie.

— A tymczasem jadę do miasta, do szpitala — dodał potem p. Skielski.

— A my do państwa Artyńskich z wizytą — rzekła jego żona — prosili mię bardzo, aby im przywieść Danusię, chociaż na parę godzin!

Teraz dziewczę uściskało z kolei matkę:

— Jak dobrze!...

W pół godziny potem już wraz z matką podjeżdżała do dworu, gdzie mieszkali państwo Artyńscy.

Danusia, dowiedziawszy się, że jej dawna koleżanka, znajduje się w ogrodzie, pośpieszyła tam natychmiast.

Nie łatwo ją było znaleźć w obszernym parku — a wołać nie chciała, pragnąc zrobić swej przyjaciółce większą niespodziankę.

Wreszcie spostrzegła ją przy oranżerji. Lodzia była zajętą podlewaniem kwiatów, które niezmiernie lubiła.

Na widok Danusi staneła jak wryta.

Trwało to jednak krótką chwilę.

Wydała zaraz okrzyk radości, i rzuciwszy konewkę na ziemię, poskoczyła do gościa, nie bacząc, że konewka się wywróciła i strumień wody popłynął szybko w kierunku Danusi.

Dziewczę chciało uciekać, chroniąc swe białe pantofelki od tego nagłego, a niespodziewanego potopu.

Napróżno jednak...

Wartki strumień wnet dosięgnął bieli pantofelków — a jednocześnie Lodzia obu rękami jej szyi, ściskając z największą serdecznością...

— Jakże się cieszę! — wołała przytem — nie uwierzysz nawet! — sądziłam, że sobie pojedziesz nad morze i nie będę cię oglądała!

— Już jestem nad morzem! — śmieje się Danusia, całując ją również serdecznie — patrz!.,. za chwilę woda mi sięgnie po kolana...

— Istotnie! — ach! ze mnie gapa! — przepraszam...

— Tylko nie płacz, gdyż się potok powiększy!

— Naprawdę jestem zmartwiona...

— I dlatego trzymasz mię w wodzie!... dobrze ci, że jesteś na bosaka!

— Racja! — wiesz, że jestem powtórnie gapa!

— To dla mnie nie nowina!

— Ale już chodźmy stąd!

— Tembardziej, że woda zleciała już niżej...

— Naprawdę mi jest nieprzyjemnie...

— Że już woda odpłynęła?

— Ach, co też opowiadasz! — tak bardzo ci jestem wdzięczna zato, żeś mię wydostała z owego „Klubu Bohaterek“ — o czem nigdy nie zapomnę — tak oczekiwałam tej chwili, kiedy się u mnie zjawisz — a tymczasem...

— Ech, taki drobiazg!

Lodzia przy tych słowach wypuszcza z objęć przyjaciółkę i przyklęka szybko, przyczem zaczyna usuwać słomki i trawę, które woda pozostawiła na pantofelkach.

— Daj pokój! — co znowu! — protestuje Danusia i zaraz zgrabnym ruchem odbiera jej chusteczkę.

— Niedobra jesteś! — szepce Lodzia. —

— A ty marnotrawna! — chusteczka twoja więcej się zmarnuje, niż moje pantofle — przejdziemy tam dalej na słońce — zdejmę je i wysuszę w kwadransik — poczem odrobina kredy, której mi nie poskąpisz chyba — wróci im świeżość...

— Natychmiast lecę po nią! — a zarazem przyniosę swoje buciki — przepraszam!

Nim te słowa dopowiedziała — już znikła w gęstwinie parku.

Danusia tymczasem usiadła na pobliskiej ławeczce, zdjęła pantofle oraz skarpetki i umieściła je na pełnem słońcu w przewiewnem miejscu.

Niebawem przybiegła i przyjaciółka.

— Masz buciki! — wołała już zdaleka. —

— Poco? — czyż tylko tobie przysługuje przywilej chodzenia boso?

— No, nie! — ale nie zwykłaś... pierwszy raz cię tak widzę...

— Ach, widzieli mię boso nawet w Neapolu... i w Częstochowie... pierwszy raz, kiedy szłam dziękować Bogu, że mię wyrwał cało i szczęśliwie z rąk bandytów — a drugi, gdym prosiła o jego łaski przez Najświętszą Panienkę...

— Dziwne.. a jednak przed rokiem...

— Pamiętam — szepce dziewczę z nagłym rumieńcem wstydu — i przepraszam cię, że tak niemiłosiernie szydziłam z ciebie, kiedy cię zastałam na bosaka... byłam wówczas tak zarozumiałą...

— Ależ to nic! — głupstwo!

— Ładne nic! — piękne mi głupstwo! — nazwałam cię gęsiareczką — pastuszką...

— To już dawno zapomniane! — tembardziej, że i zmazane zostało wycofaniem mojej osóbki z Klubu, — co jest dziełem tylko twej zasługi!

— Ach, przestań! — poco te pochwały bez końca!

Lodzia przyjrzała się jej tak, jakby pierwszy raz ją oglądała:

— Dziwne... szepnęła — jednak, jak ty się zmieniłaś pod wpływem tej przezacnej Ninki!

— Oczywiście — zawdzięczam jej bardzo wiele!

— Danusiu! — Lodziu! — rozległo się nagle wołanie w parku.

Dziewczęta odpowiedziały na wezwanie, dziwiąc się, kto je szuka.

Zagadka się rychło wyjaśniła: z pośród krzewów wychyliły się dwie postacie: Zosi Burskiej, oraz Maryni Permeńskiej — dwu byłych koleżanek, a zarazem i przyjaciółek Danusi.

— A wy skąd? — zawołała ta ostatnia, zdziwiona niebywale: — w jaki sposób tu się znalazłyście obie?

— Bardzo prosto!—odpowiedziała jej Zosia, witając się serdeczenie — chciałyśmy cię odwiedzić, i przyjechałyśmy w tym celu do Kraczykowa — a tam się dowiedziałyśmy, iż jesteś tu z wizytą u Lodzi — naturalnie wpadłyśmy za tobą.

— Wdzięczna jestem! — zawołała ucieszona niezmiernie Danusia, całując przybyłe przyjaciółki.

— Ale ja nie bardzo — przerywa jej ponuro Lodzia.

— Dlaczego? —

— Gdyż nie miałyście w planie mię odwiedzić!

— Skąd taka myśl! — właśnie że i ciebie po wizycie u Danusi!

— Więc „bardzo"...

— Jesteś niezadowolona? — przerywa jej teraz Danusia ze śmiechem.

— Naturalnie! — bo mię zupełnie zakrakałyście!

— P. Artyńska prosi, abyście przyszły na podwieczorek — oświadcza milcząc, jak zwykle Maryla.

— Bardzo to pięknie — rzecze z udaną rozpaczą Danusia: — ale ja nie mam pantofli! — jak więc się zjawię przed oczami tych dostojnych osób?

— Cóż się z niemi stało? — pyta z pewnym niepokojem Zosia. —

— Nie mogą być na wystawie cudów piękności— odpowiada jej Lodzia, załamując pociesznie ręce —

gdyż tonęły przed chwilą w wodzie skutkiem mej nieuwagi... możesz jednak włożyć moje, o co pokornie upraszam...

Z ostatniemi słowami zwróciła się do Danusi.

— Musiałabyś mi wprzód obciąć palce, naco zgodziłabym się z przyjemnością, aby posiadać tak małe nóżki, jak twoje, — odpowiedziała jej zagadnięta.

— Blagujesz! — ręczę, że wejdą!

— Ponieważ nie mam ochoty „cierpieć tortury, aby być piękną“, jak powiedział jeden niemyśliciel — wobec tego, idę boso na podwieczorek, spodziewając się, że moje złote pantofelki tymczasem nie będą zrabowane przez bandytów, i wyschną sobie należycie...

— O, bądź spokojną!

— W parku nie rojno! — dodaje Zosia.

— Znikli bandyci!

— Ciche tu życie — znów podchwytuje Zosia.

— Pantoflom będzie — śmieje się Danusia.

— I tu i wszędzie!

— Idźmy więc bose...

— Spuściwszy nosy.. deklamuje dalej Zosia.

Pokrzepić siły, —
By potem były
Świeże na żarty,
Kłótnie uparte
Aż do kolacji!
Czy nie mam racji?

Śmiech ogólny zakończył tę improwizację — poczem żwawo udano się na podwieczorek.

Skończywszy kawę, dziewczęta wybiegły znów do parku — a potem do ogrodu na świeże truskawki i maliny, przekomarzając się w dalszym ciągu i opowiadając swe dzieje. —

O zachodzie słońca Lodzia gdzieś znikła, wraz ze swą małą siostrą Basią.

Poszukiwanie na nic się nie zdało.

Matka jej uśmiechała się tajemniczo. —

Wreszcie zagadka się wyjaśniła.

W zaroślach pod sosnami zabłysnął ogień bengalski.

W krwawych jego blaskach zdumione dziewczęta ujrzały najprzód Lodzię, przebraną za leśną boginkę — potem zaś jej siostrę jako rusałkę z różdżką czarodziejską w prawej rączce.

Basia wyglądała prześlicznie — zachwycone dzieweczki prosiły o powtórzenie obrazu — wobec czego ukazała się jeszcze raz w zielonych blaskach sztucznego ognia.

Lodzia, chcąc zrobić jeszcze większą przyjemność gościom, prosiła po kolei Danusię, Zosię i Marylę, aby również wystąpiły w przebraniach i oświetleniu ogni bengalskich.

Bawiono się świetnie.

Prześlicznie wyglądała Danusia w niebieskim, a Zosia w pomarańczowym kolorze—Maryla zaś jako Anioł-Stróż w zielonym podobała się również bardzo..

XXIII

NA HEL!

Nazajutrz, kiedy pp. Skielscy wybierali się w podróż, nagle w gabinecie doktora zawarczał telefon.

— Proszę przyjechać — mówił dyżurny ze szpitala — poważna operacja — chory czuje zaufanie do pana i nie chce się zgodzić na innego lekarza...

— Muszę jechać — rzekł p. Skielski do żony — wy zaś same się udacie w podróż...

— Może odłożymy wyjazd na jutro?

— Na was czekają w Warszawie, musicie więc jechać dziś. Ja zostanę; trudno obowiązek...

Danusi zakręciły się łzy... w oczach.

— Wolałabym nie jechać...

— Tyś już spełniła swój obowiązek: uczyłaś się sumiennie, nie zamilczałaś o zbrodniczej koleżance, narażając się przezto całej klasie — należy się więc tobie wypoczynek — jedź, aby nabrać sił do dalszej pracy. Inaczej zrobiłabyś mi przykrość.

— A ojczulek, jak zawsze, będzie się tymczasem dla mnie poświęcał... szepnęła Danusia — ach, jaka byłam ślepa, jak niemądra przez tyle lat, że tego nie widziałam...

Poczem rzuciła mu się na szyję...

— I to mi osładza pracę! — rzekł doktór — cz nie wiesz, jak gorzko jest pracować memu przyjacie lowi Starykowskiemu, że dzieci jego trwonią bezmyślnie każdy grosz! — synalek — znasz go — pozostał na tymże trzecim kursie w uniwersytecie...

— A Lola? — przerywa dziewczka, pragnąc się dowiedzieć o losach byłej swej koleżanki.

— Pozostała w domu — ani myśli o dalszej nauce — stroi się, maluje, onduluje — i wystaje w dzień przed wystawami sklepowemi — wieczorem zaś.. bawi się!

— Szczęściem inne moje koleżanki trafiły do następnej klasy: Zosia Burska, Lodzia Artyńska... Maryla Permeńska...

— I wdzięczne są tobie zawsze, żeś je wyrwała z Klubu Róży Sterlerówny — a z niemi i rodzice chowają cię w miłej pamięci!

Po tej rozmowie, która się odbywała w czasie śniadania, doktór pożegnał się i odjechał śpiesznie — zaś p. Skielska z córką podążyły nieco później na pociąg.

— Tatuś nie może nas nawet pożegnać na stacji... szepnęła smutno Danusia, stojąc na peronie w oczekiwaniu pociągu — pracuje... abym miała zaco

nie tylko uczyć się, ale i mieć tak kosztowne przyjemności, jak wyjazd nad morze!

— Wstępuj w jego ślady! — odpowiedziała jej doktórowa — pracuj dla bliźnich, nie dla siebie!

W kilka godzin potem Danusia w Warszawie witała swe przyjaciółki — a wieczorem już lokowała się w wygodnym pulmanowskim wagonie wraz z Krzysią, Ninką, Cechną i Terenią, oraz starszemi paniami. P. Marceli towarzyszył żonie — a inżynier Zygmunt, brat Wacławy, miał jechać tylko do Bydgoszczy.

— Nie mam więcej czasu... tłumaczył się siostrze.

— I ten również odmawia sobie przyjemności... szepnęła do siebie Danusia.

Na peronie żegnały ich Dziunia z matką.

— Raz jeszcze dziękuję pani — zwróciła się ta ostatnia do p. Felicji — że pozwoliła nam zamieszkać na wakacje w swej willi! — wypocznę na świeżem powietrzu i będę mogła w jesieni wziąć się ostro do pracy!

— Nie tak bardzo, mamo! — będę pomagała: trzeba oczy szanować — przerywa jej córka, całując rękę.

Poczem zwraca się do Danusi:

— Nigdy nie będę mogła wywdzięczyć się tobie dostatecznie, a także i twoim przyjaciółkom, zato, co dla mnie uczyniłyście!

Z okien wagonu dzieweczki podają jej ręce — wymieniają serdeczne uściski...

— A ja dziękuję za Dziunię — dodaje p. Gołąbska pod waszym wpływem moja kochana córeczka zmieniła się do niepoznania!

Pociąg tymczasem rusza. —

— Dowidzenia!

— Szczęśliwie!

Po chwili nikogo już nie można dojrzeć — peron

daleko pozostał w tyle — dziewczęta więc zajmują swe miejsca.

I jakkolwiek wszystkie są uszczęśliwione z wyjazdu nad morze — ale największą radością promienieje Terenia, dla której ta podróż jest niespodzianką.

Z wdzięcznością, więc spogląda na p. Felicję, która ją wzięła na swój koszt — a także się postarała, że od jesieni będzie mogła się uczyć wraz z Ninką i jej przyjaciółkami na jednej pensji...

— Czy wiesz, Danusiu, zagadnęła naraz Krzysia, że Dziunia mogła z nami jechać i wyrzekła się tej przyjemności?

— Nie może być! — ale skąd dostała pieniądze?

— Ciotka jej, zamożna p. Zygfryda — dawała jej na bilet i miesięczny pobyt — gdyż wygrała na loterji sporą sumkę.

— Dziwię się mocno, — a z jakiej przyczyny nie chciała skorzystać z tej propozycji?

— Odpowiedziała ciotce bardzo szlachetnie: proszę połowę tej sumy dać mi, aby moja matka mogła się udać na letnisko... p. Zygfryda skrzywiła się nato, gdyż matki Dziuni nie lubi — ale pieniądze dała w całości.

— Naprawdę ją podziwiam! —

— Wówczas to p. Felicja, dowiedziawszy się o tem, ofiarowała im bezpłatnie pobyt w swej willi — co tam była wtedy za uciecha, jak one dziękowały — jakie czuły się uszczęśliwione!

— Spodziewam się! — ale naprawdę nie spodziewałam się tak ładnego postępku ze strony Dziuni — to prawdziwe poświęcenie się!

Danusia nie wspomina, że w tem jest wiele jej zasługi, — bo przecież Dziunia dawniej dla swej matki była niemożliwą — poniewierała wsprost ją, jakby istotą niższą od siebie... i dlatego też dziwi się bardzo tej zmianie...

— Spać dzieci — woła tymczasem p. Felicja: — w Bydgoszczy bowiem będziemy przesiadały!

— A czemu nie jedziemy tym pociągiem dalej? — pyta zdziwiona Danusia.

— Chcemy bowiem jechać przez Kościerzynę i Somonino — nowozbudowaną koleją — gdzie są cudne widoki na tak zwaną Szwajcarję Kaszubską.

— Dobrze! — mówi Danusia, uśmiechając się — zaraz się zrobi!

Poczem zwraca się do Ninki:

— Pamiętasz, jak to było w podróży do Włoch? — irytowałam się, kiedy ci mama kazała się ułożyć do snu!

— Nie, już zapomniałam! — odpowiada jej z pocałunkiem przyjaciółka — i nie chcę przypominać,— bo ty jesteś teraz zupełnie nie ta, co dawniej, to była jakaś inna dziewczynka!

Tymczasem rozkładają zapasowe ścienne łóżka, dobywają pościel.

— Naprawdę to są wygodne wozy! — podziwia Danusia — nawet zagranicą takich nie spotykałam!

— Tak! — Cegielski z Poznania i Lilpop z Warszawy obdarzyli nas naprawdę cackami, w których się łączy piękno z wygodą! — mówi Ninka.

— Za pozwoleniem — śmieje się Krzysia — poco nazywacie te wspaniałe wagony „wozami"? wstyd im robicie! — cóż tu może być wspólnego z wozem — drabiniakiem?

— Ależ to po polsku! — poco nam cudzoziemskie słowa? — broni się Danusia.

— Bądźmy w takim razie konsekwentne: jeżeli mamy nazywać wszystko, w kolejnictwie przynajmniej, po polsku — wówczas trzeba będzie tak się wyrazić: pewnego razu... kupiłam w kasie bilet — nie: „kwitek na podróż" — wsiadam do wozu osobowego, a tam mi konduktor.. nie! — „woźnica wozowy" po-

wiada, że wsiadłam do niewłaściwego wozu, bo ten w drodze przyłączą do innego pociągu... wychodzę na peron... (to słowo również nie polskie) „mostek przed wozami" i tam spotkałam żandarma... nie! — to po francuskiego... „człowieka uzbrojonego", który rozmawiał z kontrolerem — i to nie! — ze „sprawdzaczem woźniców wozowych" — ten zaś wskazał mi właściwy wóz osobowy...

Obecne dzieweczki zaśmiewają się z tego, Krzysia zaś ciągnie dalej:

— Zechciejmy naprzykład opisać po literacku, że wagon wpadł na wóz — tak zdaje się rzecz prosta — a tymczasem „po polsku" będzie tak: „pewnego razu zdarzyła się katastrofa: wóz kolejowy wpadł na wóz... do wożenia siana czy kartofli, przyczem ów wóz juści kolejowy wyszedł bez szwanku — wóz zaś, ten właśnie od kartofli, czy siana, lub innego wiejskiego produktu, został wywrócony, przyczem koło tego wozu, juści od buraków, czy od kapusty, potoczyło się pod wóz tamten kolejowy i padło na szyny... przezco wóz tamten kolejowy, nie zaś od wożenia nawozu, wykoleił się...

Słuchają tych wywodów i starsze panie — poczem p. Wacława mówi:

— Masz rację: jeżeli bowiem mamy słowo polskie ładnie utworzone np. Samochód, samolot — wówczas nie należy używać cudzoziemskiego „auto" „aeroplan" „lokomotywa" — ale usuwać cudzoziemskie słowo, nie mając na to nic i brać byle jakie inne, które ma zupełnie inne znaczenie — to jest dowodem braku logiki — bo przez to zaciemnia się mowa — dlaczego tak nie robią mądrzy francuzi, niemcy, nawet rosjanie i inne narody, które również używają słowa „wagon" i do tej pory nic ich językowi nie grozi?

— Ale teraz już chyba spać pójdziecie? — zapy-

tuje p. Felicja, — bo nie jedziemy przecież „wozem“, a wygodnym pullmanowskim wagonem!

— Naturalnie — tembardziej, że sprawa „wagonowa, czyli „wozowa“ już dostatecznie wyjaśniona, — kończy Cechna.

— Kiedy spać, to spać! — zawołała Danusia, wyciągając się wygodnie — już nawet chrapię!

— Byle nie głośno! — przestrzega Ninka — a pamiętaj, że cię mam zbudzić... przed Hallerowem.. Puckiem i Gdynią!

— A widzisz! — pamiętasz naszą podróż z Wenecji przez Ankonę do Rzymu... ach, jak wtenczas byłam niemądra! — ale teraz nabieram mądrości i milczę!

Kiedy dojeżdżano do Kapuściska ruch zapanował na nowo: zbierano się do przesiadania: boć to zaraz Bydgoszcz.

Na stacji ruch — Danusia się dziwi tunelom i dworcowi, który posiada aż trzy klasy dla podróżnych: pierwszą, drugą i trzecią — a wszystkie nadzwyczaj czyste i ładnie urządzone.

Wkrótce jednak wpada na stację długi pociąg. Na tabliczkach wagonów wypisane stacje: Kraków—Katowice — Poznań — Bydgoszcz — Kościerzyna — Somonino — Gdynia — Hel.

Ninka i Krzysia czytają z niezwykłą radością nazwy.

— Jak to miło, żeśmy doczekały tej chwili! — szepce Cesia — znów na Hel — znów nad morze!

— Czyż więc nie będziemy przejeżdżały przez Gdańsk? — pyta zdziwiona Danusia — tu niema go wyszczególnionego?

Lecz odpowiadać niema czasu — już podróżni wyszli — trzeba wsiadać.

— Bo tu „po poznańsku!“ — przestrzega Nin-

ka, — ani chwili pociąg nie powinien się spóźnić! — ani oczekiwać na leniwych podróżnych!

Dopiero w wagonie Danusia dowiaduje się, że Gdańsk się omija, jadąc tą nową koleją. —

— Tymczasem możecie trochę podrzemać — zachęcają starsze panie — narazie droga nie jest nadzwyczaj ciekawa — pojedziemy okolicą lesistą. —

Drzemanie nie bardzo idzie.

Co chwila prawie jedna z dziewczynek przewraca się na drugi bok — spogląda przytem w okno. Ale nic tam nie widać — bo jest dopiero po północy.

Żadna jednak nie zaczyna rozmowy.

Aliści świt coraz jaśniejszy zagląda do okien. Coraz więcej różu na wschodniej stronie nieba. — Błękit nieba z każdą chwilą wspanialszy, a na granicy z różem zorzy przechodzi w tony seledynowe i złote.

Danusia spać nie może.

Rozkoszny powiew przez niedomknięte okno upaja wonią ziół i brzóz...

Zrywa się więc i staje w oknie...

Widać tam błękit jeziora, które szeroko się rozlewa... okolica falista i niezmiernie urozmaicona. Las zmienia się na pola — poczem znów zagajniki i łąki...

Trudno nasycić oczy — trudno nie upoić się wonią...

Pociąg mija drobniejsze stacje — wreszcie zatrzymuje się dłużej. —

— Somonina... odczytuje Danusia — tak, to węzeł kolejowy...

Jeszcze jednak nie zupełnie wszystko skończone — widać, że kolej w budowie.

Już się słońce ukazuje...

Dziewczka spogląda na uśpione przyjaciółki. Ninka, ukołysana równomiernym biegiem pociągu, zasypia smacznie, jak i inne dziewczęta.

— A miałaś mię rozbudzić — myśli z uśmiechem — a tymczasem mogłoby być naodwrót!

Pociąg dalej leci...

— Babi dół! — znów czyta Danusia napis na stacji — ciekawa nazwa i śmieszna!

Okolica coraz piękniejsza, coraz więcej urozmaicona.

A właśnie ktoś jej z tyłu zasłania oczy.

— Ostrożnie, bo pocałuję w paluszki! —

— Ech, nie uda ci się! — śmieje się Ninka: — a dlaczego mię nie obudziłaś?

— Abym od twojej mamusi otrzymała burę?

— Nie jest tak straszna!

— Lecz kochana! — i dlatego nie chcę jej robić przykrości...

Ninka ją całuje — poczem woła:

— Ale tu naprawdę prześliczny widok! — ta rozległa, sfalowana dolina i te ładne czerwone domki wieśniaków, co się łączą przedziwnie z zielenią uprawionego pola i bujnych łąk, dają nieporównane kontrasty!

— Ach, teraz wszystko zasłania przekop...

— Lecz oto znów dolina! — zmienia się tu w oknie, jak w kalejdoskopie!

Budzi się jednak i Terenia.

Jednym susem staje przy oknie!

— Witam — szepce do przyjaciółek. —

— I podziwiam! — odpowiada jej Danusia.

— Juści nie nas — lecz widoki! — uśmiecha się Ninka.

Lecz oto unosi głowę z poduszki Krzysia — a i Cesia otwiera oczy.

— Zmówimy „Kiedy ranne wstają zorze“ — proponuje Krzysia — jakkolwiek zapewne Ninka już po pacierzu...

— Nie szkodzi! — odpowiada jej hrabianka klękając do modlitwy.

Potem znów dziewczęta śpieszą ku oknom.

Podziwiają prześliczne widoki przy stacjach Żukowo - Wschodnie, Ossowo — wreszcie przy Kacku Wielkim.

Ale tymczasem przychodzą i starsze panie z sąsiedniego przedziału—pytają o zdrowie, interesują się, czy dziewczęta dawno wstały.

— Bo my się już dawno zachwycamy widokami!

Po twarzy Tereni Doleckiej spływają wielkie łzy — radości.

Ona — biedna sierota — dotychczas nigdzie nie wyjeżdżała poza Warszawę — z wyjątkiem willi p. Izalskich.

Teraz zaś — będzie widziała morze, — a w tej chwili ogląda przecudne widoki malowniczej Szwajcarji Kaszubskiej...

Z uniesieniem więc dziękuje p. Felicji, która to jej umożliwiła...

— Nigdy nie spodziewałam się po śmierci swej matki — szepce wzruszona: — że mię w życiu czeka jeszcze tyle radości...

Ale i Cesia zbliża się do p. Felicji, swej opiekunki — także sierota — także wdzięczna zawsze — nie chce pozostać w tyle.

Zarzuca jej ręce na szyję. —

— Czem się wywdzięczę?..

— Dziękujmy Bogu! — oświadcza p. Izalska również rozrzewniona: — On mi dał — więc mogę i powinnam przyjść wam z pomocą!

XXIV
MORZE...

Pociąg za Kackiem Wielkim bieży po wysokim nasypie, zawracając ciągle na prawo to znów na lewo. Z lewej wznosi się wysoka góra — z prawej zaś rozległa dolina, nisko położona i dość falista...

Słońce zaś unosi się coraz wyżej i coraz więcej rozsypuje blasku — aż już oczy mrużyć trzeba...

Ale od okien trudno się oderwać...

Oto bowiem pociąg wjeżdża na wysoki nasyp skąd widać skupienie domów piętrowych...

Blask zaś okrutny bije ze wschodu — jakby tam niejedno słońce świeciło!

— Morze! — wykrzykuje naraz Ninka.

— Gdzie? — gdzie? pytają przyjaciółki.

— Tam! — dym z parostatku!

Istotnie... można się dziwić, że się go nie spostrzegło! — ale w słonecznym świetle tak się srebrzy— że się jakby zlewa z niebem w jedno...

Wysokie domy coraz bardziej je zasłaniają...

Nagle pociąg przejeżdża szybko most na podwójnej linji kolejowej...

— Z Gdańska... wyjaśnia p. Wacława.

Tymczasem zjeżdżają żywo na dół — a przed oczami już całe miasto, złożone z wysokich ładnych kamienic, gdzie na ulicach doskonale asfaltowanych, krążą liczne samochody.

— Przypatrzcie się dobrze — mówi p. Felicja — to miasto — chluba Polski...

— Gdynia! — Gdynia! — woła Ninka — poznaję...

Istotnie pociąg się już zbliża do stacji, bieg hamuje, a na tablicach widnieje napis:

— Gdynia...

Dworzec kryje się skromnie niżej nasypu kolejowego, odsłaniając widok na miasto i port, a bliżej na niezliczone tory wiodące do przystani; na nich stoją długie szeregi towarowych wagonów — suną poważnie pociągi...

Na peronie zgiełk — ruch — nawoływania.

Wpada pociąg z przeciwnej strony. Zasłania widok na miasto...

Jeszcze większy hałas — ale tymczasem peron się usuwa...

— Jedziemy! — powtarzają dzieweczki — znów się widok odsłoni...

Pociąg rozpędza się wzdłuż licznych torów, oczy zaś stojących w oknie mkną wyżej, gdzie się ukazują skrawki morza — parostatki, stojące w wykopanych basenach portowych...

— Łuszczarnia ryżu... woła Krzysia — ten duży dom w paski.. dalej chłodnia! — a jaki potężny tam stoi parostatek o dwu kominach...

— Osobowy!

— Zapewne Pułaski — lub Kościuszko... to transatlantycki...

Danusia się zachwyca:

— Taki duży port? — tak wielkie i ładne miasto? — mówi zdumiona — tyle towarowych pociągów? — sądziłam, że to co piszą, jest tylko przechwałką, a przecież to jest zaledwie od kilku lat!

Lecz pociąg szybko się odsuwa... coraz dalej port pozostaje... wreszcie zatrzymują się chwilę.

— Gdynia — Chylonja! — jakie to ładne nazwisko stacji.

Lecz i okolica wokoło jest bardzo ładna — pyszne okryte lasem wzgórki, wabią, by wysiąść i udać się do nich...

— Rumja — Zagórze! — znów odczytują na innej stacji — czy to nie poetyczne nazwy?

— A czy nie prześliczne te wzgórza? — dorzuca Danka.

— Piękniejsze będą za Rekowem! — wtrąca Krzysia.

Istotnie. Tam już nie było końca zachwytom. Szczęściem, że pociąg pnąc się pod górę, dawał możność przypatrzeć się lepiej...

W czasie śniadania dojeżdżają do Pucka.

— Stary... mały nasz port...

— Miłe jednak miasteczko — jakkolwiek nie wielkie — broni go p. Felicja: — można wszystko kupić i niedrogo!

Wreszcie za Swarzewem pociąg idzie z trudnością, wdzierając się pod górę. —

Ninka trąca Danusię:

— Budzę ciebie!

— Nie śpię!? — dziwi się zagadnięta.

— Zaraz będzie Hallerowo!

— Ach, więc i morze... ale skąd? — wjeżdżamy w głąb kraju i pod górę...

— Patrz! — tam na widnokręgu...

— Las siny... wąska wstążeczka.. ach nie... to morze!

Wąska wstęga coraz się rozszerza... pociąg rozpędzony nagle staje...

— Hallerowo!

Morze jednak się ukryło... znikło za laskiem.

— Pójdziemy teraz na korytarz! — proponuje Krzysia, spoglądając figlarnie na Danusię.

Ninka i Cesia podtrzymują jej słowa.

— Cóż tam ciekawego? — pyta Danusia — młody lasek i nic więcej!

Lasek jednak nagle się urywa i zdumionym oczom przedstawia się pełny Bałtyk w całej okazałości...

Wielkie fale przelewają się z szumem, który słychać mimo turkotu pociągu — dalej toń pyszna granatowa, upstrzona zlekka białemi grzywami szczytów fali...

Widok jest tak czarujący, że tylko słychać wykrzykniki:

— Jakie cudne!

— Patrz, jaka fala!

— Co za wspaniałość!

— A potęga i groza!

— Tyle razy widziałam... i znów oczy porywa...

— Czy nie piękniejsze tu, niż przy tamie w Wenecji?

— Oczywiście.. szepce Danusia — widok pełen wspaniałości i grozy — naprawdę morze tu cudne!

— I nasze — woła Krzysia.

Ale nie można się niem nacieszyć — „brzydki" las je zakrywa...

Naprawdę nie jest ładny: sosenki pokręcone od wiatrów północy, małe karłowate...

— Teraz do przedziału! — pada komenda z ust Krzysi — może skryło swój majestat — ale możemy oglądać czary zatoki!

Oczywiście czar!

Drobne fale tańczą w promieniach słońca jakiegoś dziwnego, a skocznego oberka... połyskując miljonami światełek, w dali brzeg siny, zasnuty lekkiemi oparami, gubi się hen za Puckiem daleko...

Płaskie tylko wybrzeże oddziela tor kolei od zatoki — zda się, że gdyby tak się ona rozszalała, zmyłaby nie tylko nasyp kolejowy ale i nawet pociąg cały dostałby się w odmęty...

— Lecz nie szaleje nigdy — uspokaja p. Felicja... wyrażoną przez Danusię obawę.

Pociąg tymczasem zbliża się do rybackiej wioseczki, która po kaszubsku nazywa się Cejnową — a stacja nosi miano „Chałupy".

— Nie wiem, na jakiej zasadzie ją tak nazwano, gdyż ładne domki rybackie nie zasługują wcale na to miano... oświadcza p. Lubożedzka: — nie pojmuję, jak usprawiedliwiono zmianę nazwy...

— Nie mogłam się w tej kwestji niczego dowiedzieć — odpowiada jej p. Felicja: — jakkolwiek mieszkałam tu pewnego razu całe lato.

Wieś przejeżdżają z gwizdem parowozu i biciem

w dzwon, znajdujący się na maszynie, gdyż bliskość niezmierna domków, mogłaby narazić mieszkańców na nieszczęśliwe wypadki.

I znów czaruje oczy zatoka. —

W oddali jakieś senne żaglowe łodzie posuwają się na migotliwych falach...

Niedaleko jedna większa barka idzie prędzej, jakkolwiek nie posiada ożaglowania.

Słychać przytem jakieś miarowe stukanie.

— Kuter rybacki — rzecze Cesia — czyli motorówka.

Mimo to czuje się tu wielki, bajeczny spokój...

Jednak w wagonie zapanował ruch.

Zaczęto wkładać kapelusze, czapeczki...

Na korytarz wyniesiono walizki. —

Zaraz bowiem Kuźnica — gdzie wysiada wiele osób, a zarazem przyjaciółki Danusi i ona też sama, jak również starsze panie.

W kwandrans potem już się lokowano w wielkiej willi kaszubskiej „Zorza Bałtyku".

— Wcale tu ładnie.. szeptała Danusia — nie spodziewałam się tego...

— Byłaś zapewne przygotowana na nędzną chatkę i brudy? — śmieje się Krzysia.

— Wprawdzie nie zdawałam sobie sprawy... lecz jesteś bliska prawdy.

— A teraz nad morze — woła Ninka — musimy je przywitać! — musimy!

— Naturalnie — odpowiada jej matka z żartem — mogłoby wyschąć i daremna byłaby nasza cała podróż!

— A tak! — przekomarza się jej córka — nawet i ryby mogą je wypić i nam pozostanie tylko sól!

— Idziemy odrazu boso — proponuje Krzysia — tu bardzo niedaleko, a przytem miałybyśmy kłopot z pilnowaniem pantofli!

— Które mógłby ktoś posypać ową solą... żartuje dalej Ninka.

— A to poco?

— Gdy byłam malutka, opowiadano mi, że byleby tylko wronie nasypać soli na ogon, wówczas łatwo da się pojmać...

— Ach, tak! — więc i pantofle dałyby się również! — ale niema obawy — tu, wśród kaszubów, nikt nie kradnie!

— O, nich nie myślę — a o innych!

— Racja, w obawie owej soli już swoje zdejmuję — woła Cesia.

Po chwili wszystkie wybiegają w towarzystwie p. Lubożedzkiej i Skielskiej.

— Dokąd idziemy? — pyta Krzysia, spostrzegłszy, iż przyjaciółki zwracają na prawo z chodnika, — wszak zatoka z lewej strony!

— Pójdziemy w swoim czasie i nad zatokę — obecnie śpieszymy nad morze! —

— Nie rozumiem.. zostawiłyśmy je w Hallerowie...

— Zaraz się przekonasz!

Przez przejazd kolejowy i przejście wśród głębokiego piasku dostają się na wierzch wydmy, skąd zaraz uderza oczy wspaniały widok na rozigrane, z szumem przelewające swe fale morze...

— Ach, tak niezmiernie blisko! — zachwyca się Danusia — pysznie! — tylko ten piasek...

— Naturalnie trochę trudny do przebycia — podchwytuje w lot Ninka, — ale tak czysty, tak piękny, że nigdzie podobnego nie można spotkać na lądzie...

W chwilę potem już dziewczynki są na wybrzeżu — pędzące fale opryskują je zaraz pianą, jakby chciały powitać.

Lecz Krzysia i Ninka nie pozostają im dłużne:

— Witaj polskie morze!

— Witaj nam poślubione!
Cesia powtarza te słowa..
Poczem dodaje:
— Na szczęście znów tu się znajdujemy — możemy się niem nacieszyć!
— Nacieszyć? — pyta Krzysia — nigdy — zawsze nowe — zawsze miłe — nie zbrzydnie nigdy!...
Tymczasem potężna fala z rykiem się przewraca niedaleko — fontanny wody oblewają natychmiast dziewczęta, co się zanadto do nich zbliżyły.
Powstaje pisk i śmiechy. —
— Gniewa się na nas! — woła Cechna.
— Chyba tylko na ciebie!
— A za cóż mnie się dostało?
— Bo się morze cieszy, że nas widzi i wcale się nie gniewa! — o patrz! — znów rośnie olbrzymia fala — zupełnie, jakby człowiek siedzący powstawał, aby lepiej ujrzeć. —
Istotnie nad spienioną wodą tworzył się potężny wał wody, ciemno - zielonej u dołu, u góry zaś ozdobiony srebrzystą pianą, którą wiatr unosił na stronę... Wał ten biegł szybko w stronę brzegu, rósł z każdą chwilą, poczem zaś z rykiem wywrócił się blisko dziewczynek.
One jednak miały się na baczności — odskoczyły żywo, przezco wyszły na ten raz zupełnie „na sucho!“
— Kto twierdził, że się morze gniewa? — zawołała Krzysia — ono nas wita! — bieży ku nam! — pokłon oddaje! — o ziemię czołem bije! — uznaje naszą nad niem władzę!... uznaje w nas dzieci Polski, dzieci mocarstwa, do którego należy! — ślubuje nam wierność! — posłuszeństwo! — będzie nam nosiło za darmo statki, będzie orzeźwiało, życie i zdrowie niosąc w swych falach — będzie nas bogaciło...
— Masz rację, Krzychno — rzekła p. Wacława — patrz! — morze te słowa potwierdza.

Jeszcze potężniejszy bałwan uderzył tym czasem czołem o ziemię, głośniej ryknęła fala, a nad wodą stanął słup spienionych odmętów, rozpryskując się we wsze strony.

— Jakie to ładne... szepnęła Danusia — miałaś słuszność Ninko, kiedy z takim zachwytem zawsze mówiłaś o naszem morzu... przyznaję, że przypatrując się szemraniu błękitnych wód Adrajatyku, nie miałam wyobrażenia, że nasze morze w swej surowszej szacie może być jeszcze piękniejsze...

— I nasze! — mówi Cesia.

— Tembardziej więc kochane.. że nasze! — powtarza Danusia z głębokim przekonaniem...

— Cieszę się z twoich słów — serdecznie.

— Mogłabyś ze mnie się wyśmiać, że byłam dotychczas niemądra..

— Radość jednak większa...

— Nad jednym grzesznikiem, pokutę czyniącym... bo ty nie potrafisz nawet szydzić! —

— Przeceniasz mnie...

— O, nie! — tyś mię nauczyła kochać naszą Ojczyznę... nasze morze — tyś po dwakroć ratowała, gdym była na dnie ostatecznej toni...

— Prawdziwy odniosłaś triumf przyjaźni, droga Ninko! — oświadcza p. Skielska — muszę to — szczerze przyznać!

— Och, pani!... broni się zawstydzone dziewczę — nie moja w tem wszystkiem zasługa... Bóg to sprawił... i opieka Najświętszej Panienki ... wstawiennictwo św. Tereni...

XXV

NAD ZATOKĄ

Cichy wieczór lipcowy.

Na wysokiem urwisku nad zatoką siedzi doktorowa, a z nią i dwie panie Izalskie, oraz hrabina.

Krzysia zaś z Cesią i Danusią umieściły się nieco niżej, — a Terenia oraz Ninka usiadły na dużej łodzi rybackiej, która stoi na brzegu.

Nadzwyczajny spokój i cisza wieczoru pozwalają całemu towarzystwu łączyć się w rozmowie, bez podnoszenia głosu.

Ale właściwie nikt nie rozmawia: zebrane towarzystwo podziwia zachód słońca nad zatoką...

Przecudne barwy nieba i wody, jakiś niezmierny spokój zachwycają obecnych...

Wreszcie słońce znika...

Pomarańczowo złote zorze łączą się przedziwnie z barwą morza — na zachodzie — i cała prawa strona zatoki stoi w jasnych tonach złotych...

Z przodu toń czarna prawie zupełnie...

Lekko na prawo — szaro - błękitna...

Zupełnie na lewo: różowo - lila.

Zorze zaś na wschodzie również świecą mocno barwami różu, przechodzącego w lila...

— Jaki tu niezwykły spokój.. szepnęła Danusia: — czy można porównać tę cichą Kuźnicę z hałaśliwym Neapolem — a nawet gwarną Wenecją?

— Bo tu jest nasza cicha polska wieś — odpowiada jej Krzysia — która się zbiera do snu; patrz: oto drzemią już żaglówki w przystani, a na brzegu domki rybackie, oświecone wieczorną zorzą... którym błogosławi na Bożą noc krzyż ze strzelistej wieży na kościele... już się zbiera do drzemki i ta szaro - sina wstęga lasu — i żółty piasek z grzywą ostrej trawy, na której siedzimy...

— Idzie noc... wtrąca Cesia—słońce już... zeszło z mórz!...

— Nawet wiatr zasnął już tu w dole — dodaje Ninka — jakkolwiek tam w górze porusza jeszcze leniwie gałęziami drzew...

— I nie mąci tej ciszy daleki odgłos motorów-

ki — ciągnie Krzysia — bo jest monotonny, a łagodny... ani nawoływania dzieci ze wsi.. a już chyba najmniej ta fala, sennie szemrząca na dole...

Po tych słowach zalega dłuższe milczenie.

Zebrane towarzystwo w ciszy zachwyca się cudem wieczoru nad zatoką — ledwie od czasu do czasu szeptem komunikując swe uwagi...

Nagle łagodny, a miły odgłos dzwonu zaczyna się rozpływać wokoło...

Miarowe, a spokojne jego dźwięki wpadają w tę niezwykłą ciszę — ale jej nie mącą — a nadają jakiś majestat, jakieś dziwne namaszczenie...

I wzywają serca do ukorzenia się przed Tym, co stworzył cuda wieczoru...

Usta mimowoli składają się do modlitwy...

Zebrane więc towarzystwo wstaje powoli z szacunkiem, aby zanieść modły — uwielbienia — błagania—w natychnionych słowach pozdrowienia anielskiego..

I znów potem zasiadają wszyscy w milczeniu, które wreszcie przerywa Danusia:

— Nie wytrzymam! — szepce — ta fala tak kusi... tak nęci.. muszę zbiegnąć na dół...

A czy mogły wytrzymać jej przyjaciółki?

Dzieweczki brodzą chwilę w wodzie, mówiąc półgłosem od czasu do czasu:

— Woda jakby nagrzana!

— Piasek niezmiernie delikatny...

— Fale milutkie!

— Rozkoszne!

— Naprawdę pyszna przechadzka!

Idą tymczasem coraz dalej, wzdłuż brzegu.

Ku zorzom, co płoną na niebie...

Do gwiazdki, która już rozbłysła...

Dalej... dalej!

Aż tam, gdzie słońce się kładzie do snu!

Gdzie niebo styka się z morzem...
Idą...
Aż wreszcie Ninka szepce:
— Nasze panie tak daleko zostały...
— Racja! — wracajmy!
Lecz chwilę jeszcze stoją.
Trzeba się nasycić tą zorzą cudną — temi blaskami czerwieni — złota — fioletów.
A potem żwawo z powrotem!
Bo starsi czekają — ale się wcale nie trwożą — boć przecie je widać z urwiska!
Niebawem dzieweczki zbliżają się — wchodzą na wał z piasku... zabierają miejsca przy starszyznie.
Nagle w sinej oddali błyska światełko.
Tam! — hen... na wschodzie!
I już znikło!
— Hel! — patrzcie — latarnia morska! — woła Ninka.
Wszystkie głowy odwracają się na lewo — oczy zaś poszukują oddalonego światła, które już znikło— ale po chwili znów zajaśniało na horyzoncie...
— Droga dla parostatków już odznaczona — mówi Krzysia cicho: — łatwo teraz trafić do Gdyni i Gdańska.
— A tu bliżej błyska światełko z Jastarni!
— A teraz spojrzyjcie wprost siebie — ozwała się nagle Krzysia — widzicie tę iluminację?
Wdali na południe istotnie skrzył się rój lamp elektrycznych.
— Gdzie to jest? — pyta Danusia — czy to Gdańsk?
— O, nie to nasza Gdynia tak świeci!
Jakieś wzruszenie ogarnia patrzących...
Ta Gdynia, niedawna malutka wioska rybacka o trzystu zaledwie mieszkańcach, teraz jaśnieje po-

tężnemi lampami elektrycznemi, świadcząc o potędze Polski...

— Tu jestem! — woła, rozsyłając blaski jarzących lamp w dalekie przestrzenie — tu port Polski! — tu przyszłość narodu! — tu nasza brama w świat!

Dłuższy czas trwa milczenie...

Wreszcie Krzysia szepce cicho:

— Dzięki Ci, Boże...
Za spokój ciszę —
Za cudne zorze...
Że plusk fal słyszę!
Dzięki, Ci Boże!

Za darowane
Nam piękne morze,
Za lasy, łany...
Dzięki, Ci Boże!

Że port swój mamy
Ręce Ci złożę:
Boć to w świat bramy...
Dzięki, Ci Boże!

Że nam już świecą
Wolności zorze!
Z serc modły lecą:
Dzięki, Ci Boże!

O, Wniebowzięta!
Wołam w pokorze...
Cześć, Tobie, święta!
Dzięki, Ci Boże!

———oOo———

Skończyłem w Kuźnicy, dn. 15 sierpnia 1934 r.

SPIS ROZDZIAŁÓW.